M.B. im. L. W. w Łodzi

- Enklawa ubogich milionerów — str. 6
- Strajk pielęgniarki — str. 7
- Obłąkany cesarz narkotyków — str. 12
- Moda na wierność małżeńską — str. 13
- Opowiadanie o wydarzeniach marcowych - 1968 r. — str. 16

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 4 (1504) ROK XXX 24 STYCZNIA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

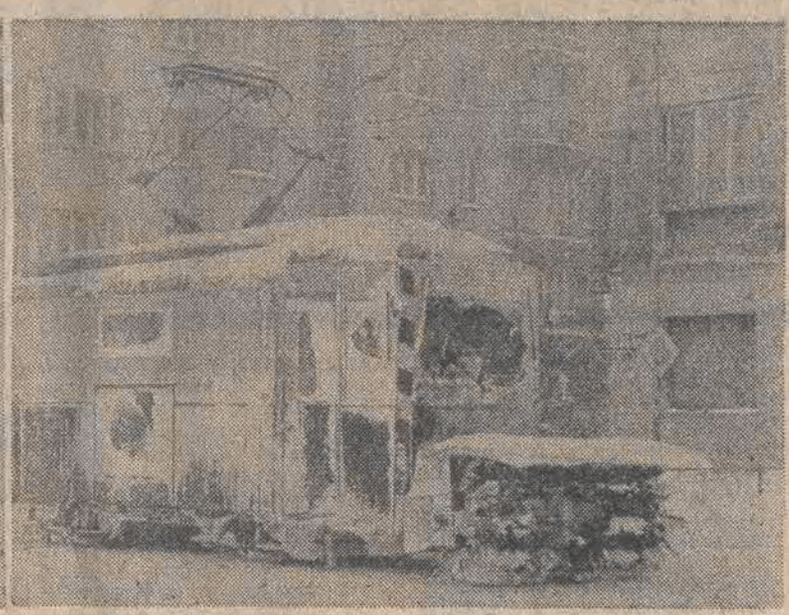

Foto: Grzegorz Gałasiński

Zima

W RELACJI NASZYCH REPORTERÓW: RYSZARDA BINKOWSKIEGO, DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO, TERESY JERZYKOWSKIEJ, BOGDY MADEJ I JOLANTY WROŃSKIEJ

Zima znów nas zaskoczyła. Jak wynika z oficjalnych doniesień byliśmy przygotowani do zimy średniej, a przyszła zima sroga, mroźna i śnieżna. Naszą relację zamykamy 15 stycznia 1987 roku. Prognozy nie są optymistyczne. Zapowiadają śnieg i mróz. Brakuje elektrowniom opału. Śnieg spowodował, że dziennie ze Śląska pociągi wiozą około 350 tysięcy ton węgla, a nie 500 tysięcy ton, jak bywało normalnie. 4 900 wagonów nie rozładowano. Leży w nich węgiel. A wagony te są potrzebne na Śląsku. Jak z tego widać sytuacja nie jest łatwa i wymaga wielkiej mobilizacji wszystkich, abyśmy się nie dali zimie.

Ludzie mimo zimy pracują ofiarnie i niekiedy z samozaparciem Ale, czy wszyscy? Są przecież i tacy, którzy „stracili głowę", bezradnie rozłożyli ręce i powiadają, że nie da rady. A przecież musi „dać radę". W tych trudnych dniach trzeba sobie pomagać nawzajem. Bądźmy dla wszystkich życzliwi i podajmy potrzebującym pomocną dłoń!

Jak zima wygląda w różnych dziedzinach życia, pokazują nasze relacje.

NA DROGACH I ULICACH

Zbudowali ci ten wymarzony szklany dom, w którym teraz sypiasz dla przyjemności w skarpetkach i dogrzewasz się gazem. Korzystasz też z łazienki i z telefonu. W Lotniskowym Biurze Informacji na Lublinku dźwięczy radośnie sygnał, ale połączenia nie ma, podobno kable przemarzają. Tubylcy twierdzą, że lotnisko zasypane, raz tylko widać było lądujący helikopter sanitarny. Uliczki wokół Lublinka i drogi dojazdowe również pod śniegiem. Dyrekcja Okręgowa Dróg Publicznych nie wygrzebie Lublinka spod śniegu, ponieważ zajmuje się tylko drogami poza Łodzią. Jeśli na lotnisku ma coś startować lub lądować, to jedynie samolot z płozami, jakich używa się za kręgiem polarnym.

Jest połączenie z **Centralą Produktów Naftowych**, ale akurat nie ma tam światła, toczy się narada i dyrektor Gliszczyński nie może załatwiać poważnych spraw na telefon.

12 stycznia 1987 r. Pociąg z Ostrowa Wielkopolskiego do Łodzi opóźniony o 50 min. Gdy zapowiadają, że opóźnienie wzrosło do 150 min., zimną jak psiarnia poczekalnią w Pabianicach wstrząsa zdrowy śmiech, od którego robi się ciepło na sercu. Jedziesz więc pociągiem lokalnym, opóźnionym planowo o 50 min., i w ciągu godziny pokonujesz 15 km trasy. Autobus „F" wyrzuca cię po kilkuset metrach na skraju Parku Poniatowskiego, bo coś w nim zamarzło.

Brniesz pośród zawiei, prawa noga zamienia się w kawał drewna, którego nie mogą udźwignąć wiązadła w biodrze Chce ci się wyć z rozpaczy, położyć w zaspie i skonać na oczach pasażerów stłoczonych w tramwajach, które rozkraczyły się stadami na szynach, bo nie ma prądu.

Kiedy po drugiej docierasz do CPN, dyrektor Gliszczyński okazuje niemiłe zdziwienie, bo ma spotkanie z ważną osobą „na mieście", a tu już fajerant. Z rozterki legitymuje cię i z bólem serca powierza twoją marność swoim zastępcom.

Dyr. do spraw technicznych **Stanisław Komar**, walczy z grypą. A tu na dodatek nie łączą telefony ze służbami CPN w mieście. Na stacjach nawalają węże, pistolety, hydrofory, olej gęstnieje i przemarzają zawory, zacinają się liczniki. Pracujący na powietrzu ludzie muszą się ogrzać, ale przestojów nie ma. Wszystkie służby i pogotowia oraz zakłady naprawcze pracują w dłuższym czasie, kierowcy autocystern nawet na trzy zmiany, także w wolne soboty. Cysterny kolejowe kursują całą dobą.

Prowadzi się stały dowóz paliw, magazynowanych w zbiornikach podziemnych, gdzie panuje wyższa temperatura. Stały dowóz, choć w zwolnionym tempie.

W ciągłym ruchu jest zakład CPN w Koluszkach i Słotwinach, na bocznicach pracuje własny pług wirnikowy.

Dyr. do spraw handlowych, **Michał Czacki**, mówi, że np. w ZSRR są przygotowani do zimy pod średnie warunki, które u nas stają się ekstremalne. Dlatego trzeba wiele słów uznania dla kierowców, dla nalewaczy cystern i ludzi ze stacji, gdzie temperatura wewnątrz nie przekracza 10 st. C. Na szczęście nie wszyscy używają własnych samochodów, no i jest początek kwartału, a więc wykup paliwa mniejszy i dla każdego starczy.

Najgorszy jest odcinek trasy z Brzezin do Łodzi, a tą drogą „naftową" z Koluszek dociera do miasta większość paliwa.

12 stycznia 1987 r. o godz. 13.30 prowadzące do Łodzi drogi I i II kolejności utrzymania są przejezdne, chociaż wciąż pada śnieg. Ale mgr. inż. **Jerzy Cymerman**, dyrektor naczelny **Dyrekcji Okręgowej Dróg Publicznych**, nie wie, jak jest od Brzezin do Koluszek, bo to już okręg warszawski. Nie wiadomo też, co się stanie, gdy nie ustaną śnieg i wiatr. Na razie jednak drogi poza Łodzią są w lepszym stanie niż ulice w samym mieście.

Na terenie województwa łódzkiego, sieradzkiego i piotrkowskiego pracuje 300 ludzi, 124 pługi ciężkie i pługi wirnikowe, 54 piaskarki, 15 spycharek i równiarek. Ludzie jakoś wytrzymują, ze sprzętem gorzej, bo walka o przejezdność dróg trwa od ponad dwóch tygodni. Krótkotrwała odwilż i gwałtowny mróz pogorszyły sytuację. Na drogach potworzyły się lodowe muldy, pozamarzały zewnętrzne części podwozi. Sól roztapia śnieg i lód do minus 10 st. C, sypie się więc mieszankę soli z piaskiem, dzięki czemu nie jest tak ślisko. Mimo pomocy ze strony innych przedsiębiorstw transportowych wskutek awarii wypadło prawie 50 proc sprzętu. Jeśli pług wali co chwila w bryłę lodu, to coś w maszynie musi trzasnąć.

Poza tym brakuje specjalnego paliwa, które zresztą i tak nie zdaje egzaminu, bo zamarza w przewodach.

Jest pełna mobilizacja, drogowcy pracują na okrągło — 24 godziny na dobę, toteż mimo pewnych utrudnień drogi są nadal przejezdne.

Pokrzepiony na duchu wracasz do Pabianic. Skostniały, z dwugodzinnym opóźnieniem, a wszystko to „z przyczyn technicznych", jak mówią na kolei. Wzrusza cię do łez widok pło-

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139 11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 156. H-2.

Nagrody m. Łodzi

Prezydium Rady Narodowej przyznało tradycyjne już Nagrody Miasta Łodzi. W tym roku otrzymały je następujące osoby:

1. **LUDWIK BENOIT** — aktor Teatru Nowego w Łodzi — za całokształt osiągnięć artystycznych w dziedzinie upowszechniania kultury teatralnej. Ma 66 lat. Stworzył wiele wybitnych kreacji aktorskich. Jest radnym Rady Narodowej Miasta Łodzi.

2. **LESZEK CIECIURA** — płk. prof. dr hab. kierownik Zakładu Histologii i Embriologii Wojskowej Akademii Medycznej — za całokształt działalności naukowej i dydaktycznej w dziedzinie histologii i embriologii. Ma 61 lat. Opublikował 141 prac naukowych. Był delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR.

3. **CZESŁAW GŁĄBSKI** — prezes Zarządu Spółdzielczego Ośrodka Studialno-Projektowego Gospodarki Mieszkaniowej — za całokształt działalności społeczno-politycznej i zawodowej w dziedzinie spółdzielczości mieszkaniowej. Ma 71 lat. Blisko pół wieku pracuje nad rozwojem spółdzielczości w kraju i Łodzi.

4. **ANDRZEJ F. GRABSKI** — prof. dr hab. zastępca dyrektora Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych — za całokształt osiągnięć naukowych i dydaktyczno-wychowawczych w zakresie historii myśli społeczno-politycznej oraz historiografii. Ma 52 lata. Opublikował dużo artykułów i książek. Jest członkiem Prezydium Rady Narodowej Miasta Łodzi.

5. **JERZY INDULSKI** — prof. dr hab., dyrektor Instytutu Medycyny Pracy — za całokształt osiągnięć naukowych i organizacyjnych na rzecz ochrony zdrowia i pomocy społecznej. Ma 56 lat. Jest autorem ponad 150 artykułów i wielu znanych podręczników z dziedziny higieny, epidemiologii, medycyny społecznej.

6. **JERZY KORTAN** — prof. dr hab., dyrektor Instytutu Ekonomiki Przedsiębiorstw Uniwersytetu Łódzkiego — za całokształt działalności naukowej, dydaktycznej i pracy społeczno-politycznej. Ma 62 lata. Opublikował 120 prac, w tym 38 książek, poświęconych głównie sprawom regionalno-branżowym i łódzkim.

7. **TADEUSZ KOTER** — profesor Politechniki Łódzkiej — za całokształt osiągnięć w dziedzinie techniki maszyn elektrycznych i transformatorów. Ma 67 lat. Pod jego kierownictwem wykonano szereg ważnych prac naukowo-technicznych, które zostały zastosowane w przemyśle.

8. **BOLESŁAW MAJEWSKI** — druh, były nauczyciel w Szkole Podstawowej specjalnej — za całokształt działalności zawodowej i społecznej w dziedzinie opieki nad dziećmi wymagającymi specjalnej troski. Ma 52 lata. Jest inicjatorem wielu przedsięwzięć mających na celu włączenie dzieci niepełnosprawnych do normalnego życia.

9. **WŁADYSŁAW ORŁOWSKI** — dr, prezes łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich oraz redaktor naczelny Wytwórni Filmów Oświatowych — za całokształt twórczości literackiej i działalność społeczną w rozwoju kultury teatralnej i filmowej. Ma 64 lata. Autor wielu powieści, sztuk teatralnych, słuchowisk radiowych, scenariuszy, artykułów.

10. **ZDZISŁAW SZOSTAK** — doc. kierownik artystyczny Państwowej Filharmonii w Łodzi — za całokształt osiągnięć artystycznych i dydaktycznych w dziedzinie muzyki. Ma 57 lat. Jest docentem kontraktowym w Akademii Muzycznej. Wybitny kompozytor muzyki filmowej.

11. **ZOFIA TARNOWSKA-KACZMAREK** — emerytowana dziennikarka — za całokształt działalności publicystycznej i społecznej. Ma 64 lata. Autorka wielu popularnych reportaży, felietonów i artykułów poświęconych problemom społeczno-prawnym. Przepracowała 37 lat w „Dzienniku Łódzkim". Jako jedna z pierwszych otrzymała Honorową Odznakę Miasta Łodzi.

12. **KAZIMIERZ T. WASILEWSKI** — przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania Urzędu Miasta Łodzi — za całokształt działalności zawodowej i społecznej na rzecz rozwoju i modernizacji Łodzi i województwa łódzkiego. Ma 69 lat. Już pół wieku pracuje w administracji państwowej. Autor kilku artykułów.

13. Zespół w składzie: **MARIAN DANYCH, STANISŁAW JAKUBOWSKI, ANDRZEJ NIEPSUJ, JÓZEF OLEJNIK, WALDEMAR SITKOWSKI, ANTONI TOMAL** — inżynierowie, pracownicy Fabryki Szlifierek „Ponar-Łódź" w Głownie — za opracowanie i wdrożenie do seryjnej produkcji nowoczesnej rodziny szlifierek. Połowę wyprodukowanych maszyn sprzedano do USA, RFN, Włoch i Holandii.

Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów w pracy zawodowej i społecznej.

NA WŁASNY RACHUNEK

Skrzywiona optyka

Stykam się nierzadko z osobami, które posiadły wysoką umiejętność niezauważania politycznych realiów, co łączy się z silnie u nich zaznaczoną skłonnością do wyolbrzymiania faktów zupełnie błahych lub incydentalnych. Może należałoby ich określić jako fanatyków z usposobienia, gdyby nie okoliczność, iż w sprawach nie mających podtekstu politycznego, a w każdym razie nie wywołujących skojarzeń z polityką, bywają oni nieraz ludźmi rozsądnymi, wolnymi od uprzedzeń i podporządkowywania myślenia emocjom.

Być może akurat polityka dała się wielu z nich we znaki, może ten i ów wiązał swe ambicje i nadzieje z innym przebiegiem wydarzeń niż ten, który nastąpił i wskutek nietrafnej prognozy zostali na lodzie. Nie musi tak być zawsze, znam bowiem liczne wypadki, kiedy nastawienie polityczne: pro- czy antysocjalistyczne wypływa z przesłanek nieosobistych. Kto w to nie wierzy, ten nie wierzy i sobie...

No, ale praktyka życia politycznego nie rozlicza nas z motywów, lecz z czynów, bo taka jest „natura" polityki, czy nam się to podoba, czy nie, popatrzmy więc na tych skrajnie stronniczych, w których polu widzenia dziwnym trafem pojawiają się tylko fakty i zdarzenia niekorzystnie świadczące (w ich mniemaniu) o ustroju socjalistycznym i zwłaszcza o polityce PRL.

Ludzie ci, biorący własne pragnienia za rzeczywistość podtrzymują, na przekór coraz to nowym faktom, mit o izolacji Polski na arenie międzynarodowej i żadne wizyty czy konferencje, żadne spotkania „na szczycie" między przedstawicielami Polski a innych państw, w tym zwłaszcza kapitalistycznych nie mają dla nich znaczenia, toteż przemilczają je w rozmowach (choć tak lubią rozprawiać o polityce) lub zbywają lekceważeniem.

Czy nie jest zdumiewające, że nawet takie fakty ostatnich dni i tygodni, jak choćby wizyta przewodniczącego Rady Państwa we Włoszech i Watykanie, jak pierwszy w historii PRL przyjazd do naszego kraju premiera Japonii, jak zapowiedziane (drugie już po wprowadzeniu stanu wojennego) odwiedziny papieża, a także szereg innych międzynarodowych konferencji i spotkań z udziałem polskich przedstawicieli są „niegodne uwagi" naszych opozycjonistów, którzy kolportują z przejęciem byle propagandową bzdurę obcej rozgłośni. Nie potrafią jednak dostrzec przejawów stabilizacji życia politycznego kraju i powrotu Polski na należne jej miejsce przy międzynarodowym stole.

Rozumiem, że ludziom nastawionym opozycyjnie muszą te oznaki normalizacji wydawać się niemiłe, przekreślają bowiem ich osobiste nadzieje (lub burzą wizję rozwoju świata, z którą czują się związani), ale dlaczego mimo wszystko, nie stać ich na spojrzenie prawdzie w oczy, lecz angażują się w tworzenie jakichś pokrętnych interpretacji i niesprawdzalnych hipotez. Iluż przy tym wykształconych ludzi reprezentuje żenujący poziom politycznego myślenia, nie uwzględniający realiów, jakby niczego nie wiedzieli z historii czy geografii i nie śledzili tego, co dzieje się na szerokim świecie, jak w nim coraz silniej dochodzą do głosu ruchy narodowo-wyzwoleńcze, połączone z radykalizacją społeczną...

Widzenie świata przez pryzmat dokuczliwości dnia codziennego sprawia, iż to, co się ostatnio dzieje wokół — jeśli można tak powiedzieć — sprawy polskiej, jest trafniej oceniane przez oficjalne zachodnie koła polityczne niż przez naszych „zawodowych" malkontentów. A to co się dzieje świadczy o tym dowodnie, iż docenia się coraz powszechniej sensowność wysiłków czynionych przez polskie władze dla ostatecznego przezwyciężenia gospodarczego impasu, rozumie się też, że w interesie społeczności międzynarodowej leży wielokierunkowa współpraca z władzami państwa polskiego.

Ale to, co widać z daleka, bywa niedostrzegalne dla ludzi nie widzących dalej niż czubek własnego nosa.

JERZY KWIECIŃSKI

Przegląd prasy

W tygodniku Archidiecezji Warszawskiej „PRZEGLĄD KATOLICKI" (nr 2) podano najważniejsze liczby z aktualnej statystyki duchowieństwa rzymskokatolickiego. Okazuje się, że w 1986 roku było w Polsce 22 902 księży — w tym 17 238 diecezjalnych oraz 5 664 zakonnych. W ubiegłym roku wyświęcono 989 nowych kapłanów, a w seminariach duchownych uczyło się 8 835 alumnów.

W ostatnich latach systematycznie rosła liczba powołań kapłańskich. Dla porównania: w 1979 roku było 5 845 seminarzystów, 589 nowo wyświęconych kapłanów i 20 198 wszystkich księży katolickich. W latach 1979—1985 zmarło 2 351 księży.

Kościoły rzymskokatolickie zatrudniają ponadto około 20 tys. pracowników świeckich. Spośród nich 1 800 osób należy do Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki. O problemach tych związkowców mówi w tygodniku „SPRAWY I LUDZIE" (nr 1) przewodniczący Rady Naczelnej, Paweł Zgodziński, z którym przeprowadził wywiad Waldemar Koczewski.

Czego domagają się związkowcy kościelni? *„Nam chodzi o to, żeby na przełomie XX i XXI wieku kler zrozumiał wreszcie, że dość już feudalnych stosunków w pracy polegających na tym, że ja, ksiądz, ci każę, a ty nie dyskutuj, tylko rób. Chcemy mieć takie same prawa jak ludzie zatrudnieni w fabrykach. Uważamy, że w sprawach pracowniczych Kościół powinien być traktowany tak, jak każdy inny zakład pracy, oczywiście z uwzględnieniem specyfiki, jaka tu występuje. (...) Nasi księża uważają jednak, że związki zawodowe dobre są wszędzie, tylko nie na parafialnym podwórku. Papież zresztą też zbyt konsekwentny nie jest. Kiedy powstał nasz związek, napisałem do niego list, powiadamiając go o tym fakcie. Dwa lata minęły, żadnej odpowiedzi. Nawet takiej, że otrzymałem, dziękuję".*

W przeszłości grupa świeckich pracowników Kościoła będzie prawdopodobnie jeszcze większa, ponieważ wznosi się wiele nowych świątyń. O fenomenie budownictwa kościelnego pisze na łamach „ARGUMENTÓW" (nr 3) Jan Siuty: *„Według danych z początku 1984 roku buduje się w Polsce 1 197 różnej wielkości obiektów sakralnych. Bez mała tysiąc świątyń to kościoły zupełnie nowe, ponad 150 rozbudowywane, zaś 40 odbudowywane ze zniszczeń wojennych lub remontowane. Najwięcej kościołów wznosi się w woj. katowickim — 104, i co charakterystyczne i symptomatyczne — w woj. nowosądeckim i zamojskim — znowuż nie tak bogatych — po 79, tarnowskim — 64, lubelskim — 59, tarnobrzeskim — 47, warszawskim — 46, opolskim — 40. Dane statystyczne wskazują, że jeden kościół rzymskokatolicki przypada obecnie na 2,5 tysiąca mieszkańców... O ile w 1937 roku Kościół rozporządzał łącznie 7 257 świątyniami i kaplicami, dziś według danych z 31 grudnia 1983 roku jest ich aż 14 603! Nie dajmy się więc zwariować! Kryzys społeczno-gospodarczy jest głęboki i dotkliwy, wychodzimy niby powoli z tego kryzysu, z tzw. dołka, a tu jednocześnie buduje się 1 000 kościołów. A ile domów parafialnych, plebanii, sal katechetycznych, wspanialszych od niejednego domu czy nawet Pałacu Kultury?"*

Koszty inwestycji kościelnych dość chętnie jednak ponoszą wierni. Polacy-katolicy są bowiem hojni wobec Kościoła. Tylko niewielka część społeczeństwa nie daje ofiar pieniężnych. Toteż sytuacja finansowa Kościoła jest niezła. Jerzy Wisłocki wyliczył w „POLITYCE" (nr 1), że proboszcz statystycznej parafii ma miesięczne przychody w wysokości 165 tys. złotych. Autor przyjął, że przeciętnie posługi religijne kosztują następująco: chrzest — 2 500 zł, ślub — 7 000 zł, pogrzeb — 5 000 zł, intencja mszalna — 750 zł, kolęda — 750 zł. Podobno takie są zwyczajowe opłaty.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

można będzie przeczytać między innymi:

- **artykuł MARIANA PODLASZEWSKIEGO o polityce kulturalnej, narodowościowej i wyznaniowej PPR;**
- **drugi odcinek nowej powieści JÓZEFA SPYCHALSKIEGO pt. „Czerwone goździki", traktujący o wydarzeniach marcowych 1968 roku;**
- **reportaż EUGENIUSZA IWANICKIEGO o kolejnej, sensacyjnej kradzieży fotogramów z dorocznej wystawy aktu kobiecego i portretu „Venus 86";**
- **obszerny artykuł STANISŁAWA CHODUNAJA o różnych stronach życia dyktatora Trzeciej Rzeszy, Adolfa Hitlera;**
- **interesujący reportaż MARIUSZA J. SARNOWSKIEGO z wyprawy na południe Meksyku, gdzie w obozie „Święta Polska" żyją uchodźcy z Gwatemali;**
- **rozmowę BOHDANA GADOMSKIEGO z czwórką najciekawiej zapowiadających się studentów — dyplomantów Wydziału Aktorskiego PWSFTviT;**
- **ciekawy szkic MARKA TARANA, w którym porównuje doktryny religijne Jezusa i Buddy;**
- **dalszy ciąg sensacyjnej opowieści o Falconie, obłąkanym cesarzu narkotyków.**

Przez Wołyń, Smoleńszczyznę, szosę wołokołamską, Stalingrad, Kursk, Dniepr, Białoruś droga wiodła do Polski, aby jednak w niej nie pozostać.

Smak zwycięstwa i goryczy

Część II

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W filmie Jurija Ozierowa „Bitwa o Moskwę" jest scena, kiedy do dowództwa 9 korpusu zmechanizowanego przychodzi telefonogram, nakazujący otworzyć ściśle tajną kopertę. Taki telefonogram mógł wysłać przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych (premier rządu) albo ludowy komisarz obrony. A tu na telefonogramie widnieje podpis zastępcy szefa sztabu armii.

Jest to wiernie odtworzona scena, którą można znaleźć w książce Konstantego Rokossowskiego „Żołnierski obowiązek". Dowódcą 9 korpusu zmechanizowanego był bowiem właśnie generał Konstanty Rokossowski. Nakazał on sprawdzić telefoniście wiarygodność telefonogramu i wezwał do siebie oficerów swego sztabu.

— *„Jakie jest wasze zdanie, towarzysze, jak mamy postąpić w tym wypadku?* — napisał w swoich wspomnieniach.

Wszyscy mieli wątpliwości, podejrzewali jakąś prowokację.

Oficer dyżurny zameldował, że łączność została przerwana. Nie odpowiadała ani Moskwa, ani Kijów, ani Łuck.

Trzeba było wziąć na siebie odpowiedzialność i otworzyć kopertę.

Znajdująca się w niej dyrektywa brzmiała: natychmiast doprowadzić korpus do stanu gotowości bojowej i maszerować w kierunku Równe, Łuck, Kowel".

Był wczesny ranek 22 czerwca 1941 roku.

9 korpus zmechanizowany był w stadium organizacji. Brakowało samochodów i paliwa. „W pobliżu — pisze Konstanty Rokossowski w „Żołnierskim obowiązku" — *znajdowały się centralne magazyny amunicji oraz garnizonowy park samochodowy. Kazałem otworzyć magazyny. Opór intendentów trzeba było przezwyciężać odpowiednią perswazją i pokwitowaniami".* Korpus, choć słabo uzbrojony i nie zorganizowany tak jak wymagały tego warunki wojny, walczył skutecznie, powstrzymując napór wojsk niemieckich, na Wołyniu, w rejonie Nowogrodu Wołyńskiego, Równego i Łucka.

BYŁY TO CIĘŻKIE DNI

dla całego Związku Radzieckiego, a przede wszystkim dla wojsk walczących z nacierającym ostro i przeważającym przeciwnikiem.

„*W 1940 roku* — pisze Gieorgij Żukow we „Wspomnieniach i refleksjach" — *partia i rząd podjęły szereg dodatkowych kroków zmierzających do umocnienia obronności kraju. Ekonomiczne możliwości nie pozwoliły jednak w tak krótkich terminach całkowicie zrealizować zamierzeń organizacyjnych i innych przedsięwzięć dotyczących sił zbrojnych. Wojna zaskoczyła kraj w stadium reorganizacji, przezbrajania i przeszkalania wojsk, tworzenia niezbędnych zapasów mobilizacyjnych i rezerw państwowych. Nie planując wojny i dążąc do jej uniknięcia, naród radziecki poświęcał wszystkie swe siły i środki realizacji pokojowych planów gospodarczych.*

W okresie narastania niebezpiecznej sytuacji wojennej prawdopodobnie my, wojskowi, nie uczyniliśmy wszystkiego, by przekonać Stalina o nieuchronności wojny z Niemcami w najbliższym czasie i udowodnić konieczność wcześniejszej realizacji pilnych zamierzeń, przewidzianych w planach operacyjnych i mobilizacyjnych".

A w innym miejscu tej samej książki Gieorgij Żukow napisał:

„Stalin był przekonany, że hitlerowcy w razie wojny ze Związkiem Radzieckim będą w pierwszej kolejności dążyć do opanowania Ukrainy i Zagłębia Donieckiego, aby pozbawić nasz kraj bardzo ważnych pod względem ekonomicznym regionów, zdobyć ukraińskie zboże, doniecki węgiel, a następnie kaukaską naftę. Podczas omawiania planu operacyjnego wiosną 1941 roku Stalin mówił: „Bez tych, tak życiowo ważnych zasobów Niemcy faszystowskie nie będą w stanie prowadzić długotrwałej, na szeroką skalę zakrojonej wojny".

Stalin był dla nas najwyższym autorytetem i nikomu wtedy nawet nie przyszło do głowy wątpić w słuszność jego sądów i oceny sytuacji. Jednakże przewidywania Stalina odnośnie do kierunku głównego uderzenia nieprzyjaciela okazały się błędne".

Główne uderzenie poszło bardziej na północ od Ukrainy, przez Białoruś i republiki nadbałtyckie. Celem tego uderzenia była Moskwa.

22 czerwca 1941 roku okręgi wojskowe: Bałtycki, Zachodni, Kijowski przekształcono we Fronty: Północno-Zachodni, Zachodni i Południowo-Zachodni. Ale jeszcze tego dnia Józef Stalin doszedł do wniosku, że *„dowódcy Frontów nie posiadają dostatecznego doświadczenia w kierowaniu działaniami bojowymi wojsk i najwidoczniej są trochę zdetonowani".* Postanowił więc powysyłać do dowództw Frontów przedstawicieli Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa. Na Front Południowo-Zachodni pojechał Gieorgij Żukow, na Front Zachodni Borys Szaposznikow.

W tym miejscu należy przypomnieć, że w wyniku prowokacji wywiadu hitlerowskiego Armia Czerwona — jak pisze w książce „1941 — 22 czerwca" Aleksander Niekricz — *„straciła swych najlepszych dowódców w chwili, gdy na horyzoncie zbierały się coraz gęstsze chmury nadciągającej wojny. Nie było rzeczą łatwą przygotować w krótkim czasie nowych dowódców pułków, brygad, dywizji i korpusów. Dowódcom pododdziałów, wysuniętym na te stanowiska, brakowało często wiedzy, doświadczenia, których nie mogły zastąpić tylko zdolności i ofiarność. Wyższe wykształcenie wojskowe posiadało na początku wojny wszystkiego 7 proc. oficerów, 37 proc. nie miało pełnego średniego wykształcenia wojskowego. W połowie 1941 r. około 75 proc. dowódców i 70 proc. pracowników politycznych zajmowało swe stanowiska nie dłużej niż rok. Dopiero w toku wojny wyszły na jaw talenty dowódców, zajaśniała w całym blasku ich umiejętność dowodzenia".* Jednym z nich — choć przecie dał się poznać i przed wojną na polach bitewnych Dalekiego Wschodu — był generał Konstanty Rokossowski.

„Sądzę — napisał Iwan Bagranian w książce „Tak wykuwaliśmy zwycięstwo" — *że dla generała armii Rokossowskiego naczelny dowódca żywił szczególną sympatię. Timoszenko opowiadał mi, że Stalin porównywał Rokossowskiego z Dzierżyńskim. „Taki sam — powiadał — uczciwy, mądry, dobry, ludzki, tylko Feliks był trochę twardszy i surowszy".*

Gdy 9 korpus zmechanizowany pod dowództwem Konstantego Rokossowskiego walczył pod Nowogrodem Wołyńskim z prącymi na Kijów wojskami niemieckimi, przyszedł rozkaz odwołujący go do Moskwy, gdzie otrzymał nowe zadanie. *„Dowiedziałem się* — pisze Konstanty Rokossowski — *że Kwatera Główna i dowództwo Frontu Zachodniego, biorąc pod uwagę znaczenie rubieży Dniepru, postanowiło utworzyć w rejonie Jarcewa silną grupę ruchomą, złożoną z dwóch, trzech dywizji pancernych i jednej dywizji piechoty. (...) — A w ogóle bierzcie pod swoje dowództwo wszystko, co spotkacie na drodze z Moskwy do Jarcewa".*

Stało się inaczej. Radzieccy dowódcy, w tym Georgij Żukow, przewidzieli kierunki uderzeń pod Kurskiem i przygotowali kontruderzenie, które zaskoczyło Niemców. Była to krwawa i długa bitwa. W jej ramach pod Prochorowką doszło do gigantycznej bitwy czołgów. Po obu walczących stronach brało udział po 1500 czołgów. Niemcy bitwę tę przegrali, jak przegrali całą bitwę pod Kurskiem. Wojska radzieckie przeszły do natarcia i przejęły inicjatywę strategiczną, nie oddając jej przeciwnikowi już do końca wojny. Wieczorem 5 sierpnia 1943 roku — po raz pierwszy w historii wojny niemiecko-radzieckiej — w Moskwie oddano salut artyleryjski dla uczczenia wojsk, które wyzwoliły Orzeł i Biełgorod.

I tak już było przez całą wojnę, że kierowano go wszędzie tam,

GDZIE ROZGRYWAŁY SIĘ LOSY WOJNY

W bitwie o Moskwę bronił kierunku wołokołamskiego. To właśnie politruk dywizji panfiłowskiej broniącej Moskwy na odcinku dowodzonym przez Konstantego Rokossowskiego — Wasilij Kłoczkow wypowiedział słowa, które obiegły Rosję i świat:

— *Rosja jest wielka, ale nie ma gdzie się cofać — za nami jest Moskwa.*

Trzykrotnie odtwarzał 16 armię, którą dowodził. Później był Stalingrad i dowództwo Frontu Dońskiego. Sylwestra 1942 roku spędził pod Stalingradem razem z Wandą Wasilewską i jej mężem Aleksandrem Korniejczukiem. Był współautorem ultimatum skierowanego do okrążonej od 23 listopada 1942 roku 6 armii feldmarszałka Friedricha von Paulusa i niektórych związków 4 armii pancernej. W ultimatum tym proponowano honorowe warunki kapitulacji:

„Gwarantujemy wszystkim, którzy zaprzestaną oporu, oficerom, podoficerom i szeregowcom, życie i bezpieczeństwo, a po zakończeniu wojny — powrót do Niemiec lub jakiegokolwiek innego kraju, do którego będą chcieli się udać.

Cały stan osobowy wojsk, który złoży broń, zatrzymuje mundury wojskowe, dystynkcje i ordery, osobiste rzeczy i przedmioty wartościowe, wyższa zaś kadra oficerska — również białą broń.

Wszyscy poddający się oficerowie, podoficerowie i szeregowcy będą natychmiast mieli zapewnione normalne wyżywienie.

Wszystkim rannym, chorym i mającym odmrożenia udzieli się pomocy medycznej".

Wysłanych parlamentariuszy z dużą białą flagą niemieccy żołnierze ostrzelali. Ultimatum nie zostało przyjęte. 31 stycznia 1943 roku feldmarszałek Friedrich von Paulus poddał się jednak; część wojsk niemieckich jeszcze walczyła do 2 lutego 1943 roku.

W słynnej bitwie na łuku kurskim dowodził Frontem Centralnym. Ta bitwa miała zdecydować o losach wojny ze Związkiem Radzieckim. Adolf Hitler w ściśle tajnym rozkazie z 15 kwietnia 1943 roku stwierdził:

„Na kierunkach głównych uderzeń trzeba użyć najlepszych jednostek, najlepszej broni, postawić najlepszych dowódców i zapewnić dużą ilość amunicji. Każdy dowódca, każdy szeregowy żołnierz musi być przeświadczony o decydującym znaczeniu tego natarcia. Zwycięstwo pod Kurskiem powinno stanowić pochodnię oświetlającą drogę całemu światu".

Później były walki nad Dnieprem, dowodzenie 1 Frontem Białoruskim, słynna operacja „Bagration" czyli wyzwolenie Białorusi. Wojska 1 frontu Białoruskiego dotarły pod Warszawę, wyzwoliły Chełm i Lublin. W Lublinie Konstanty Rokossowski wstrząśnięty widokiem pomordowanych w Zamku i na Majdanku przemawiał do zgromadzonych ludzi na Placu Zamkowym po polsku. Mówił o wspólnej walce wojsk radzieckim i polskich — 1 Armii Wojska Polskiego.

Spotkanej, po wielu latach niewidzenia, swojej młodszej siostrze Helenie zwierzył się, że gdy wszedł do Warszawy, to ukląkł i ziemię ucałował.

— *Ty nie wiesz* — mówił — *jakie ja miałem uczucie, gdy wszedłem do Polski.*

29 czerwca 1944 roku został marszałkiem ZSRR. 18 listopada 1944 roku objął dowództwo 2 Frontu Białoruskiego, który wyzwalał tereny nadmorskie.

Po zakończeniu działań wojennych został dowódcą Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej stacjonującej w Polsce i w radzieckiej strefie okupacyjnej.

6 listopada 1949 roku został przez Radę Państwa mianowany marszałkiem Polski i ministrem obrony narodowej.

Wśród tych, którzy go znali

POZOSTAWIŁ DOBRE WRAŻENIE

Józef Winiewicz, kiedy jeszcze był ambasadorem w Waszyngtonie dwukrotnie spędzał Sylwestra w Polsce. *„Na drugim sylwestrze* — wspomina w książce „Co pamiętam z długiej drogi życia" — *znaleźliśmy się w sali dzisiejszego kina „Klub". Siedzieliśmy przy stole wraz z Jóźwiakami obok marszałka Rokossowskiego, państwa Jędrychowskich i Szyrów, od czasu do czasu przysiadał się jeszcze ktoś inny. Nastrój panował bezpośredni. (...) Marszałek Rokossowski dużo ze mną rozmawiał. Jeśli tylko panie nie porywały go do tańca. Rozrywano go. Pytał o oceny polityczne i warunki pracy na placówce. Był prosty, bezpośredni, bez cienia jakiejkolwiek pozy. Mówił dobrze po polsku, z lekkim rosyjskim akcentem, czasem brakowało mu słów".*

Adam Michalski w książce „Los się przychylił" opisuje między innymi swoją pracę w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego.

„Z tego okresu mile wspominam marszałka Rokossowskiego. Pracując w budynku, w którym i on miał swój gabinet, spotykałem go od czasu do czasu na korytarzu, kiedy wychodziłem z kolegą na papierosa. Nigdy nie przeszedł koło nas, by nie zatrzymać się i nie podać nam ręki. Czasem zamieniał z nami kilka słów. Pytał o zdrowie, o pracę i warunki mieszkaniowe, o rodzinę. Pewnego razu opowiedziałem mu o tym, że mam chorą żonę, że mieszkamy pod Warszawą i żona przeziębiła się w pociągu podczas dojazdu do pracy, ale pomimo choroby nie zaniedbuje swoich obowiązków. Marszałek wyjął notes i zapytał o nazwisko i miejsce pracy. Wszystko to sobie zanotował.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy po dwóch tygodniach zostałem poproszony przed oblicze komisji mieszkaniowej Sztabu Generalnego. Zaproponowano mi małe mieszkanie służbowe na parterze w nowym budynku na Mokotowie. Nie wiedziałem, co mam robić — dziękować czy skakać z radości w obecności komisji? Wkrótce taką samą radość przeżyła moja żona w domu".

Był utalentowanym dowódcą, wielkiej miary żołnierzem. Wniósł znaczny wkład w unowocześnienie armii polskiej. Na II Zjeździe PZPR mówił między innymi:

„W strukturze klasowej oficerów Wojska Polskiego zaszły również poważne zmiany. Znacznie wzmocnił się trzon kadry oficerskiej wywodzącej się z ludu. Jeśli przed I Zjazdem naszej partii odsetek oficerów pochodzenia robotniczego wynosił zaledwie 21 proc., to teraz wynosi on 50 proc. Oficerowie — wychowankowie szkół oficerskich i akademii Ludowego Wojska Polskiego stanowili wówczas 68 proc. kadry oficerskiej, obecnie zaś stanowią 96 proc.".

I dalej.

„Technika bojowa i uzbrojenie stanowią materialną bazę zdolności bojowej armii. Ale technika bez ludzi jest rzeczą martwą. O zwycięstwie w nowoczesnej wojnie decydują ludzie silni duchem, słusznością swojej sprawy i umiejętnością posługiwania się nowoczesnym uzbrojeniem i sprzętem bojowym. Potęga sił zbrojnych i ich gotowość bojowa zależne są przede wszystkim od składu osobowego wojska, od ludzi bezgranicznie oddanych swojej Ojczyźnie. A z takich ludzi składa się nasze wojsko".

Na VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956 roku musiał wyjaśniać sprawę ruchu wojsk radzieckich. Powiedział wtedy:

„O częściowym ześrodkowaniu niektórych jednostek dla celów specjalnych wie Biuro Polityczne. Zrobiono to w związku z doświadczeniami wynikającymi z wypadków poznańskich. Teraz, co się tyczy ruchu wojsk radzieckich. Specjalnie otrzymałem takie zadanie Biura Politycznego, żeby wyjaśnić, bo były takie sygnały, że jest jakiś ruch, posuwanie się wojska. Rzeczywiście wojska radzieckie posuwały się. Przeprowadzały jesienne manewry na terenie, gdzie rozlokowana jest grupa wojsk radzieckich. Wojska te posuwały się w kierunku Bydgoszczy i w kierunku Łodzi. W związku z tym z polecenia Biura Politycznego zwróciłem się do marszałka Koniewa, który kierował tymi ćwiczeniami, o to, żeby posuwanie się wojsk północnej grupy na wschód zatrzymać i żeby wróciły z powrotem do swych garnizonów stałego rozlokowania".

Wypowiedź ta nie zjednała Konstantemu Rokossowskiemu popularności. Wprawdzie Stanisław Skrzeszewski zgłosił jego kandydaturę do Biura Politycznego, gdyż pierwotnie kandydatura ta nie była brana pod uwagę, ale to nie zmieniło sytuacji. Wniosek na VIII Plenum KC PZPR poparł Bolesław Rumiński. Popierając tę kandydaturę powiedział:

„Jakie są argumenty przeciwko tow. Rokossowskiemu? Nie mówimy o tym otwarcie z trybuny, a warto, żeby towarzysze po komunistycznemu, tak jak czują i myślą, o tym powiedzieli. Ja słyszałem o tow. Rokossowskim wiele dobrych rzeczy, a w ostatnich dniach i złych. O tym, że nie wszystko jest w porządku i styl pracy tow. Rokossowskiego nie najlepszy. O tym, że w wojsku mogłoby być inaczej".

W tajnym głosowaniu na 75 głosujących Konstanty Rokossowski otrzymał 23 głosy. W najbliższych dniach zgłosił dymisję z zajmowanych stanowisk.

Na sesji Sejmu PRL 13 listopada 1956 roku Józef Cyrankiewicz powiedział:

„Jest propozycja, ażeby przyjąć rezygnację obywatela Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego ze stanowiska wicepremiera Rady Ministrów i ministra obrony narodowej i żeby na stanowisko ministra obrony narodowej powołać obywatela generała dywizji Mariana Spychalskiego".

Sejm przychylił się do tego wniosku.

Po wyjeździe do ZSRR — a miał wówczas 60 lat — powrócił do służby w Armii Radzieckiej. Był zastępcą ministra obrony ZSRR, dowódcą Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego, głównym inspektorem Armii Radzieckiej.

„Po latach — wspomina Józef Winiewicz w swojej książce „Co pamiętam z długiej drogi życia" — *wracając późno z jakiegoś spotkania w Moskwie, w holu hotelu, gdzie mieszkałem natknąłem się na grupę wyższych oficerów radzieckich, właśnie kończących wspólną wieczerzę i już wychodzących. Wśród nich szedł Rokossowski. Poznał mnie, natychmiast zatrzymał się, gawędziliśmy chwilę i nie zapomnę nuty goryczy w głosie, gdy w pewnej chwili się odezwał: — „Tak, panie Józefie — chociaż zawsze mówił „towarzyszu"! — Tutaj uchodzę za Polaka, ale tam, u nas (!) w Polsce, mówi się o mnie jako o rosyjskim marszałku".*"

Powiedział to oczywiście po polsku.

Czyż nie było tragedią tego człowieka, który po latach walki i tułaczki po szerokich przestrzeniach Rosji, wypełniając internacjonalistyczny obowiązek komunisty, wrócił do swego rodzinnego kraju, w którym nie mógł pozostać?

Zmarł 3 sierpnia 1968 roku, po ciężkiej chorobie. Pochowano go pod murem kremlowskim wśród najbardziej zasłużonych.

P.S. W poprzednim odcinku, w jego zapowiedzi nad tytułem zdarzył się przykry błąd: zamiast „wraz z jej gojaterem" powinno być: „wraz z jej bohaterem". Za błąd ten serdecznie przepraszam Czytelników.

L. W.

Marszałek Konstanty Rokossowski wizytuje wojska w czasie ćwiczeń na poligonie

ze str. 1

nących świeczek w sklepach i zziębniętych ekspedientek, które obsługują przy zamkniętych drzwiach ostatnich klientów.

W domu młodzież ćwiczy na sucho tańce do studniówki. Przy świecy, bo wyłączono prąd. Dwudziesty stopień zasilania.

Za oknem ściska mróz, a w mieszkaniu robi się jasno, jest już prąd. Synoptycy zapowiadają dalsze opady, ale w połowie tygodnia temperatura ma wzrosnąć. Szkoda, bo zima ma naprawdę swój urok. Nic, tylko płakać ze szczęścia...

— Halo, MPO? Dzień dobry, Dorożyński z „Odgłosów" się kłania, zastałem dyrektora Spryszyńskiego?

— Dzień dobry, łączę... — Witam redaktorze, tu Spryszyński, co dobrego?

— Samo dobre, właśnie po godzinie bez dwóch minut dotarłem z Widzewa-Wschodu do redakcji...

— Samochód nawalił?

— Wprost przeciwnie, nawet „odpala" bez kłopotów, ale na Promińskiego, na wiadukcie dwa autobusy nie mogąc pokonać niewielkiego przecież wzniesienia — zablokowały cały ruch. Było tak ślisko, że traktor wyposażony w łańcuchy nie mógł uciągnąć przyczepy. Natomiast na pokonanie skrzyżowania trasy W-Z z Kilińskiego potrzebowałem osiem zmian świateł...

— Tak, tak, jest ślisko...

— Tak, tak — i co pan na to?

— No cóż, robimy co możemy...

— Ale niewiele możemy?

— Sypiemy mieszanki chlorków z piaskiem, ale wie pan, to niewiele daje, wiatr rozwieje, samochody na boki rozrzucą... Jest zbyt zimno...

— A te cholerne muldy, które wręcz uniemożliwiają normalny przejazd przez wiele skrzyżowań? To są zdaje się efekty zbyt późnego odrzucenia pierwszych warstw śniegu?

— W czasie opadów jeździliśmy przecież na okrągło, non stop, ale śnieg też walił bez przerwy, samochody rozjeżdżały to, cośmy odgarnęli, wszystko razem zamarzało — i to są skutki.

— Czekamy na odwilż?

— Niech pan nie żartuje; swoimi pługami nie dajemy rady tego zerwać, ale do miasta wkroczyły wypożyczone z budownictwa ciężkie spychacze, WPDiM dał równiarki, pracują już nawet brony talerzowe...

— Gdzie? Gdzie pracują, bo połowę miasta przejechałem i żadnej brony nie widziałem.

— To już Inżynier Województwa, oni tę sprawą koordynują.

— Dobrze, zadzwonię, a jak wyglądacie dyrektorze z wywozem śmieci? Opóźnienia pewnie sięgają już miesiąca?

— Nie jest tak tragicznie, ale są duże. Są rzeczywiście posesje, które czekają od trzech tygodni nawet. Ale przy tych temperaturach jeden „bęben" opróżnia w czasie zmiany zaledwie 40—60 pojemników, gdy normalnie — 100—120, a dziś dla przykładu zamiast 50 „śmieciarek" udało się wyekspediować w miasto 39 wozów. W dodatku jedna trzecia obsługi tych wozów choruje, co też przy takiej aurze nie powinno dziwić...

— Wytrzymamy w tych śmieciach do wiosny? Czytał pan „Króla szczurów"?

— Ale film oglądałem. Gdyby choć zelżało do minus dziesięciu, to pozbieramy się szybko, naprawdę.

— Halo, „Odgłosy"? Inżynier Województwa — zastałem redaktora Dorożyńskiego?

— Jestem, cześć Andrzej! Słuchaj, mam parę spraw, ty będziesz wiedział najlepiej...

— Byle szybko, bo zaraz gnam na drogi, jest dość ciężko...

— No właśnie, co z tymi muldami? Podobno nawet brony talerzowe walczą z zimą..

— A co! Używamy co się da; rzeczywiście są i ciężkie spychacze, równiarki, brony z SKR, w sumie kilkanaście maszyn.

— Gdzie one są. Jeździłem...

— Akurat na nie nie trafiłeś, ale pracują, sam przed minutą wróciłem z objazdu. Wymienić ci ulice? Nie? Przede wszystkim rogatki, tranzyt i główne arterie z których korzysta MPK. Ale przecież w godzinę ani w dzień nie zerwiemy tego lodu w całym mieście.

— Ale na Kilińskiego...

— Stary, w takich warunkach nie jeździ się ulicą Kilińskiego, ani żadną inną, wąską, z torami tramwajowymi, bo na nich samochody mogą wyczyniać dziwne „figury". Doświadczony kierowca wie, jakie trasy wybierać w śnieżyce i mrozy. Słuchaj, zadzwoń później — muszę lecieć...

— Tak jest, panie inżynierze!

W DOMU I PRZED DOMEM

Spółdzielnia Mieszkaniowa Teofilów — mówi dyrektor **Bernard Kisiel:** — Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że większość naszych obiektów była dobrze przygotowana do zimy — pozamykane, uszczelnione okna w piwnicach i na klatkach schodowych, uzupełnione brakujące szyby, zabezpieczone przed mrozem instalacje wodne i centralnego ogrzewania. Dzięki temu obecnie nie nękają nas awarie. Oczywiście drobne awarie zdarzają się — nie więcej jednak niż do 10 dziennie. Posiadamy odpowiednią ekipę fachowców, którzy na bieżąco dają sobie radę z ich usuwaniem.

— Mogłoby być jeszcze lepiej, bowiem zaledwie część tych awarii występuje z przyczyn obiektywnych, pozostałe są wynikiem niedbalstwa czy braku przezorności ludzi. Np. jeśli zamarza instalacja wewnątrz pawilonów handlowych i usługowych (a właśnie sporo tego typu przypadków ostatnio wystąpiło), to winien jest ten, kto zapomniał zamknąć okna albo za późno zgłosił nam drobne uszkodzenie, wtedy dopiero, gdy powstały już większe szkody.

— We wszystkich niemal budynkach wymieniliśmy grzejniki panelowe na żeliwne — tak, że i z tej strony nie grożą nam przykre niespodzianki. Na wszelki wypadek, gdyby w tych nielicznych blokach, gdzie jeszcze są panele, zdarzyły się pęknięcia — mamy niewielki zapas żeberek.

— Niezależnie od pogotowia spółdzielczego i służb miejskich uruchomiliśmy na czas mrozów własne, wewnętrzne pogotowie całodobowe. Potrzebne jest zwłaszcza teraz, gdy rozpoczęły się wyłączenia energii elektrycznej. W budynkach średniowysokich powoduje to automatyczne wyłączenie hydroforni i brak wody w mieszkaniach. Ponowne włączenie nie jest automatyczne — trzeba to zrobić ręcznie i staramy się, aby następowało jak najszybciej.

— Nie mamy natomiast wpływu na poprawę ogrzewania mieszkań. Kłopoty w EC-III powodują spadki dostawy energii i w konsekwencji w części mieszkań temperatura wynosi 12—16 stopni.

— Kolejny nasz kłopot — to gospodarze domów. Brakuje ludzi do tych prac, niektórzy, pracujący zaledwie od lata, porzucili pracę z nastaniem mrozów. Ci, którzy są, nie zawsze pracują dobrze.

— Zresztą nawet dozorcy sumiennie spełniający obowiązki w obecnych, bardzo trudnych warunkach nie zawsze dają sobie radę. U nas, w nowych osiedlach na każdego z nich przypada teren znacznie większy niż w zwartej, śródmiejskiej zabudowie, a wszystkie prace trzeba wykonać ręcznie. Niektórzy posługują się małymi spalinowymi pługami, ale są to dozorcy-racjonalizatorzy. Ten sprzęt zrobili sami. Generalnie brak na naszym rynku małego sprzętu do akcji „zima". Parę lat temu były niewielkie ilości ułatwiających pracę niewielkich maszyn i urządzeń z importu, ale okazało się, że jest to sprzęt zbyt delikatny na nasze ostre zimy. Tak więc dozorcom pozostaje szufla i łopata...

Podobne problemy ma administracja budynków komunalnych. Mówi **Elżbieta Kaszycka-Perz,** dyrektor PGM-Bałuty: — akurat jest dziś dzień przyjęć i mamy dosłownie urwanie głowy. Większość interesantów, to ludzie skarżący się na zimno w mieszkaniach, zwłaszcza tych z centralnym ogrzewaniem. Temperatura wody na wejściu do budynków powinna mieć około 150 stopni. Od kilkunastu dni nie przekracza 108. W efekcie w wielu mieszkaniach jest około 11 stopni i ludzie marzną.

— Ponadto znacznie dają się we znaki i nam i mieszkańcom planowe wyłączenia energii. Oczywiście musimy pogodzić się z tą koniecznością, ale chcielibyśmy wiedzieć, w jakim terminie i które rejony będą wyłączane. Automatycznie wyłączają się pompy na przepompowniach ciepła i temperatura w mieszkaniach szybko spada. Włączać je trzeba ręcznie. Właściwie jest to zadanie dla pracowników Zakładu Sieci Cieplnej, ale brakuje im ludzi, więc staramy się pomóc. Zdarza się jednak, że mieszkańcy dość długo czekają na włączenie ciepła — bo my nie wiemy nawet, który rejon został wyłączony.

— Kłopoty mamy także z odśnieżaniem — nasz własny sprzęt to zaledwie jeden żuk i jeden tarpan. Wynajmujemy pługi i piaskarki, ale przecież nie wszędzie mogą dojechać. Główna praca spada na dozorców.

— Powinniśmy mieć około 420 gospodarzy domów. Brakuje nam 60 osób, drugie tyle każdego dnia przebywa na zwolnieniach lekarskich. Pozostali pracują różnie. Niekiedy zresztą trudno się dziwić, że ulica czy chodnik nie są na czas odśnieżone, bowiem większość zatrudnionych u nas to kobiety, często starsze, które po prostu nie dają sobie rady.

— Udzielamy upomnień, potrącamy premie, ale nie zawsze odnosi to pożądany skutek. Zresztą i sami nie jesteśmy w stanie skontrolować każdego dnia otoczenia wszystkich budynków. Wbrew temu, co mówi się o przeroście administracji, w naszych administracjach osiedlowych na około 200 budynków przypada 1—2 osoby, które przecież, oprócz kontroli gospodarzy domów, mają także inne zadania...

Obok administracji i służb komunalnych pewnego rodzaju nadzór nad odśnieżaniem sprawuje także milicja.

Mówi kapitan **Ryszard Matczak** z DUSW — Bałuty: — Mandat wszystkiego nie załatwi, dlatego staramy się brać pod uwagę warunki, czynnik ludzki. Bo jak np. ze spokojnym sumieniem ukarać ponad 70-letniego właściciela prywatnej kamienicy za to, że nie odśnieża? Po prostu nie ma siły. A lokatorzy, zamiast chodzić na skargi, lepiej by po prostu pomogli, także we własnym interesie. No, ale to już zależy od dobrej woli. Nie zawsze zresztą zaspy i bałagan wokół domu są spowodowane czyimś wiekiem czy złym stanem zdrowia.

— Wielu dozorców po prostu źle pracuje — i wtedy sięgamy po bardziej radykalne środki, choć też nie od razu po mandat.

— Od początku mrozu i opadów nasi funkcjonariusze — przede wszystkim dzielnicowi, ale także służby patrolowe — przypominali o konieczności właściwego spełniania obowiązków, czyli udzielili pouczenia 712 osobom. Nie w każdym przypadku było to pouczenie skuteczne. „Sprzedaliśmy" więc także 277 mandatów na ogólną sumę przekraczającą 382 tys. zł. (a więc średnio każdy mandat ponad 1000 zł). Ukaranych w ten sposób zostało 169 dozorców, 80 właścicieli prywatnych nieruchomości, trzech kierowników zakładów pracy i 18 innych osób.

W przypadku, gdy mandat nie pomógł — lub ukarany odmówił jego przyjęcia skierowaliśmy 31 wniosków do kolegium.

Z naszych obserwacji wynika, że najlepszy porządek w naszej dzielnicy panuje wokół prywatnych budynków jednorodzinnych. Ich właściciele usuwają śnieg nie tylko z własnych podwórek i chodnika, lecz także z jezdni, do czego szczególnie trudno skłonić dozorców...

W SZPITALU, APTECE I SZKOLE

We wtorek 13 stycznia 1987 r. **Wojewódzki Szpital Zespolony im. M. Kopernika** miał ostry dyżur dla miasta. Na chirurgii trzeba było ustawić czternaście dodatkowych łóżek. Właściwie wszystkie oddziały z wyjątkiem neurologii pracują z dodatkowymi łóżkami. Ludzie łamią się wędrując po oblodzonych ulicach. Nasiliły się dolegliwości osób starszych szczególnie ciężko znoszących mrozy, niedogrzanie mieszkań, kłopoty komunikacyjne. Szpital ma zaledwie 50 proc. obsady personelu, przetrzebionego chorobami.

Doktor **Władysław Gos** powiada, że sytuację można określić po japońsku. Jako tako. Płakać w kamizelkę nie ma co, narzekanie niczego nie załatwi. Trzeba robić swoje. I szpital pracuje, mimo wysiadających kaloryferów; trzy razy na dzień coś musi wysiąść, nie ma siły. Póki co jednak, nie dokucza brak prądu, bo elektrownia szpital oszczędza, a w razie czego jest własny system zasilania. Szpitalni fachowcy starają się utrzymać w sprawności wszystkie konieczne instalacje, od ręki naprawiając to, co nie wytrzymuje temperatury. Najgorzej jest wtedy, kiedy zawieje wiatr od wschodu, akurat prosto w okna sal chorych. Wtedy trzeba wydać dodatkowe koce, bo w salach jest temperatura od 14 stopni do 16 w porywach.

Referent administracyjno-techniczny szpitala im. **Biegańskiego** pan **Szczygielski** powiada, że opał jest, ciepło jest, lamentować nie ma powodu. Pewnie, nie ma tak dobrze, żeby wszystko działało bez usterek i awarii, ale z tym sobie radzą rozbudowane służby techniczne przyszpitalnych warsztatów. Bez względu przecież na warunki pogodowe szpital nie może zamknąć drzwi, chorych trzeba przyjmować, zwłaszcza że znacznie zwiększyła się liczba chorych potrzebujących pomocy.

Podobnie można by opisać sytuację innych łódzkich szpitali. Lekko nikomu nie jest, ale swoje robić trzeba. Owszem są awarie, jak nie kaloryfery wysiądą, to znowu kanalizacja, albo pralnia, albo nie wytrzyma aparatura medyczna, lub są kłopoty z łącznością telefoniczną. Personel choruje, jak wszyscy inni, notorycznie brakuje salowych i sanitariuszy, ale przecież jakoś wszystkie szpitale sobie radzą.

Znacznie poważniejsza jest sytuacja, jak chodzi o zaopatrzenie województwa w leki. Że z lekarstwami jest źle, to wiadomo nie od dziś. Braki obejmują w zasadzie wszystkie grupy leków. Nie można powiedzieć, że nie ma zupełnie czym leczyć, bo to byłoby nieprawdą, ale nie da się ukryć, że jest niedobrze. Szczególnie brakuje antybiotyków i łódzki CEFARM boi się, by nie wywołać paniki powodującej zbędne zakupy na zapas... Brakuje witaminy „C", syropów, w niektórych grupach leków niedobory wynoszą do 60 procent zapotrzebowania. Priorytet w zaopatrzeniu mają szpitale, choć i tu nie udaje się zrealizować wszystkich zamówień. Zima o tyle tylko utrudnia sytuację, że zwiększyły się kłopoty z dystrybucją leków.

Łódzki CEFARM dysponuje zaledwie 33 samochodami, od 1982 roku nie przybył ani jeden samochód. Stan techniczny ustawicznie eksploatowanych samochodów można określić jedynie słowem — ruina. Toteż zima, stan jezdni, brak części zamiennych dodatkowo wyłączają z ruchu samochody. Poważnie zwiększyła się liczba poszukiwanych leków na hasło „na ratunek". Trzy pociągi przyjeżdżające codziennie do Łodzi z Warszawy zawsze przywożą kolejną paczkę leków „na ratunek". Dyrektor **Jankowska** stara się przynajmniej spokojnie i grzecznie udzielać informacji telefonicznych, zdając sobie doskonale sprawę, jak to jest niewiele i jak mało pomaga zdenerwowanym ludziom poszukującym bezowocnie potrzebnych lekarstw. Informacja CEFARMU, stale obsługiwana przez dwie osoby dyżurujące przy telefonie daje niewesoły obraz sytuacji.

Wiele osób usiłuje się dodzwonić do bez przerwy oblężonego telefonu zadając pełne goryczy pytania: dlaczego nie brakuje kosztownych perfum za 4 tysiące flakon, dlaczego można obejrzeć w sklepach bluzki, swetry, suknie z importu za jakieś grube tysiące, dlaczego bez problemu można dostać importowany, kosztowny proszek do prania lub w PEWEXIE rozmaite luksusowe drobiazgi, a brakuje bezwzględnie koniecznych lekarstw zagranicznych. Szczególnie tych, które nie mają swych krajowych odpowiedników. Bezsilny wobec tych pytań personel CEFARMU stara się jedynie wskazywać możliwe do otrzymania specyfiki zastępcze, lub chociaż podeprzeć dobrym słowem znękanych chorych i ich rodziny...

Drodzy Czytelnicy — **uważajmy na siebie! Zima trzyma, starajmy się wytrzymać i my!**

Chociaż w wielu łódzkich szkołach postanowiono zawiesić działalność. Nie tyle może z braku opału lub niedogrzewania pomieszczeń szkolnych, ile raczej z powodu ogromnych kłopotów komunikacyjnych. Mieszkańcy miasta wyczekują godzinami na przystankach, autobusy poruszają się bardzo wolno po oblodzonych jezdniach, z tego też powodu dyrekcje wielu szkół uznały za niecelowe narażanie dzieci, zwłaszcza klas młodszych na trudy w docieraniu do szkoły i możliwości zachorowania.

W niektórych szkołach prowadzi się zajęcia lekcyjne w ograniczonym wymiarze, to znaczy po pół godziny jedna lekcja. Po budynkach szkolnych trwają wędrówki ludów małoletnich przenoszących się na zajęcia do tych pomieszczeń, w których temperatura umożliwia sensowną pracę.

Ograniczenie normalnego rytmu działania szkół wszystkich szczebli nie oznacza zupełnego zamrożenia. Szczególnie szkoły podstawowe realizują obowiązek zapewnienia dzieciom opieki w świetlicach. Działają także szkolne stołówki wydające dzieciom obiady lub chociaż gorące mleko. Pracujący rodzice nie zawsze mogą uzyskać zwolnienie z pracy na opiekę nad dzieckiem, którego szkoła zawiesiła działalność. Toteż zawsze czynna jest szkolna świetlica i pełnione są dyżury nauczycieli organizujących zajęcia. Wielu rodziców mimo wszystko nie decyduje się wysyłać dzieci z domu, co powoduje, że w wielu zakładach absencja chorobowa lub spowodowana opieką nad dzieckiem, znacznie przekracza średnią przeciętną.

W ENERGETYCE, I GAZOWNI

Śnieg zasypał tory i wiele pociągów utknęło w drodze, trzeba je było łopatami odkopywać. A były to pociągi oczekiwane. Wiele z nich wiozło węgiel dla elektrociepłowni. Zapasy węgla szybko się wyczerpują i energetycy wypatrują ich jak zbawienia. W EC II było węgla na 3 i pół dnia, w EC III — na 3 dni, tylko w EC IV na 23 dni. Popsuł się wprawdzie taśmociąg, ale to nie wpłynęło na pracę tej elektrociepłowni. Najgorzej jest w EC I, która praktycznie nie daje ciepła, gdyż nie ma węgla — groszku potrzebnego do opalania kotłów. Jej zadania przejęły EC II i EC III. Ten węgiel dla EC I gdzieś jedzie. Szukali go wspólnie energetycy i kolejarze. Kiedy węgiel już dotrze do Łodzi, to powstanie problem szybkiego wyładowania. I tu potrzebna będzie pomoc dla energetyków.

Energetycy powiadają, że od nich woda wychodziła właściwie nagrzana: EC II ma dawać wodę do ogrzewania mieszkań o 115 stopniach i taką daje, EC III powinna dawać wodę o temperaturze 115 stopni, daje o temperaturze 110, EC IV ma dawać o temperaturze 120 i taką daje. W mieszkaniach natomiast jest zimno. Gdzie się zatem to ciepło podziewa?

Pozostańmy jeszcze chwilę w kręgu energetyki. Elektrociepłownie — jak wiadomo — dostarczają również parę dla potrzeb przemysłu. Duży ciężar zaspokajania potrzeb przemysłu w parę wzięła na siebie EC III. Energetycy powiadają, że przemysł bierze tę parę niezależnie od faktycznych potrzeb, że bierze jej maksymalnie tyle, ile elektrociepłownia może dać. A przecież można byłoby oszczędzać. Ba! Trzeba oszczędzać. Wiadomo na przykład, że niektóre zakłady produkcyjne nie mają pełnego zaopatrzenia w surowce i materiały, że część załogi można byłoby przesunąć do innych prac, choćby do odgarniania śniegu. Wtedy zapotrzebowanie na parę może być zmniejszone.

Co więcej. Energetycy oświadczają, że przemysł bierze tyle pary w dni wolne od pracy — w wolne soboty i w niedziele — ile bierze jej w dni powszednie. Znów można byłoby sporo paliwa zaoszczędzić, ale tego się nie robi. Jest to temat, który powtarza się od lat, z takim samym skutkiem, czyli bez żadnego rezultatu. Wszystko zaczyna się i kończy na słowach i apelach energetyków.

Wróćmy do pytania, co dzieje się z ciepłem, które wychodzi z elektrociepłowni i nie dociera do mieszkań? Sporo tego ciepła traci się po drodze. Im bardziej ziemia jest zamarznięta, tym większe straty. Po drugie — sieć cieplną nękają awarie. Są przecieki. Trzeba je odszukiwać, reperować. Po trzecie — winni temu są energetycy.

Jak wiadomo Centralna Dyspozytornia Mocy ogłasza codziennie stopień zasilania. Ostatnio był 20 stopień zasilania. Oznacza to, że wyłącza się rotacyjnie poszczególne rejony miasta w godzinach szczytu energetycznego. Wyłącza się elektryczność najczęściej bez ostrzeżenia. W zasadzie niby na godzinę, półtorej, ale w praktyce różnie to bywa. Kilku osobom już zdarzyło się marznąć w windzie. Brak energii elektrycznej zatrzymuje również urządzenia w wymiennikach ciepła w pompach. Do mieszkań nie płynie ciepła woda. Włączenie elektryczności nie oznacza automatycznego włączenia urządzeń węzłów cieplnych w blokach i osiedlach. Trzeba to robić ręcznie. Wymaga to zatem czasu. Najgorzej jest z osiedlowymi przepompowniami. Tak jest w rejonie Limanowskiego-Zachodniej, na Chojnach Zatorzu, w rejonie Obywatelskiej i na Karolewie. Generalnie niedogrzany jest Zgierz, ale to już z innych powodów.

Postanowiono, że nie będzie wyłączeń elektryczności w wieżowcach śródmieścia — na „Manhattanie". Ale są. Gdy tam wyłącza się elektryczność stają windy, szyby schodowe nie mają żadnego oświetlenia, nie można gotować, gdyż nie ma tam gazu. Zresztą energetycy wyłączając w poniedziałek, 12 stycznia 1987 roku, elektryczność powyłączali również centrale telefoniczne. Ba, nawet sami siebie pozbawili łączności telefonicznej. Dziś już takich błędów się nie robi.

W tych trudnych zimowych dniach możemy się uczyć praktycznie o wszechzwiązku rzeczy. Gdy w mieszkaniu robi się chłodniej, natychmiast rośnie zużycie elektryczności i gazu. Ludzie po prostu dogrzewają mieszkania piecykami elektrycznymi i gazem. (Są sposoby, ale nie napiszemy jakie, choć — jak pokazuje praktyka — ludzie i tak wiedzą jak gazem dogrzewać mieszkania!). W tych zimowych dniach w całym kraju zużycie gazu wzrosło o 50 procent. Większe zużycie elektryczności przyśpiesza wyłączenia, a co za tym idzie w mieszkaniach robi się zimno, bo nie działają węzły ciepłownicze. Rośnie zatem zużycie gazu. Pogarsza się jego ciśnienie. Gaz się pali, ale ciepła daje mało. Czasem trudno cokolwiek ugotować na takim gazie. Ale zużycie gazu rośnie. Koło robi się zamknięte. Pozostaje tylko czekać na wiosnę, a do wiosny daleko. Nie oszukujmy się zatem nadzieją, że wiosna wszystko za nas załatwi. Zima może jeszcze długo trzymać. Trzeba się zatem uczyć żyć w takich trudnych warunkach i sobie radzić.

JAKIE WNIOSKI WYNIKAJĄ Z NASZYCH RELACJI? Przede wszystkim takie, że mimo wcześniejszych deklaracji i zapewnień, nie byliśmy i nie jesteśmy przygotowani do zimy. W ogóle nie potrafimy przygotować się do skrajnie trudnych warunków. Obowiązującym stał się urzędowy optymizm, co przynosi powtarzające się złe skutki. Nie potrafimy wyciągać wniosków z tego, co już było. Zima ma prawo być surowa i trzeba to brać pod uwagę przy przygotowaniach do zimy.

Po drugie — jednostki gospodarki komunalnej, które pierwsze zawsze odpierają atak zimy nie potrafią współdziałać ze sobą. Doświadczenie — nie tylko tej zimy — pokazuje, że współdziałanie jest warunkiem dobrego i skutecznego sposobu przeciwdziałania trudnościom. Musi istnieć plan takiego współdziałania na wypadek zimy, a nie improwizacja wymuszona przez sztab zimowy, który wziął na siebie rolę koordynatora poczynań i ich wymuszania. Przy dobrej organizacji pracy i działania taki sztab jest zbędny. Jego potrzeba potwierdza tylko fatalną organizację pracy, co dla nikogo nie jest i nie powinno być zaskoczeniem.

Po trzecie — trzeba dopracować się systemu ostrzegania. Prognozowanie pogody jest już dziś dość precyzyjne i aż dziw bierze, że jakoś nie widać w działaniu służb komunalnych skutków takiego prognozowania. Za pośrednictwem radia i telewizji — a każdy gdzieś tam słucha lub ogląda — można powiadamiać o planowanych wyłączeniach i o innych nadchodzących niedogodnościach. Nie korzysta się z tego.

I na koniec. Było kiedyś przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie". Kolejna zima, która nas zaskoczyła, obaliła prawdziwość tego przysłowia. Nawet z dotkliwych szkód nie potrafimy niczego się nauczyć. A to już jest niedopuszczalne.

Od awarii, katastrof i zarazy uchowaj nas, inżynierze...

Mężczyzna za biurkiem prezentuje się okazale: rosły, barczysty, z falującą czupryną i dłonią jak niewielki bochenek chleba. Biurko też imponujące — szerokie, zastawione telefonami w najprzeróżniejszych kolorach. Dzwonią zresztą niemal bez przerwy, na zmianę. On zaś rzuca krótkie dyspozycje, polecenia, nie wdaje się w żadne towarzyskie pogaduchy czy roztrząsanie problemów, których nie ma. Bo nie ma tu czasu na głupstwa. Zwłaszcza, że niespodziewanie dla wszystkich znaleźliśmy się raptem w środku „prawdziwej" zimy ze śniegiem, mrozem i wszystkimi tego konsekwencjami. W postaci, oczywiście, setek najróżniejszych awarii i uszkodzeń. A o każdej z nich jako jeden z pierwszych dowiaduje się ANDRZEJ SOBIERAJSKI — inżynier województwa.

— Cześć Andrzej, witam cię serdecznie, co u ciebie nowego? — zaczynam bezceremonialnie, póki telefony milczą. Ściskam wielką dłoń i widzę, że choć miną nadrabia, to jednak zdradzają go oczy. Bardzo zmęczone. **— Przyznaj się, ile ostatnio sypiasz?**

— Serwus, siadaj, proszę. Ile sypiam? No, cóż, trudno przeliczać wszystko na godziny, ale faktycznie niewiele, wiesz, ta zima trochę nas przycisnęła, jest parę problemów...

— Ładne mi trochę, skoro życie w mieście uległo wraz z mrozem i śniegiem niemal zupełnej dezorganizacji. Ale ja nie o zimie, a przynajmniej nie tylko chciałem z tobą porozmawiać. Raczej o tobie i firmie, której szefujesz, bo myślę, że wielu ludzi nadal nie bardzo wie, po co istnieje ów inżynier i co mu wolno, a co nie...

— Proszę bardzo, możemy porozmawiać, uprzedzam tylko, że czas gorący i mogą nam nieco telefony przeszkadzać...

I jakby na potwierdzenie tych słów, jeden, żółty — atakuje. Telefonuje jakaś kobieta, słyszę, że zdenerwowanym głosem informuje o awarii wodociągowej przy ulicy Bratysławskiej. Andrzej cierpliwie tłumaczy, że wiedzą, że już rozkopali, we wczesnych godzinach popołudniowych powinni z uszkodzeniem się uporać.

— Mówią, że mimo dużej samodzielności jesteście tylko filią MPK?

— Jesteśmy wydzielonym zakładem MPK — Zakładem Koordynacji Usług Komunalnych, który ma dwa wydziały: Dyspozycję Inżyniera Województwa i Miejskie Służby Porządkowe. Nie było sensu tworzyć odrębnego przedsiębiorstwa z całą machiną administracyjną. Po co? To się nie opłaca, nie ma ekonomicznego uzasadnienia. Całą obsługę organizacyjną, finansową, zaopatrzeniową — załatwia mi MPK.

— Zgoda, ale nie zajmujesz się przecież koordynowaniem działalności MPK?

— Zarządzeniem prezydenta miasta — to pamiętam — numer 16 z roku 1979, stworzono Inżyniera Województwa, jednostkę, której zasadniczym celem jest planowe, szybkie i skuteczne usuwanie najrozmaitszych awarii trapiących blisko milionowe miasto. Obecnie ja i moi dyspozytorzy decydujemy, które uszkodzenie jest dla prawidłowego funkcjonowania tego ogromnego organizmu najgroźniejsze, które trzeba starać się usunąć w pierwszej kolejności, my decydujemy o niezbędnych przerzutach ludzi czy specjalistycznego sprzętu.

— Wcześniej też sobie jakoś z awariami radzono...

— Tak, ale często były to działania na własną rękę, nie zsynchronizowane w skali miasta. Trzeba poza tym umieć często podjąć decyzję w sytuacjach nietypowych, które jednak życie tworzy na bieżąco. Ot, choćby, taka sytuacja: jeśli w jakimś rejonie ma miejsce awaria wodociągowa, to trzeba zadbać, żeby mieszkańców nie pozbawiono choćby energii elektrycznej, w ramach jakichś tam wyłączeń. A jeśli gdzieś lokalizujemy uszkodzenie i wodę przywozimy beczkowozami, to trzeba dopilnować, by w okolicy między innymi działały sprawnie windy.

— Jednym z przykładów waszego działania może być także zabezpieczenie miejsca niedawnej awarii sieci gazowej w rejonie skrzyżowania ulicy Żeromskiego i al. Mickiewicza. To świeża zupełnie historia, a ponieważ natychmiast w miasto ruszyła plotka o groźbie wybuchu porównywalnego z retkińskim kataklizmem — przypomnijmy ten wypadek.

— Niemal równocześnie z gazownikami zawiadomili nas przechodnie oczekujący w tym rejonie na przystankach MPK, że „czuć gaz". Poleciał od nas samochód, na miejscu była już ekipa z „gazowni". Błyskawiczne pomiary. Okazuje się, że faktycznie stężenie jest na tyle duże, iż grozi wybuchem. Natychmiastowa decyzja: zamykamy cały rejon dla ruchu kołowego i komunikacji MPK, w pierwszym rzędzie eliminując tramwaje, spod których w czasie obecnych mrozów pryskają często całe snopy iskier... Zawiadamiamy równolegle MPK, strażaków, milicyjną „drogówkę", zamykamy całe skrzyżowanie, tworząc na gorąco nową organizację ruchu. I już na spokojnie gazownicy przystępują do usuwania awarii.

Nie wiem, jak to zorganizował, pewnie wdepnął jakiś ukryty przycisk, bo telefonu nie ruszał, ale nagle zjawił się w pokoju człowiek z Andrzeja doborowej kompanii z parującą kawą. I od razu zrobiło się przyjemniej, choć mróz za oknem siarczysty, a i w gabinecie szanownego inżyniera upałów nie zanotowano. Tenże druh rzucił też tajemniczym szeptem: — Szefie, telewizja się zapowiada z wizytą za parę minut, pewnie znów coś o zimie. Spławiamy na później?

— Nie, damy radę i telewizji, zadzwoń tu, gdy się zjawią.

— Ilu masz w sumie ludzi w zakładzie? — działam szybko, nim przybędzie szklana konkurencja. **— I jak dobierasz tych swoich słynnych, wszystkowiedzących dyspozytorów?**

— Ja ich wcale nie dobieram, oni się po mniej więcej roku sami — nazwijmy to — krystalizują. Zawsze jest trzech na zmianie, a ze są to ludzie najróżniejszych branż i specjalności, więc poradzą sobie z każdą niespodzianką. W sumie w zakładzie mam 42 ludzi, z tego 16 dyspozytorów.

— A pozostali?

— Osiemnastu działa w stworzonej dwa lata temu Miejskiej Służbie Porządkowej.

— „Ni pies ni wydra, coś na kształt świdra..." A na poważnie: czymżesz oni się zajmują? I czy ta osiemnastka może cokolwiek zdziałać w milionowym mieście?

— Zaraz, zaraz, po kolei. Przede wszystkim nie ma w mieście instytucji, która by na co dzień pilnowała ładu i porządku...

— Ejże, tu sobie inżynierze, pofolgowaliście. A milicja?

— Może zajmują się innymi sprawami, bo o porządek na chodnikach, na terenie posesji — jakby mniej dbali. A ktoś musi sprawdzić, czy nie ma bałaganu i brudu na podwórzu, czy ktoś tam w ogóle dba o czystość, chodnik zamiata, zimą odśnieża i piaskiem posypuje (byle nie solą!...). Właśnie po to jest ta miejska służba, rozdzielona na dzielnice, po trzech ludzi w każdej z nich.

— Ależ to śmiesznie mało! I żaden to bicz na niesolidnego ciecia, skoro pan inspektor jest w stanie zajrzeć do niego raz na pół roku...

— Nie jest tak źle. Po pierwsze: do niesolidnego zajrzy znacznie częściej, a do tych przykładnych faktycznie wystarczy zajść raz na pół roku. Po drugie — ta instytucja powstała na zasadzie eksperymentu, w trzech miastach w kraju — Warszawie, Krakowie i Łodzi.

— I sprawdzili się?

— Tak, wszędzie, można powiedzieć — wrośli w miasto. I dlatego w Łodzi planujemy zwiększyć liczebność tego wydziału do 50 osób. Prawdopodobnie — po ośmiu w każdej dzielnicy, a reszta utworzyłaby specjalną...

— ...brygadę „Tygrysa"?

— No, coś w rodzaju takiej „grupy szybkiego reagowania".

— Na co, na przykład?

— Na sygnały od instytucji i osób prywatnych dotyczące choćby powstawania dzikich wysypisk, utrzymania porządku na terenie ośrodków WOSiR, czy nawet blokowania chodników czy skwerów przez niefrasobliwych, nie przestrzegających przepisów zmotoryzowanych.

— Czy poza darem przekonywania i perswazji inspektorzy dysponują innymi argumentami?

— Oczywiście — mają prawo karać mandatami do dwóch tysięcy złotych i kierować sprawy do kolegium za rażące zaniedbania obowiązków.

— A nie odmieciony chodnik, to jest rażące zaniedbanie?

— Jasne!

— To ile pieniążków udało się ściągnąć od tych niesolidnych w ostatnich tygodniach choćby?

— Poczekaj, poczekaj, gdzieś to mam w papierach. O, jest. W minionym roku inspektorzy ukarali niesolidnych gospodarzy państwowych i prywatnych na kwotę ponad 2 milionów 400 tysięcy złotych. A w niecałe dwa tygodnie stycznia wystawili samych mandatów ponad 160...

— Nie tak znów wiele, biorąc pod uwagę nie odśnieżone całe ulice, drogi na osiedlach, wyślizgane, zalodzone chodniki...

— Pewnie, że niewiele, ale powiem ci, że jak wzywamy tu tych niesolidnych, których nasi inspektorzy nie zastali ani przy pracy, ani w domu, a zapraszamy średnio 40—50 osób dziennie, to większość zjawia się osobiście lub w postaci najbliższej rodziny. Tyle że każdy trzyma w ręku... zwolnienie lekarskie. No i co ty na to?

— „Byle do wiosny". Ale zejdźmy już z dozorców, bo za chwilę ugrzęźniemy w kolejnym, polskim micie, pod tytułem „Brak rąk do pracy"... A więc ładnie, inspektorzy się przyjęli, są potrzebni, będzie ich więcej. Ale ja jeszcze żadnego nie spotkałem. A może i spotkałem, tylko nie wiedziałem, kto zacz. Krótko mówiąc: po czym można ich rozpoznać, są jakoś jednolicie ubrani?

— Prawdę powiedziawszy — dopiero będą. To znaczy nawet zimą każdy inspektor ma swój tak zwany identyfikator, latem nosili także kurtki, ze znakiem stylizowanej łódki na wyłogach kołnierzyka, a w tym roku chcemy ich między innymi wyposażyć w jednolite koszule z napisem na rękawie „Miejska Służba Porządkowa".

— Aha, obsługa Pierwszych Prawdziwych Targów się kłania?

— Skąd wiesz?... Tak... — to do telefonu. — Dobra, już idę. — Przepraszam cię, są ci z telewizji, chcą zrobić jakąś małą rozmowę, dosłownie kilka zdań. Wyjdę do nich i załatwię sprawę w parę minut. Poczekasz? Przejrzyj sobie te foldery, jeśli chcesz. A propos: takie „maszynki" do wyszukiwania uszkodzeń podziemnych instalacji metodą analizy szumów chcemy zdobyć dla miasta.

Faktycznie, nie było go raptem kwadrans. Ale upłynęła jeszcze dłuższa chwilia nim wróciliśmy do przerwanego wątku. Po prostu telefony oszalały, trzy naraz, potem jeszcze czwarty atakował uszy jazgotliwym trelem. Tu ślisko i jakaś wywrotka półciężarówki, tam znów pęknięta rura wodociągowa, trzy sygnały o niskim ciśnieniu wody na Teofilowie. Pod numer inżyniera województwa (36-33-11) podłączonych jest kilka aparatów, dlatego odbierają je także dyspozytorzy za ścianą.

— I tak każdego dnia?

— Praktycznie każdego, choć zdarzają się chwile wytchnienia. I bardzo dobrze, niech ludzie dzwonią, przecież po to jesteśmy. Jeśli możesz, to zaznacz jednak, żeby telefonowali w sprawach naprawdę istotnych, a nie wyłącznie drobiazgów. Bo takich sygnałów jest bardzo dużo. Tymczasem są przecież specjalistyczne pogotowia, dyżury w administracji i tak dalej. Telefon do nas tylko przedłuża ten łańcuszek — przecież my i tak musimy się tam dodzwonić, by sprawdzić wiele szczegółów. No, chyba że nikt w tych pogotowiach nie podnosi słuchawki...

— Pamiętasz swoją najtrudniejszą akcję?

— Bez wątpienia była to Retkinia...

— Zjawiłeś się tam jako jeden z pierwszych...

— I nikt nie miał nawet cienia zastrzeżeń do organizacji sprzętu niezbędnego w tak nietypowej akcji ratunkowej. A decydował, jak wiesz, właśnie dobór sprzętu i szybkość. Kilkoro lokatorów z gigantycznego rumowiska jednak uratowano.

— Dla odmiany: prośba o pomoc czy interwencję, która inżyniera województwa w zdumienie wprawiła?

— Pamiętam, kot gdzieś na drzewie piszczał tak długo, aż mieszkańcy zadzwonili do nas, byśmy coś poradzili. No i zdjęli malucha strażacy...

— Twoje największe niepowodzenie przez te sześć lat...

— Czy ja wiem... Chyba wówczas, gdy pod Zgierzem, w Chełmach, zaklinował się ciężki kontener pod kolejowym wiaduktem. Wyciągnęliśmy go, ale trwało to zbyt długo, bo ponad cztery godziny. Ważył 35 ton, a „szarpać" trzeba było delikatnie, by nie uszkodzić biegnących górą torowisk. To jest właśnie dylemat: nie mamy w Łodzi ciężkiego, specjalistycznego sprzętu. Są niby dwa dźwigi, bo o nie głównie chodzi, 75-tonowe, jest kilka 30-tonowych, ale one są zwykle poza miastem, muszą przecież na siebie zarobić, a nie stać i czekać.

— Ale na niedzielę chyba zjeżdżają do baz?

— Tak właśnie to ustawiliśmy. Chociaż w dni wolne od pracy sprzęt ciężki jest w mieście, my mamy adresy operatorów i w razie potrzeby błyskawicznie można działać.

— Brzmi to dość optymistycznie i rzeczywiście, sporo było już przykładów waszego szybkiego działania, dobrej organizacji robót, koordynowania akcji kilku przedsiębiorstw o różnych specjalnościach. Ale wrócę na chwilę do zimy: nie można by i tych działań skoordynować?

— Faktem jest, że wielodniowe, obfite opady śniegu i mrozy poniżej minus dwudziestu stopni skorygowały nieco nasze pojęcia o tej porze roku, a przede wszystkim zmuszają wszystkich do maksymalnej wyobraźni i rozwagi. Wszystkich — to znaczy zarówno MPO jak i dozorców, kierowców wielkich ciężarówek czy autobusów, jak i zasiadających za kierownicami maluchów, zmotoryzowanych jak i pieszych.

— Ale tych kilkanaście stopni mrozu sprawiło, że wszystko naokoło się sypie, pęka, rozlatuje. Drogi śliskie i zawiane, chodniki nie odśnieżone, wyłączenia energii planowe, komunikacja miejska „siada" śmieci nie ma kto wywieźć tygodniami, mam wymieniać dalej?

— To wszystko prawda, choć w wielu wypadkach tylko częściowa, ale przecież wszyscy zdajemy sobie sprawę z własnych możliwości, nie zawsze nawet wystarczających, a także ze stylu pracy — nie zawsze, no, wystarczająco ambitnego. I zwłaszcza zimą lubimy od innych wymagać cudów. A przecież wiadomo, że dla przykładu nie ma pojęcia „czarnej nawierzchni", sypiemy na dziewięciu trasach patrolowych w mieście i tylko miejsca niebezpieczne. A te 24 trasy sypane „na okrągło" są aktualne wyłącznie w sytuacjach tak zwanego „przejścia przez zero"...

— W porządku: śnieg wali, mróz trzyma, środki chemiczne praktycznie nie działają, trzeba jeździć i chodzić ostrożnie, a najlepiej siedzieć w domu, choć i tam zimno. Ale wszyscy teraz jak ognia boją się odwilży, mieliśmy już zresztą pierwsze przykłady...

— To są rzeczywiście trudne sytuacje, odpukajmy obaj w niemalowane, bo boję się myśleć czym, przy ostatnich, obfitych opadach, mogłaby się skończyć gwałtowna odwilż.

— Nie przewidziano takiej sytuacji?

— Przewidziano, ale zwałów śniegu i błota sprzętem mechanicznym szybko i dokładnie nie sprzątniesz, potrzebni są niestety, ludzie i łopaty. Wytypowano nawet newralgiczne rejony, przede wszystkim skrzyżowania, które miały doczyszczać poszczególne zakłady pracy. Ale generalnie zawaliły sprawę...

— A w stosunku do takiego niesolidnego zakładu możesz...

— Nic nie mogę. Tylko urząd dzielnicowy w ramach akcji terenowej koordynuje ją u siebie i rozlicza „klienta". Ja mogę ocenić akcję w dzielnicy.

— A propos: które według twoich spostrzeżeń dzielnice wypadły dotychczas najlepiej?

— Zdecydowanie Polesie i Widzew.

— A najgorzej?

— Śródmieście. Podczas tej odwilży na kilku skrzyżowaniach dosłownie nie można było się poruszać!

— Wiem, wiem, ale proszę, niechże inżynier województwa wymieni, gdzie sam grzązł w błocie...

— Fatalnie było, między innymi, na skrzyżowaniach ulic: Andrzeja — Kościuszki, Zielona — Kościuszki, Sienkiewicza — Narutowicza, Sienkiewicza — Traugutta.

— I nadal jesteś przekonany, że można z zimą wygrać?

— A przynajmniej walczyć jak równy z równym, by miasto przetrzymało te mrozy i śniegi w możliwie dobrej kondycji. Choć faktem jest, że od tak ciężkich warunków jak obecnie ostatnimi laty nieco odzwyczailiśmy się...

— No dobrze, dobrze, przestań już zerkać na zegarek, wiem, że masz za chwilę jakąś zimową „nasiadówkę". Więc już ostatnie pytanie: twoje największe zawodowe marzenie to?

— To większa odpowiedzialność, umiejętność przewidywania i szerszego spojrzenia przez ludzi odpowiedzialnych za sprawne funkcjonowanie miejskiego organizmu. I nie chodzi mi o sprawne przeprowadzanie wszelkich akcji ratowniczych — bo to jest często skutek braku wspomnianych wyżej cech. Przykład pierwszy z brzegu: jeśli są takie jak obecnie niskie temperatury to wiadomo, że trzeba w poszczególnych administracjach zorganizować jakąś ekipę, która przypomni i sprawdzi czy drzwi w blokach są zamykane.

— Sprawa prozaiczna, ale kaloryfer ma prawo nie wytrzymać...

— No właśnie. Potem ekipa przyjedzie, wodę spuści w całym domu i pędzi do następnej awarii, bo są ich setki przy tych mrozach.

— Wiem, że Krystyna i Henryk widują cię w domu w tych dniach raczej przelotnie?

— Niestety, musieli się przyzwyczaić, choć początkowo sypały się gromy. Ale to jest właśnie ten zwiększony zakres odpowiedzialności, którego wymagam w pierwszym rzędzie od siebie i zdarza się, że mąż i tata bywa przez dni parę gościem w domu.

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Z rynku

W SKLEPACH SPOŻYWCZYCH kolejki coraz dłuższe. Wynika, to z dwóch powodów: dostawy towarów, nawet tych najbardziej podstawowych, jak chleb i mleko niejednokrotnie opóźniają się i niektórzy kupujący po prostu oczekują w sklepie na przyjazd samochodu dostawczego, a ponadto — i to jest, jak się wydaje, zasadnicza przyczyna wydłużających się kolejek — coraz większa liczba osób zaczyna objawiać nieuzasadnioną nerwowość i gromadzić zapasy mąki, cukru itp. towarów, zapewne w obawie pogorszenia się sytuacji zaopatrzeniowej.

Sądząc jednak po dotychczasowej pracy handlu spożywczego — zarówno „Społem" jak i PHS — są to obawy nieuzasadnione. Mimo trudnych warunków, kłopotów z transportem, chorującego personelu i często za niskiej temperatury w sklepach, a także zwiększających obciążenie pracowników, nadmiernych zakupów puste półki nie grożą nam z pewnością, nawet jeśli tak ostra zima potrwa jeszcze przez kilka tygodni.

NIEWIELKI RUCH panuje w sklepach z artykułami wyposażenia mieszkań, odzieżą, sprzętem RTV i innych, handlujących towarami nie zaliczanymi do artykułów pierwszej potrzeby. Wiele osób woli odłożyć zakupy tego, co nie jest pilnie potrzebne na dalszy termin, niż narażać się na kłopoty komunikacyjne, uciążliwe wędrówki po mieście i zmarznięcie, tym bardziej, że i w sklepach specjalnych atrakcji nie ma — dostawy towarów opóźniają się, często są mniejsze od zamówionych. W tej sytuacji skrócenie czasu pracy niektórych sklepów — jak wynika z informacji na drzwiach „z powodu bardzo niskiej temperatury wewnątrz" jest w pełni uzasadnione i niezbyt dolegliwe dla klientów.

JAK METEOR pojawiają się w niektórych sklepach „Otexu" importowane z Chin pikowane kurtki i płaszcze z bawełny ocieplanej puchem. Są ładne, modne, lekkie i bardzo ciepłe, doskonałe zarówno do codziennego użytku, jak i na zimowy urlop. Mimo dość wysokiej ceny, około 20 tys. zł (parę tysięcy mniej lub więcej, w zależności od fasonu), rozmiary średnie i duże znikają od ręki, małe wiszą nieco dłużej, ale i te sprzedawane są w ciągu jednego dnia. Do sklepów trafia zwykle niewiele — po kilka, najwyżej kilkanaście sztuk tych poszukiwanych okryć. Zakupiono ich w Chinach dość sporo i jeszcze będą w sklepach. „Polować" na nie warto.

CIEPŁĄ BIELIZNĘ można natomiast kupić bez dłuższych wędrówek po sklepach. W ciągłej sprzedaży są średnio- i bardzo grube podkoszulki, i inne części bielizny męskiej i damskiej, zarówno z importu, wykonane z czystej bawełny, jak i polskie, z bawełny z dodatkiem tworzyw sztucznych. Trudności są jedynie z nabyciem ciepłych damskich rajstop (jedynym miejscem, gdzie przez ostatnie kilkanaście dni były w ciągłej sprzedaży i chyba jeszcze są, po 1500 zł, był „Uniwersal") oraz reform. Te ostatnie, co prawda, są w sklepach, ale producenci, mimo długoletnich doświadczeń, nie są w stanie zgłębić tajemnicy właściwej konstrukcji tej części garderoby i większość reform po prostu nie nadaje się do użytku.

CZEKOLADY BEZ KARTEK produkcji RFN w cenie od 310 od 350 zł można kupić w „Centralu". Kolejki do stoiska sprzedającego ten rarytas są niewielkie, zaledwie kilkanaście osób i posuwają się szybko. Ciągłość sprzedaży będzie jeszcze w najbliższym czasie utrzymana.

RÓWNIEŻ W „CENTRALU" można kupić atrakcyjne holenderskie tapety zmywalne, a w najbliższych dniach pojawią się w sprzedaży spodnie dżinsowe i welwetowe z RFN, Austrii i Holandii.

Tu także jest największy wybór swetrów szetlandzkich opatrzonych metką z napisem „Made for Central Lodz". Ich dostawy są duże, nie trzeba więc pędzić do sklepu w obawie, że ktoś inny kupi ostatnią sztukę. Szetlandzkie swetry są także w innych sklepach, ale przeważnie... droższe niż w „Centralu".

CIEPŁE BOTKI damskie z łódzkiego „Skogaru" trafiły na półki DH „Hermes". Wykonane są z włoskiego, ocieplanego tworzywa i kosztują około 4 tys. zł. Choć zima w pełni ten największy łódzki sklep z obuwiem przygotowuje się już powoli do wiosny. Niedawno dostarczono tu partię męskich półbutów ze słupskiej „Alki", spodziewane są kolejne dostawy obuwia wiosennego i całorocznego, z których część na razie czekać będzie w magazynach na czas, gdy klienci zaczną myśleć o wiosennych zakupach.

SKOŃCZYŁY SIĘ dostawy bardzo modnych swetrów, sukienek i innych części garderoby wykonanych z cienkiej, wełnianej dzianiny w łódzkiej „Iwonie". Oprócz atrakcyjnych fasonów ich zaletą była niska cena. Było to tzw wydłużenia serii eksportowej, produkowanej dla odbiorcy francuskiego. Podobno (jest to informacja niezbyt oficjalna) Francuzi zamówili w „Iwonie" podobne wyroby, w innych, jeszcze ładniejszych fasonach i część z tej nowej produkcji trafi także na nasze półki, przede wszystkim do „Juventusa".

AGATA

Enklawa ubogich milionerów

Jest na mapie województwa taka miejscowość, która przed czterdziestu laty była niezbyt zamożną wsią. Od wschodu mógłby ją wchłonąć wielkomiejski moloch, od zachodu zaś — miasto o wiele mniejsze, ale za to silnie uprzemysłowione. Stało się jednak inaczej. Wieś leżąca na granicach dwóch miast rozpościerając macki jak ośmiornica wysyła chciwie tzw. przyległości i zatracała z wolna wiejski charakter. Dzisiaj stanowi coś pośredniego między wsią a osadą lub miejskim osiedlem, ponieważ jednak leży na terenie gminy, ma swojego sołtysa i radę sołecką. Jeśli, bez obrazy dla mieszkańców, można ją nadal nazywać wsią, to jest to jedyna w swoim rodzaju, najdziwniejsza wieś w Polsce.

Przejeżdżają przez nią autobusy PKS, nocny autobus miejski i tramwaje, zatrzymujące się na skrzyżowaniu przy czerwonych światłach.

RYSZARD BINKOWSKI

W tej wsi jest kilka szkół wszystkich stopni: od podstawowej do wyższej uczelni.

Pracuje tutaj kilka zakładów przemysłowych, jeden kombinat i setki warsztatów rzemieślniczych.

Tę wieś przecina 50 ulic, w tym 25 km pokrytych asfaltem.

Ta dziwna wieś nazywa się Ksawerów i wraz z przyległościami Widzewem, Żdżarami, Teklinem i Dąbrową tworzy

OSIEDLE

wciśnięte między granice Łodzi i Pabianic. Od strony Pabianic granica jest tak skomplikowana, że część Kwiaciarskiego Zakładu Doświadczalnego w Dąbrowie należy do gminy, część zaś do miasta. Żeby nie cierpieć na rozdwojenie jaźni, dyr. Witaszek wraz z załogą oddali się w opiekę Instytutu Kwiaciarstwa w Skierniewicach.

Po wyzwoleniu Ksawerów był siedzibą Gromadzkiej Rady Narodowej, a od 1973 r. tworzył wraz z okolicznymi wsiami gminę, po której ostał się m.in. ośrodek zdrowia, magazyn GS, poczta i punkt apteczny. Bo w 1977 r. Ksawerów połączono z gminą Pabianice, w wyniku czego, jak to się mówi z trybun, powstał silny organizm, otaczający zwartym pierścieniem miasto, przy czym urząd zlokalizowano przy ul. Torowej w Pabianicach. Nie obyło się bez krzyku i kontrowersji, ale decyzja była chyba słuszna, gdyż ta nowa gmina stała się wkrótce przodującą, najbardziej gospodarną gminą w województwie. Było to także zasługą samego Ksawerowa, który z początkiem lat siedemdziesiątych znalazł się

W PEŁNYM ROZKWICIE

Rozwijało się ogrodnictwo, rzemiosło i nowe zakłady pracy, znakomicie prosperował kombinat szklarniowy w Widzewie. Sęk w tym, że te 12 ha pod szkłem wznosili Bułgarzy, u których zimy łagodne, a jak u nas śnieg zawali łączące się pod kątem dachy szklarni, to dachy pękają i rośliny szlag trafia. A kiedy dziś mazut do opalania kosztuje pięć razy więcej od węgla, dyrektor komisaryczny dokonuje cudów i w roku gospodarczym wychodzą mu dziesiątki milionów deficytu.

Faktem jest jednak, iż Ksawerów od początku wspierał tereny ubogie i zaniedbane w nowej gminie. Do dziś płyną stamtąd do skarbu państwa setki milionów złotych, dzięki czemu rośnie także fundusz gminy. Pracują na to nie tylko ogrodnicy i rzemieślnicy, ale i geesowska eksportowa ubojnia królików prezesa Stasiaka, bogata, wzorowo prowadzona spółdzielnia produkcyjna prezesa Adamczyka, PGO Ksawerów, Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Terenowej Obsługi Rolnictwa w Żdżarach, Zakład Naprawczo-Produkcyjny Mechanizacji Rolnictwa, cegielnia, Zakład Stolarki Budowlanej.

A na okrasę można się poszczycić Zespołem Szkół Rolniczych i filią Akademii Rolniczej w Widzewie.

Większość spośród 6474 mieszkańców stanowią dwuzawodowcy. Ogrodnictwo prowadzą 994 osoby, a usługi świadczą 204 zakłady rzemieślnicze.

Powierzchnia ogólna 1040 ha, w tym użytków rolnych 822 ha. Ale działek do 0,5 ha jest aż 1351, natomiast działek powyżej 0,5 ha do 2 ha — tylko 236. Świadczy to, że, z wyjątkiem gospodarstw państwowych i spółdzielczych, rolnictwa z prawdziwego zdarzenia już nie ma.

Jedni patrzą więc na Ksawerów z zawiścią, drudzy z pogardą, a jeszcze inni klną w żywy kamień, bo zawsze muszą być tacy, co wieszają psy na sektorze prywatnym, jakby to on właśnie był sprawcą naszych nieszczęść narodowych. A przecież te wspaniałe domy z bogatym wystrojem wnętrz, te luksusowe samochody zagranicznych marek, te pięknie zagospodarowane parcele z ozdobnymi bramami nie wzięły się z jednorocznej koniunktury. Tych domów nie wznosili notoryczni złodzieje ani gangi przestępców gospodarczych. Tego wszystkiego przez dziesiątki lat dorabiali się zwykli ludzie, tylko bardziej zaradni i może bardziej pracowici. Osiągnęli sukcesy w państwie socjalistycznym, zgodnie z obowiązującymi przepisami. A omijający prawo posiedzieli i szybko zbiednieli.

W wyniku tych procesów mamy Ksawerów, jaki widać. W życiu społeczno-gospodarczym panuje pewien luz, ponieważ Ksawerów leży na terenie gminy, gdzie nie sposób prowadzić ostrej, drobiazgowej kontroli finansowej. W gospodzie „Chłopka" można strzelić kielicha pod potrawkę z królika, a potem strzelić komuś w dziób w jakiejś ciemnej uliczce, gdyż milicja z RUSW w Pabianicach nie jest w stanie spenetrować wszystkich zakamarków. Jest tu więc sporo bałaganu, jest gdzie poszumieć, ale oprócz tego istnieje

ODWROTNA STRONA ŻYCIA

enklawy ubogich milionerów. Rzecz bowiem w tym, iż Ksawerów wraz z przyległościami powstawał w sposób nie przemyślany i nie zorganizowany. Ot, sprzedawał chłop pole na działki, na których budował się, kto chciał, niekiedy poza przepisami, na dziko. A ponieważ jeden wznosił dom od frontu, drugi zaś w głębi parceli, ten stawiał ogrodzenie bliżej, a tamten dalej, więc powstały ulice dziwolągi. Krzywe ulice, w których wieczorem łatwo kogoś obrabować, gdzie pijak może sobie wybić zęby na słupku granicznym, gdzie nocą błądzi karetka pogotowia, nie mogąc trafić do chorego.

Nie wynika to wyłącznie z fatalnej urbanistyki i topografii, ale i z kiepskiego oświetlenia. Napięcie spada często do 160-170 woltów, w willach trzaskają zamrażarki i sprzęt audiowizualny, psują się hydrofory. Ale to jeszcze pół biedy...

O wiele kłopotliwsza i wstydliwsza jest, mówiąc mało delikatnie, sprawa smrodu. A bierze się to z faktu, że Ksawerów przerodził się w miejskie osiedle na terenie nieuzbrojonym. Chwała więc mieszkańcom, że po wielu latach wzięli się w kupę, zawiązali społeczny komitet i z pomocą władz budują szkołę podstawową za pół miliarda złotych. Ale ze smrodem to oni chyba sobie nie poradzą. Żeby bowiem opróżnić szamba przy takiej dużej szkole, trzeba zakupić wóz asenizacyjny, który musiałby kursować niemal codziennie.

Prawda jest naga, tzn. taka, że te piękne wille i ozdoby, cały ten blichtr i ksawerowskie bogactwo leżą na gównie. Przypadkowa kontrola jednej z ulic wykazała, że na kilkudziesięciu mieszkańców tylko pięciu przeciętnie dwa razy w roku opróżnia swoje szamba. Fekalia przelewają się, wsiąkają w grunt, a gdy czasem znajdą jakiś rowek, przeciekają do Stawów Stefańskiego. Pośród ksawerowskich róż i goździków cuchnie, a co gorsza — szamba łączą się ze studniami. Gdyby Sanepid zbadał wodę, pewnie zamknąłby wszystkie studnie. Epidemii jeszcze nie odnotowano, co rozsądniejsi mieszkańcy piją tylko wodę przegotowaną.

Tu i ówdzie na ulicach stoją blaszane pojemniki, które na podstawie umowy zawartej przez gminę opróżnia od czasu do czasu ze śmieci... przedsiębiorstwo komunalne z Pabianic. Gdyby nie to, królowałyby tutaj salmonella, tyfus oraz szczury i myszy grasujące na stercie śmieci ozdobionej kwiatem gerbery.

Władze gminy wspomogły Ksawerów kilkunastoma milionami w dowód uznania dla mieszkańców, którzy zawiązali dwa komitety i zebrali 50 milionów na gazociąg dla wszystkich ulic. Szkopuł jednak w tym, czy starczy sił na zamiary, bo przy rosnących cenach koszty całej inwestycji mogą osiągnąć 200 milionów złotych.

No, ale dzięki gazowi i zezwoleniu na ogrzewanie nim pieców, w Ksawerowie byłoby czyste powietrze. Tymczasem jest tak, że gdy zawieje wiatr od Łodzi lub Pabianic, to przylatują stamtąd wirujące czarne płatki i pyły siarkopodobne. Przy mglistej pogodzie nad tą niby-wsią wisi najprawdziwszy smog, szczególnie wtedy, gdy zaczyna się sezon grzewczy w szklarniach. Dymią kominy dziesiątków kotłowni, w których oprócz węgla spala się też odpadki, w tym gumę, i barwne fasady willi oblepia miękka sadza.

A co na to gmina? Otóż tak naprawdę to mieszkaniec Ksawerowa ma styczność z Urzędem Gminy tylko dwukrotnie: gdy płaci podatek i gdy bierze kartki na mięso od sołtysa. Gmina robi, co może, ale

GMINA NIE JEST W STANIE

zaspokoić wielu potrzeb mieszkańców Ksawerowa. Ot, pierwszy z brzegu przykład. Było 1000 samochodów — był jeden inspektor od spraw komunikacji. Jest 5000 samochodów, jest jeden inspektor i gdy on zachoruje, Ksawerów nie będzie obsłużony.

Ale to małe piwo. Gdyby, na przykład, nie pomoc zakładów pracy, gmina wydawałaby miliony złotych na samo odśnieżanie dziesiątków kilometrów ulic. Gmina ma za mało ludzi i za mało pieniędzy. Żeby zaś rozwiązać problem wody i kanalizacji w Ksawerowie, musiałaby posiadać nie tylko wydział gospodarki komunalnej, ale i miliony złotych na otwarcie własnego przedsiębiorstwa komunalnego z fachowcami i odpowiednim sprzętem.

Ksawerowa nie stać, mimo że jest zamożnym osiedlem, na budowę wodociągu, ujęć wodnych i hydroforni. Wodę mogą nam dać jedynie Pabianice, o ile zbudują nowe ujęcia wodne i hydrofornie.

A jeśli chodzi o kanalizację, to kolektor miejski znajduje się w pobliżu Ksawerowa, w związku z czym sprawa inwestycji byłaby znacznie ułatwiona.

A gdyby miasto rozbudowało ciepłownię przy ul. Konstantynowskiej, być może opłacałoby się zbudować 2,5 km ciepłociągu do kombinatu szklarniowego w Widzewie. Poza tym miasto mogłoby partycypować w budowie gazociągu. Ale pod warunkiem, rzecz jasna, że Ksawerów znalazłby się w granicach miasta Pabianic. Wówczas prawdopodobnie ze względu na zabudowę miasto nie weszłoby tam z przemysłem ani z wysokim budownictwem, ale mogłoby rozwijać budownictwo jednorodzinne.

Pomiędzy miastem i gminą nigdy nie było konfliktów ani antagonizmów. Miasto i otaczająca je zwartym pierścieniem gmina żyły jakby w symbiozie i współpracowały ze sobą. Wspólnie wyasfaltowano parę kilometrów ulic, miejskie przedsiębiorstwo komunalne wywoziło śmieci z Ksawerowa, gmina zaś zbudowała przy przystankach tramwajowych eleganckie wiaty z punktami sprzedaży detalicznej, których nie powstydziłyby się dworce autobusowe w miastach. Wspólnie też uruchomiono komunikację miejską na terenie wiejskim, m.in. do Kudrowic i Rzgowa, a będzie także linia do Pawlikowic.

Teraz jednak, gdy powstały założenia, aby w ramach zmian w podziale administracyjnym wewnątrz województw Ksawerów znalazł się w granicach Pabianic, sytuacja stała się delikatna, godna wnikliwego rozwiązania.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że po przyłączeniu do miasta pewne grupy mieszkańców Ksawerowa mogłyby czuć się pokrzywdzone.

Nauczyciele stracą dodatek za pracę w warunkach wiejskich.

Rzemieślnicy będą płacić w mieście wyższe podatki.

Działacze, którzy na terenie gminy byli kimś, stracą swój autorytet i znaczenie.

Organizacje polityczne stracą pewną ilość swych członków i nie będą się już tak liczyć w skali województwa.

W rozstrzygnięciu tej sprawy wiele może pomóc społeczna konsultacja. Istotne jednak, co podczas konsultacji powiedzą mieszkańcy Ksawerowa, i co będzie im mogło zaoferować miasto.

Ale o tym za tydzień

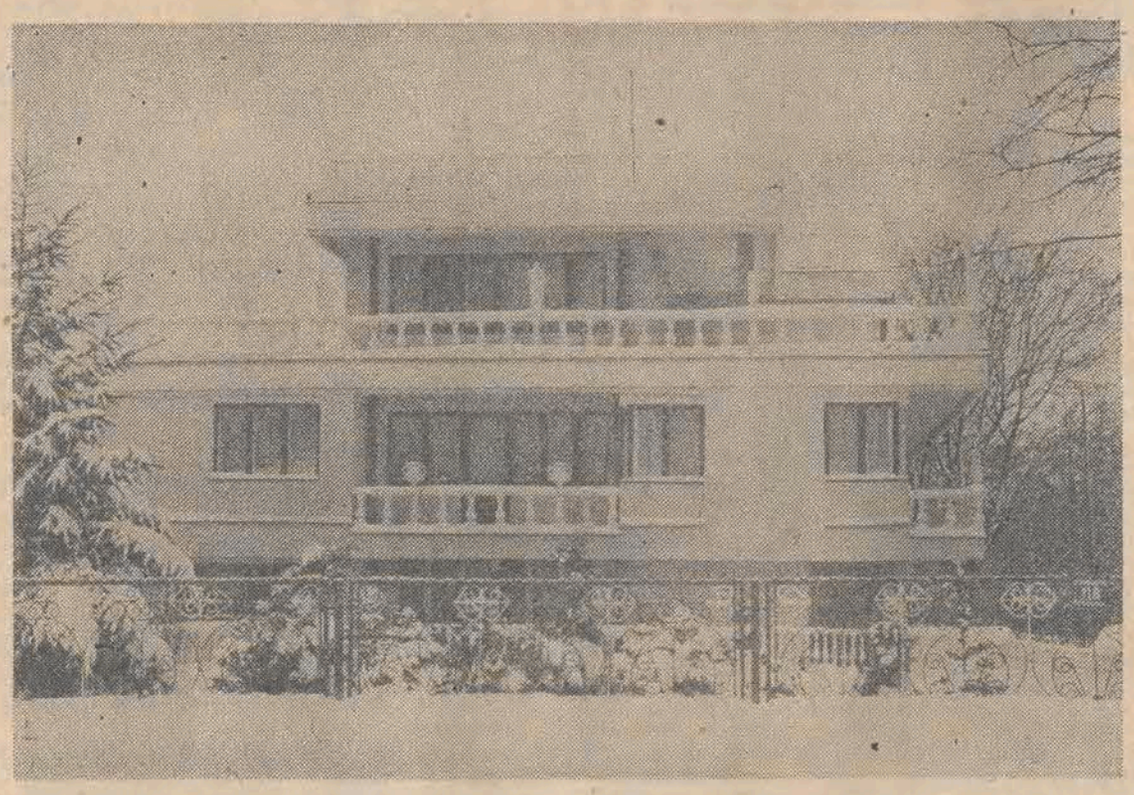

Foto: Grzegorz Gałasiński

Pielęgniarka ogłosiła indywidualny strajk!

Na noże

ANDRZEJ KAROLCZAK

Henryka Klause jest pielęgniarką. Doświadczoną pielęgniarką, z wieloletnim stażem. Drugiego czerwca 1986 roku, w poniedziałek, pielęgniarka Henryka Klause ogłosiła strajk... Przez telefon ogłosiła. Zawiadomiła przełożoną pielęgniarek w ZOZ Łódź-Górna, kierowniczkę działu socjalnego w ZPJ „Pierwsza" i lekarkę z przyzakładowej przychodni, że nie będzie pobierać krwi od pracowników, bo w przychodni jest brudno!

Po tygodniu, 9 czerwca Henryka Klause, na wyraźne polecenie dyrekcji ZOZ wznawia pobieranie krwi. Pojawiają się kontrole, trwa wymiana pism, rozdzwaniają się telefony. *W poradni nadal brudno!*

Dziewiątego sierpnia — kontrola z udziałem zastępcy dyrektora ZOZ dr Krystyny Koper, przełożonej pielęgniarek oraz naczelnej pielęgniarki. Kontrola wypada pomyślnie — w przeddzień przyszła wreszcie do pracy sprzątaczka. Pielęgniarka Klause dowiaduje się, że nie może pracować w placówce jednoosobowej. Będzie przeniesiona.

Pielęgniarka Henryka Klause nie zna ballady Wojciecha Młynarskiego „Maliny". Nie wie zatem że *„...kto człekiem złym, nóż mu jeden wystarczy, a — uczciwemu potrzebne dwa!"*. Nie znała tej ballady i dlatego, gdy przystąpiła do pracy w Poradni ZPJ „Pierwsza"

NIE OSTRZYŁA NOŻA

tylko powoli i systematycznie doprowadzała poradnię do porządku. Było co robić: w poradni nie było pensety, nożyczek zabiegowych, torby sanitarnej, aparatu do reanimacji, sprawnych autoklawów i legalizowanej wagi. Nie było też zamków w szafkach z lekami oraz sprawnego aparatu do mierzenia ciśnienia krwi. Były za to brudne ściany z zaciekami, nieszczelne i nie myte od dwóch lat okna, zdekompletowana dokumentacja.

Pielęgniarka pisze pisma i nachodzi dział socjalny. Wymusza zakupy i w ogóle przeszkadza w spokojnym życiu i pracy. *„Tyle pielęgniarek już tu pracowało i żadna nie miała tylu potrzeb"* — kierowniczka działu socjalnego ulega presji pielęgniarki coraz niechętniej, coraz częściej jest zirytowana. Pielęgniarka ma już pierwszego wroga. Pierwszy nóż już się ostrzy... A pielęgniarka nie alarmuje dyrekcji ZOZ, ani dyrekcji zakładu. Nie zwraca się do organizacji partyjnej ani do komórki związkowej. Nie szuka sojuszników, wydaje się jej, że wystarczy dbać o swoją robotę. Jest w błędzie, przecież wiadomo, że *„...uczciwemu potrzebne dwa!"*

INDYWIDUALNY STRAJK

zaskoczył wszystkich. Chyba także samą Henrykę Klause — zrobiła bowiem błąd kardynalny — strajk, dość niegroźny zresztą, był błędem ale jeszcze większym błędem było, że nikogo wcześniej nie uprzedziła. Zwierzchnicy oniemieli, a pacjenci przychodzili oddać krew do analizy, zgodnie z wyznaczoną wcześniej kolejką. Na czczo, tracąc cenny czas, odchodzili z kwitkiem i skarżyli się. Następny nóż pielęgniarka sama wyostrzyła i podała przeciwnikom na tacy...

Chyba tylko osłupieniu zwierzchników zawdzięcza pielęgniarka, że nie wywalono jej pośpiesznie, w trybie dyscyplinarnym. Podstawy wszak były — odmowa wykonania podstawowych obowiązków!

Gwoli prawdy dodać trzeba, że obowiązków niemal jedynych. Pielęgniarka przyjmowała od pięciu pacjentów krew, odnosiła ją do analizy i... fajerant! Inne zabiegi, jak np. mierzenie ciśnienia krwi czy zastrzyki wykonywała sporadycznie. Sama przyznaje, że średnio dwa razy dziennie.

Za tę straszliwą harówkę płacił ZOZ — pełny etat! Dopłacała ZPJ „Pierwsza" — półetatu dodatkowo... Kiedy już poszły w ruch instrumenty do ostrzenia noży, pielęgniarka szybko rezygnuje z zakładowego półetatu — i tak nie „odsiaduje" tych godzin, półetat jest, jak to często bywa, fikcyjny. Ale już go nie ma! Jeden nóż wypada przeciwnikom z ręki.

Pielęgniarka otrzymuje wypowiedzenie. Odwołuje się do komisji pojednawczych — przy ZOZ i w „Pierwszej". Skończyły się żarty, zaczęło się

NA NOŻE

Okazuje się, że od dawna do kierownictwa zakładu, do inspektora pracy i do związków zawodowych wpływały skargi na pielęgniarkę. Była opryskliwa, źle traktowała pacjentów, kazała im czekać, niejednokrotnie nawet dwie godziny!

(Pragnę zauważyć, że gdyby dwugodzinne czekanie pacjenta traktować jak kompromitację pracownika służby zdrowia to ogromną większość placówek należałoby rozpędzić i obłożyć urzędową anatemą).

Pielęgniarka też trzyma nóż za plecami: do dyrekcji ZOZ wpływa petycja podpisana przez 85 osób — pracowników zakładu, którzy domagają się pozostawienia pielęgniarki, wyrażają pełne zadowolenie z jej pracy i świadczonych przez nią usług. W ZOZ robią zręczny(?) unik: petycja nie ma żadnej mocy, nie jest bowiem opatrzona pieczątką kierownika Wydziału!

WSZYSTKIE NOŻE NA STÓŁ

rzucane są w Sądzie Pracy. Rozprawa toczy się „o pietruszkę" — dwukrotnie odkładana (na prośbę powódki!) toczy się w czasie, kiedy pielęgniarka pracuje już gdzie indziej, a na jej miejsce w poradni przyjęto kogoś innego. Sąd musiałby stwierdzić jakieś niesłychane szykany, żeby uznać za uzasadnione żądanie przywrócenia pielęgniarki do pracy w poprzednim miejscu — nie stała się jej bowiem żadna krzywda, pracuje w pobliżu miejsca zamieszkania, nie zarabia mniej. Jej przeniesienie do placówki, w której pracuje w większym zespole jest w pełni uzasadnione nieszczęsnym strajkiem. Niemniej jednak rozprawa trwa trzy godziny i używa się wszystkich noży: działacz związkowy i inspektor pracy (właśnie tak! właśnie związkowiec i społeczny inspektor!) spokojnie twierdzą, że załoga od dawna skarży się na pielęgniarkę. Nie mogą jednak powiedzieć sądowi nic na temat swoich działań, podejmowanych w wyniku tych skarg, nawet nie rozmawiali z pielęgniarką. Może się mylę, ale co najmniej jeden z tych panów w sądzie widzi pielęgniarkę po raz pierwszy w życiu...

Pełnomocnik ZOZ (błyskotliwa pani mecenas) wymusza na świadku — lekarce rozwiązanie odwiecznego dylematu *„czy należy myć ręce czy nogi"*. Pyta mianowicie, czy ważniejsze jest, aby czyste były instrumenty medyczne, czy żeby w pomieszczeniu była ogólna czystość? Speszona lekarka, uwiedziona prostą logiką pytania odpowiada, że czyste muszą być instrumenty, czystość pomieszczenia jest mniej ważna!

Pielęgniarka przegrywa. Powództwo zostaje oddalone, co było do przewidzenia. Pozostaje

KILKA PYTAŃ

na które sąd nie szukał odpowiedzi, bo to nie sądu sprawa. Choć myślę, że sędziowie je sobie zadawali. A są to proste pytania...

Pierwsze: czy pielęgniarka, dokonująca pięciu pobrań krwi i dwóch innych zabiegów dziennie, nie mogła wziąć do ręki ścierki i szczotki i posprzątać? Czy biały czepek spadłby w takiej sytuacji z głowy jak przysłowiowa korona?

Drugie: dlaczego tak długo trwał „strajk" Henryki Klause? Ani ZOZ, ani dyrekcja ZPJ „Pierwsza" nie mogły przeciąć tej nienormalnej sytuacji?

Trzecie: po co to całe ostrzenie noży, organizowanie „oburzenia" pracowników, dorabianie długiego wstępu do krótkiej historii, wymyślanie rzekomych skarg załogi itp.? I to wszystko pod szyldem związków zawodowych i społecznego inspektora pracy?

Czwarte i ostatnie: o co walczyła pielęgniarka? co jest takiego atrakcyjnego w jej miejscu pracy, że pragnie tam wrócić? Może atrakcyjność tej pracy powoduje „ostrzenie noży"?

To ostatnie pytanie wydaje się zupełnie retoryczne...

PS. Czy w wyniku tego wszystkiego w poradni jest czysto? Jeśli tak, to może jednak opłaciło się?

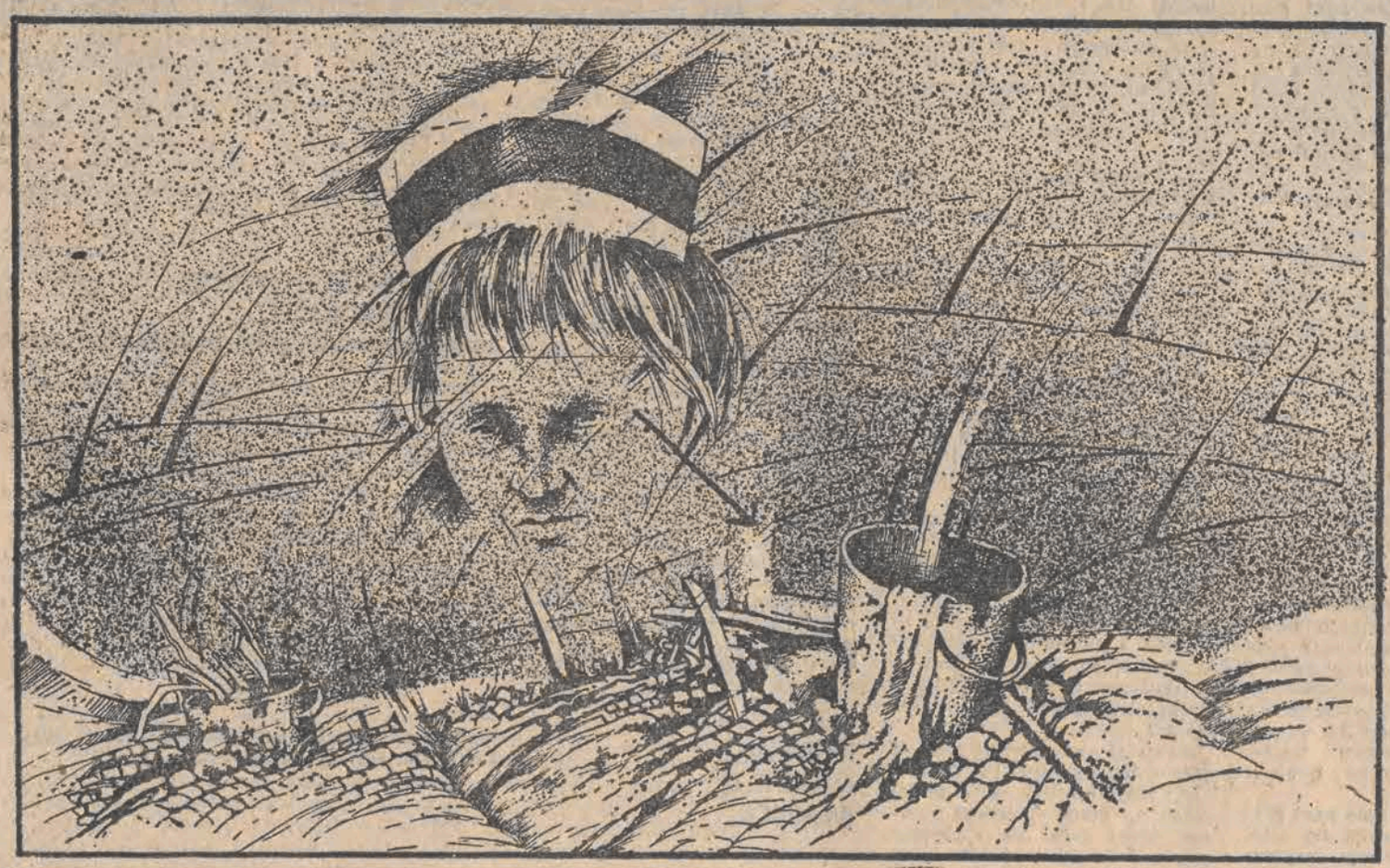

Foto: Grzegorz Galasiński

Mówi Marian Łabędzki

Kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej WK ZSL w Łodzi, lat 39. Magisterium z historii ruchu ludowego na wydziale historyczno-filozoficznym Uniwersytetu Łódzkiego. Żona Krystyna, szatynka, z zawodu technik chemik. 13-letni syn, pragnie zostać strażakiem. Ojciec zna dobrze łacinę. Nazywają go inspiratorem duchowym łódzkich ludowców, a po cichu mówią, że to ten „cienki". Ma 178 cm wzrostu, waży 116 kg. Żona pochodzi z miasta, on zaś urodził się na wsi w Radomskiem.

— Utrwalacie sojusz robotniczo-chłopski pod wspólnym dachem?

— Po ślubie żona chciała przenieść się na wieś, ale się rozmyśliła. Wie pan, wiele się już zmieniło na lepsze, ale w czasach, gdy chłopu zabierano ziemię do kołchozu, a ekipa robotnicza wygarniała resztę ziarna na kontyngent, chłopa przestało interesować wiele spraw. O ideologii ruchu ludowego nie mówiło się prawie wcale, a sojusz robotniczo-chłopski stał się sloganem. Przykładem są do dziś samochody przywożące w niedzielę do Łodzi mięso, kiełbasę, drób, jaja...

— Pana to nie dotyczy?

— Rodzina żony uczestniczyła w wyścigu pracy socjalistycznej. Mój dziadek, żołnierz armii carskiej, brał udział w rewolucji, matka udzielała się w samorządach, a brat, przewodniczący Gromadzkiej Rady, wciągnął mnie do ZSL.

— Nie miał pan takich marzeń jak syn?

— Babcia była wierząca, ojciec miał stale konflikty z proboszczem, a ja zostałem ministrantem...

— Aha... A gdyby teraz jakiś komitet ZSL chciał poświęcić sztandar w kościele, to co?

— Wiara i praktyki religijne to sprawa indywidualna. Natomiast imprezy organizacyjne muszą mieć charakter świecki, zgodnie z naszą deklaracją ideową.

— Rozumiem. Czy w aglomeracji łódzkiej jest sens uczyć chłopa miłości do ziemi?

— Myślę, że po akcji rozkułaczania i przymusowej kolektywizacji skończyła się miłość do ziemi. Chłop zabiegał o to, żeby jak najkorzystniej sprzedać ziemię na działki. Stąd też wokół Łodzi takie rozdrobnienie

— No, ale teraz macie chłopski zapis w Konstytucji.

— Wielu jeszcze uważa, że jest to niezgodne z pryncypiami socjalizmu. Brak zrozumienia... Gospodarstwo chłopskie jest trwałe, ale syn je przejmuje dopiero, gdy się zaczyna walić. Dorobek wsi nie wszędzie jest dobrze widziany...

— To dlatego nie został pan na wsi?

— W Smogorzewie (gm. Przysucha), gdzie się urodziłem, były do podziału 2 ha w siedmiu kawałkach. Mój starszy brat miał pierwszeństwo... Ale po skończeniu liceum zostałem na wsi. Smogorzów spalił się doszczętnie, matka była poparzona, brat na Śląsku, więc ktoś musiał pomagać. Zostałem nauczycielem. Dopiero później przyjechałem do Łodzi na studia. Byłem dobry, nagradzany. Ojciec wysyłał matkę do Łodzi, żeby sprawdziła, czy to prawda. W rozwijaniu moich zainteresowań dużo mi pomagała pani prof. Brodowska i doc. Wawrzyńczyk.

— Witos był trzykrotnie premierem, a w twierdzy brzeskiej wynosił odchody, gdyż był chłopem.

— No cóż, po wojnie przynależność do ZSL też nie zawsze pomagała w karierze. Bywało, że tylko z tego powodu ludzie zdolni i ambitni nie mogli awansować. Ja nie narzekam, ale też swoje przeszedłem. Byłem nauczycielem, działaczem ZMW, pracownikiem Powiatowego Komitetu ZSL w Łodzi, ratownikiem, listonoszem...

— Teraz propaguje pan wśród rolników wartości duchowe. Materialnie to się opłaca?

— Ideowiec może grzeszyć, ale tylko skromnością. Jestem najmłodszym nie najwyżej płatnym kierownikiem wydziału WK. Żeby jeździć własnym autem, musiałem dorabiać...

— Gdzie?

— Na roli.

— No, no, magister historii...

— Jestem nie tylko chłopem z pochodzenia, ale i rolnikiem. Ukończyłem podyplomowe Studia Ekonomiki Rolnictwa przy SGPiS w Warszawie. W części rekreacyjnej działki żona uprawia warzywa, a ja na pozostałym kawałku hoduję truskawki. Rocznie odstawiam dla państwa ponad tonę...

— Pożyteczne hobby.

— Pisuję też do „Zielonego Sztandaru" i do „Dziennika Ludowego". No i nadal pasjonuje mnie historia ruchu ludowego.

— Cieszą pana efekty własnej pracy?

— Umiarkowanie. Cieszy to, że ideologia ruchu ludowego weszła do miast, do szkół, i że młodzież może lepiej rozumieć problemy wsi. Martwią kłopoty z dostępem wsi do kultury. Wieś i rolnictwo powinny funkcjonować jak każdy zdrowy organizm, żeby było miejsce dla ucha, ręki i nogi. Nie lubię jednak propagandy na siłę. Bo cóż to za chłopski działacz, który wciąż siedzi na zebraniach, a w gospodarstwie smród i bieda?

— Może lepiej zająć się handlem? Na hali schab idzie po 1000 zł za kilo.

— To nie wina chłopa! Na hali rządzi mafia rębaczy, którzy pozwalniali się z Zakładów Mięsnych i kręcą prywatny interes. Uważam, że dopóki obowiązuje reglamentacja, nie powinno się publicznie prowadzić wolnego handlu mięsem. To rodzi tylko antagonizmy...

— Taki handel to tradycja. A pan podtrzymuje w mieście jakieś tradycje rodzinne?

— Próbuję. Żona mówi, że chłop zawsze musi przenieść coś ze swojej wsi do bloku. Za dużo tutaj strunobetonu. Ale ja nie robię wsi w bloku. Tu i ówdzie dodam trochę drewna, i tyle. Ubikację też wyłożyłem drewnem. Czuję się bardziej swojsko...

— Te wąsiki to na cześć Witosa?

— Na życzenie żony. Miałem też brodę, ale ojciec powiedział, że z taką wiechą mam się więcej nie pokazywać we wsi, więc zgoliłem.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: RYSZARD BINKOWSKI

Ziemowit Skibiński

Więcej niż Nic

Słuchałem wierszy Iwaszkiewicza
wierszy o goryczy
na dnie urody życia
wierszy o pięknie cierpienia
o trwałym przemijaniu

słuchałem pochwały życia

w wierszach kapryśnych
złych i znakomitych
rzuconych niedbale na papier
jak w kąt rękawiczka
zawiłych i jasnych
zwykłej plecionki życia

Teraz błądzę pod gwiazdami
z tym dziwnym znajomym
nieuchwytnym ogromem
miłości z tych wierszy
z własnego życia

Tak dużo kochałem
tak mało nazwałem

Jaka siła powstrzymywała przed wyrażeniem?
Jaki lęk przed czym?
Gdzie ten ogień?
Wyparował?

Jeśli nie w słowa
to w co się przeistoczył?
Czy naprawdę jest bardziej Nic niż Coś?

A Iwaszkiewicz w grobie
pośród gobelinów z korzeni
śni na czarnym podniebieniu

Na niebo Plejady wypływają
do portu żeglarze zawijają

To że dogłębnie poeta śni
a naziemnie go inny słucha
to jednak bardziej jest coś niż nie
to jest nasz — może i nie nasz — byt
mniej niż Coś więcej niż Nic

Dwa zdania

Jakże mam układać wiersz o smukłej
dziewczynie,
gdy wspina się na palcach i zapala świece,
jak opisać jej ramię wychylone z mroku,
ażurową suknię, bezszelestną zmysłowość,
kaskadę akordów i skandowane wiersze,
kiedy za oknami, które cienie gałęzi
kratują pokrętnie, miasta tego złowrogi
pomruk samochodów przywodzi widmo czołgów
i gęstnieje jeden zogromniały niepokój
pomnożony przez trzydzieści i pięć milionów.

Ach, zdobyć się na tę odwagę:
nagle wybiec z sali
w głąb kosmicznych mgławic,
tysiącleci, lat świetlnych
i pomyśleć, i zważyć,
czy nie tyle samo wart
gest dłoni i błysk oczu,
migotanie bransolet,
co wiekami idący
ołowiany niepokój,
i czy nie jedno wszystko,
Duch jeden, Byt jeden,
a w nim pogrążony człowiek
niczym pestka w owocu,
pestka co pocznie owoc.

I przeszło mną zwątpienie

Któregoś dnia dłużej zatrzymałem spojrzenie
na starszym mężczyźnie jak wspinał się na
palcach
po książkę na bibliotecznym regale.

I przeszło mną zamyślenie:
wysoko przerosła go góra ksiąg
i ona zapewne się ostanie
w ciszy słonecznej smugi pyłu,
gdy z człowieka — smuga cienia.
Jedynie największą trwałość
wróżyć można okularom.

Opiewać więc, opiewać
umysłu i dzieła chwałę.

Albo zawstydzonym odejść
mrucząc pod nosem:
tyle kart zapisanych,
tabliczek glinianych,
zwojów pergaminu,
tyle grzbietów złoconych,
lśniącego welinu
i ten roślinny ornament
oplatający inicjał

wszystko na to, wszystko po to,
by opisać, uchwycić
rozpad i trwanie,
rozpacz i zachwyt,
zaczyn i czyn, skonanie,
jedno życie niedaremne
daremnie

7 VI 1981

Z kamieniem i brauningiem czyli reportaż z przeszłości

O historii można pisać na wiele sposobów. Inaczej odniesie się do niej skrzętny badacz rekonstruujący fakty i związki między nimi. Jeszcze inaczej publicysta, który poszukuje w przeszłości ważnych dla czasu teraźniejszego przejawów myśli i ludzkich dążeń. W inny sposób potraktuje materiał historii powieściopisarz, dla którego czas przeszły staje się kanwą dla kreowanych po swojemu fabuł i wątków. Najtrudniejszą — jak się zdaje — z tych wszystkich formuł posiłkowania się historią jest gatunek, który można nazwać reportażem historycznym. W tego rodzaju piśmiennictwie autor musi być bowiem i dbałym o wierność faktom historiografem, i jednocześnie publicystą, bo takie są wymogi dobrego reportażu oraz — to także ważne — nie może zapomnieć o czytelniku, czyli — jak powieściopisarz — powinien zadbać o interesujący kształt kompozycyjny i stylistyczny swojej reportażowej opowieści.

Te, quasi-teoretyczne, spostrzeżenia zostały wywołane przez książkę Lucjusza Włodkowskiego pt. „Z kamieniem i brauningiem...", która trafia oto do czytelnika z edytorskiej inicjatywy łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Autor od dawna jako dziennikarz i publicysta sięgał do przeszłości Łodzi z początku XX wieku. Miasto w tamtych latach, bodaj po raz pierwszy w swojej historii, stało się agencyjno-gazetowym tematem dnia. Na Łódź i wydarzenia w niej się rozgrywające patrzyła wtedy cała Europa. Mówię tu o tzw. powstaniu łódzkim w czerwcu 1905 roku, które stało się kulminacyjnym momentem walk rewolucyjnych na terenie Polski, a które Lenin uznał za pierwsze zbrojne wystąpienie proletariatu w Rosji. Właśnie tym wydarzeniom poświęcona jest najnowsza książka Lucjusza Włodkowskiego.

Autor opowiadając o zdarzeniach sprzed przeszło osiemdziesięciu lat posłużył się dokumentami, notatkami prasowymi, pamiętnikarskimi relacjami a także opracowaniami historyków. Z tych materiałów powstała opowieść o charakterze reportażu z przeszłości, czy jak powiedziałem na wstępie — reportażu historycznego, takiej literacko-publicystycznej gawędy, w której zarówno jest ważna chronologia faktów, rekonstrukcja wydarzeń, ich genezy i przebiegu jak i sam obraz miasta, jego mieszkańców i wielkomiejsko-robotniczej codzienności. Nawet powiedziałbym tak: Włodkowskiego bardziej interesowała socjologia niż historia wydarzeń łódzkich 1905 roku. „Jako autor — czytamy we wstępie — pragnę ukazać, jak żyli i pracowali ludzie na początku XX wieku w Łodzi, jak walczyli z kapitalistycznym i carskim wyzyskiem. Zaczynam te opowieści w 1900 roku, a kończę w połowie 1905 roku, choć podejmuję kilka wątków również z lat 1906-1907. Są to więc opowieści o mieście i o ludziach; o miejscach, w których działy się rzeczy niezwykłe; o ludziach, którzy swej codzienności stawali się bohaterami; o determinacji tych ludzi, którzy już dłużej tak żyć nie mogli" (s. 5).

Trzeba powiedzieć, że te autorskie intencje udało się w książce zrealizować. Składa się ona, nie licząc wstępu i zakończenia, z trzech części. Pierwsza, zatytułowana „Miasto i ludzie", jest — by tak powiedzieć — panoramą cywilizacyjną Łodzi na przełomie stuleci i początku XX wieku. Jest także socjologicznym obrazem mieszkańców, podziałów klasowych, religijnych i narodowych. Uzmysławia poprzez publicystyczny skrót, statystyczne przypomnienie, reporterski detal atmosferę miasta i jego codzienność. Co jest tym ważniejsze, że my łodzianie wciąż cierpimy na niedostatek wiedzy o swoim mieście, że nie potrafimy jego historią się fascynować i chlubić. Część druga książki, główna i centralna dla jej treści, opowiada już o dramatycznych wydarzeniach 1905 roku. Co warte tu podkreślenia, autor nie trzyma się kurczowo istniejących opracowań historycznych. Po swojemu, poprzez konfrontację różnych dokumentów i relacji z tamtych czasów, w sposób poznawczo twórczy buduje dramaturgię dni, tygodni i miesięcy 1905 roku. Tego się nie studiuje, to się czyta nie bez napięcia i rosnącego zainteresowania. Część trzecia „Odpryski i cienie" zamyka ów reportażowy tryptyk. Autor przedstawia w niej finał łódzkiej rewolucji, jej straty i ideologiczne zyski, także „ciemne strony". Cytowany przez Włodkowskiego „Czerwony Sztandar" napisał: „Robotnicy łódzcy zostali zwyciężeni. A jednak walka robotnicza o wolność trwała nadal, coraz szersza i potężniejsza (...) W grudniu 1905 roku stanęły barykady w Moskwie. Do walki z carskim uciskiem zrywały się oddziały wojskowe, buntowali się marynarze w Odessie, Kronsztadzie, Sewastopolu i Władywostoku. Strajki protestacyjne i solidarnościowe przewalały się po całej Rosji" (s. 172).

Nie chciałbym popaść w komplementiarstwo, muszę jednak powiedzieć, że to cenna i dobra książka (plus także dla wydawnictwa za wkładkę ikonograficzną), o której — jak można przypuszczać — sięgnie chętnie przede wszystkim łódzki czytelnik. W każdym razie powinien: poznawajmy historię swego miasta. Książka Lucjusza Włodkowskiego udowadnia, że warto.

WIT ZAKROTA

Lucjusz Włodkowski, Z kamieniem i brauningiem..., KAW, Łódź 1986, s. 175 i ilustr., cena 200 zł.

Komu nagrodę „Odgłosów"?

Dziś na to pytanie odpowiada KRYSTYNA BOBROWSKA, przewodnicząca Towarzystwa Kultury Teatralnej i wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

— Zapewne pani wie, że nasza redakcja w tym roku przyzna już po raz trzeci swoją doroczną nagrodę za upowszechnianie kultury. Jak pani pojmuje sprawę upowszechniania?

— Nie dzielę kultury na teatralną, filmową, plastyczną itp. Po prostu poprzez formy, które są mi najbliższe, chciałabym pomóc przede wszystkim — szkole wychowywać kulturalnego człowieka.

— Wychowanie poprzez kulturę?

— Oczywiście, a w moim przypadku poprzez teatr. Zaczynamy nasze działanie od kontaktów z najmłodszymi, wkraczamy do szkół podstawowych, następnie do zawodowych, licealnych, staramy się dotrzeć do studentów. Ale zaczynamy od najmłodszych. Dziecko odbiera przedstawienie jako całość, a my poprzez analizę pewnych elementów samej sztuki, poprzez spotkania z aktorem, pokazanie kulis, umożliwienie uczestnictwa w próbie generalnej, ewokowanie wrażeń pragniemy uczulić je na wszystkie wartości zawarte w spektaklu. Zaczynając w ten sposób naszą pracę upowszechniającą z najmłodszymi, w rezultacie później z młodzieżą mamy już łatwiejsze kontakty, bowiem przez kilka lat przygotowaliśmy ją — tak nam się przynajmniej wydaje — do właściwego odbioru sztuki teatralnej.

— Jak zatem ocenia pani pracę ludzi zajmujących się upowszechnianiem kultury, ową trudną i odpowiedzialną działalnością?

— Dla nas społeczników (nie urzędników) jest to na pewno wdzięczna praca. My zarówno w Towarzystwie Kultury Teatralnej jak i w Towarzystwie Przyjaciół Łodzi, szukamy zawsze nauczycieli, którzy myślą podobnie. Ale mamy takich w Łodzi wielu i to naprawdę wspaniałych. To dzięki nim udają nam się nasze akcje i konkursy.

— Powiedziała pani, że upowszechnianie jest zajęciem wdzięcznym. A ja pytałem, czy jest trudne?

— W tym roku mija 25 lat mojego „upowszechniania" w Towarzystwie Przyjaciół Łodzi i trochę mniej w Towarzystwie Kultury Teatralnej, a ja jakoś nie widzę tych „ukulturalnionych" przeze mnie ludzi. Choć czasami myślę sobie, że to przecież nie jest sprawa dotycząca jedynie teatru, że jest to sprawa głębsza, ogólnopolska, ogólnonarodowa.

O nas, działaczach, którzy z upowszechnianiem kultury bądź krzewieniem idei miłości do regionu związali całe swoje życie mówi się, że jesteśmy „pokoleniem bez następców". Jest to smutne i zarazem niepokojące stwierdzenie. Czy naprawdę działaliśmy w pustce? Niepotrzebnie? Don Kichoci współczesności?

Naszymi sprzymierzeńcami są zazwyczaj nauczyciele. Jednak i oni mają ostatnio coraz mniej czasu na pracę społeczną i coraz mniej czasu na korzystanie z dóbr kultury. Bo niby jak i kiedy mają to robić, przy częstych zmianach programów, przeładowaniu zajęć: duże odległości szkół od miejsc zamieszkania nauczycieli, trudności z zaopatrzeniem i tysiące innych uciążliwych niedogodności codziennego życia też temu nie sprzyjają.

— Od narzekań przejdźmy do konkretów: komu mamy przyznać zdaniem pani, tegoroczną nagrodę naszego tygodnika?

— Wprawdzie „siedzę" w teatrze, jak to się mówi „po uszy", to jako wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi orientuję się w działaniu innych naszych członków i sympatyków, którzy nie liczą się ze swoim czasem prywatnym, obowiązkami i z ogromnym zaangażowaniem poświęcają się pracy społecznej. Do takich osób zaliczam Henryka Pustkowskiego. To, co on robi w naszej Sekcji Miłośników Literatury, jego opieka nad twórcami-amatorami ze środowiska robotniczego, wyszukiwanie i odkrywanie ludzi zdolnych — jak najbardziej predysponuje jego kandydaturę do nagrody „Odgłosów". Jest to człowiek ogromnej pasji społecznikowskiej, entuzjasta wszystkiego, co piękne, autentyczne i niebanalne.

— Miło mi, że promuje pani jednego z moich przyjaciół...

— Ale mam jeszcze jednego kandydata, dla którego także pragnęłabym nagrody, choć zdaję sobie sprawę z faktu, że nagroda wasza jest tylko jedna. Tym drugim kandydatem jest Ludwik Benoit, znakomity aktor, wspaniały człowiek, wielki propagator polskiej sceny i polskiej sztuki teatralnej, prawdziwy społecznik.

— Dziękując za rozmowę, pragnę panią zapewnić, że jurorzy przydzielając tegoroczną nagrodę, z całą bezstronnością, ale i z uwagą rozpatrzą zgłoszone tu kandydatury.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Z półki recenzenta

NA KRAŃCU ŚWIATA

Dziś — Estończyk Friedebert Tuglas — klasyk, który położył duże zasługi w tworzeniu i kształtowaniu współczesnego języka literackiego Estonii. Jego zbiór opowiadań (pierwsze z 1914 r., ostatnie z 1941) stanowi przekrój dorobku pisarskiego będąc zarazem świadectwem bogatej wyobraźni i talentu tego humanisty ceniącego nade wszystko rozum i intelekt.

Przekład Aarne Puu.

Friedebert Tuglas: Na krańcu świata. WL 1986. Str. 356. Cena 200 zł.

OPOWIEŚCI O ŻOŁNIERSKIM EKWIPUNKU

Nie, nie jest to zachęta dla czytelników do studiowania wykazów kwatermistrzowskich. Alojzy Sroga napisał 13 bezpretensjonalnych opowieści, w których bohaterem jest tzw. ekwipunek żołnierski. Ale na dobrą sprawę to jedynie kamuflaż, zabieg pisarski, bo przecież prawie w każdym z opowiadań jest przedstawiona tragedia, dramat i bohaterstwo żołnierza podczas działań bojowych ostatniej wojny.

Alojzy Sroga: 13 wujkowych opowieści o żołnierskim ekwipunku. LSW 1986. Str. 182. Cena 170 zł.

REPORTAŻE KĄKOLEWSKIEGO

Krzysztof Kąkolewski za życia stał się klasykiem polskiego reportażu. Potwierdza to przygotowywana przez „Iskry" edycja jego najciekawszych reportaży zebranych w czterech tomach. Ale jak to u nas, ukazał się wpierw tom drugi, pozostałe są w przygotowaniu. Tom nosi tytuł: „Jak umierają nieśmiertelni. Baśnie udokumentowane". Starsi czytelnicy zapewne pamiętają tragedię w Belair, gdzie zostali zamordowani m.in. żona Romana Polańskiego Sharon Tate i łodzianin Wojciech Frykowski, a także pamiętają głośny reportaż Kąkolewskiego o owym wydarzeniu pt. „Jak umierają Nieśmiertelni". Teraz mogą przypomnieć sobie tamte wydarzenia z omawianej tu książki.

Krzysztof Kąkolewski: Jak umierają nieśmiertelni. Baśnie udokumentowane. Iskry 1986. Str. 272. Cena 280 zł.

APPASSIONATA

Ukazało się już trzecie wydanie znanej książki Józefa Mortona „Appassionata". Akcja rozgrywa się podczas okupacji, a ludzie zostali ukazani w swoim człowieczym wymiarze: bohaterscy, słabi, dumni, ulegli, twardzi, sprzedajni. Jednocześnie „Appassionata" jest rejestrem postaw w czasie okrutnego przeciążenia historycznego, jakim bywa każda wojna, jest rejestrem i zapisem naszych polskich losów.

Józef Morton: Appassionata. LSW 1986. Tom I i II. Str. 298 plus 350. Cena 500 zł.

WIERSZE LEOPOLDA STAFFA

Leopold Staff, tak popularny za życia, jakby nagle zaczął odsuwać się w stronę zapomnienia. A przecież jego poezja ciągle jest aktualna, przemawia do nas swoją prostotą, mądrością i pięknem. Dobrze więc się stało, że Wydawnictwo Lubelskie przypomniało o tym znakomitym poecie wydając bogaty wybór jego wierszy (od „Snów o potędze" z 1901 r. po „Dziewięć Muz" z 1958 r.), umożliwiając młodszemu pokoleniu kontakt z tak różnorodną a jednocześnie wielką liryką i pięknem języka polskiego.

Leopold Staff: Poezje. Wyd. Lub. 1986. Str. 416. Cena 300 zł.

POEZJE PAWLIKOWSKIEJ-JASNORZEWSKIEJ

Wydawnictwo Lubelskie rozpoczęło edycję klasyków polskiej poezji. Po wyborze wierszy Leopolda Staffa otrzymaliśmy wybór liryki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Nie zamierzam nikogo zachęcać do sięgnięcia po omawiany tu tom: wiersze Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej na trwałe weszły do kanonu utworów, które się pamięta, recytuje na przeróżnych wieczornicach, które się po prostu i zwyczajnie czyta w zaciszu własnego domu. Omawiany wybór zawiera utwory poczynając od pierwszego tomiku „Niebieskie migdały" z 1922 r., a kończąc na „Etiudach wiosennych" z 1976 r., które ukazały się po śmierci autorki.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska: Poezje. Wyd. Lub. 1986. Str. 418. Cena 300 zł.

E. IW.

Sztuka pisania — jaka?

Gorzka to książka. Gorycz jej spotęgowana zostaje przez smutek pożegnań przyjaciół-pisarzy, przez melancholijną zadumę nad przemijaniem, przede wszystkim jednak poprzez bolesną świadomość degradacji literatury Adolf Rudnicki zda się przerażony tym, co dzieje się z piękną — jak ją zwykł nazywać — sztuką pisania. „Krakowskie Przedmieście pełne deserów", kto wie czy nie najciekawsza książka Rudnickiego, dowodzi niemocy literatury, jej niemoty. A przecież jest to książka niemalże miłosna, stanowi gorące wyznanie człowieka pisaniem zauroczonego, bez reszty opętanego koniecznością pisania.

Wielorako antynomiczne oblicze tego pisarstwa: bardzo intensywnie odczuwane JA oraz traktowanie pozostałego świata jako dodatku. Egotyzm jako zasada sprawcza, jako sens bytu artysty. I tylko rzucanie ochłapów czytelnikom, kąsków raz lepszych, raz gorszych — to są owe desery, o których traktuje tytuł. Spożywajmy je powoli, z umiarem, odrzucając wszystko, co już przetrawione, ale jeszcze przylepne niczym guma do żucia. Okazuje się bowiem książka Adolfa Rudnickiego tekstem „do żucia": wyodrębnione cyframi fragmenty zmuszają częstokroć do lektury ponownej, do odszukiwania i sklejania poszarpanych wątków, rozpoczętych i przerwanych refleksji, do sklejania wspomnień autora jak naddartych fotografii.

Charakterystyczny dla całej twórczości Adolfa Rudnickiego ton rezygnacji zabrzmiał tu mocno i jednoznacznie: „Kwestie czysto literackie? Nie ma ich, umarły! Umarły także pisma literackie, nawet te, które mają literaturę w nagłówku, niewiele z nią mają wspólnego. Co teraz może literatura? Nawet najlepsza..." Byłożby to ukoronowanie długotrwałych rozważań o możliwościach sztuki pisarskiej w dobie współczesnej? W ten sposób rozmaite niespełnienia na gruncie literackim wybiłyby się na czoło obsesji tego pisarstwa.

Zasadniczy nurt twórczości Adolfa Rudnickiego, w który włącza się „Krakowskie Przedmieście pełne deserów", składa się z luźnych notatek, fragmentarycznych rozmyślań, kartek dziennika, urywków wspomnień. Zebrane w całość trochę sztuczną oddają nade wszystko atmosferę intelektualną i moralną, w jakiej tkwi pisarz, który wybrał programową, demonstracyjną samotność jako sposób funkcjonowania artysty: „Świat piszących to świat zamknięty. Najbliższy także, więc najbardziej uwiera, sięga się więc często po postać z tego otoczenia. Świat ten w Polsce Ludowej zmienił się w getto całkowite, skąd się latami nie wychodzi, pisarze widują jedynie pisarzy. W sumie piszą więc o swoich zawiściach, których jest dużo, o urzeczeniach, których jest niewiele". U Rudnickiego podział ten jakby się wyrównuje. Tyleż urzeczeń, ile rozczarowań. Bywa on ckliwy i sentymentalny, bywa stanowczy i bezlitosny, nawet nienawistny. Żółcią ozdobiony portret krytyka, który wiele lat temu określił Adolfa Rudnickiego jako Mniszkównę naszych czasów, dowodzi tego niezbicie.

Bywa i przewrotny: wbrew poczuciu osłabienia pozycji literatury we współczesnym świecie pozostaje Adolf Rudnicki — zapewne prawem paradoksu — wysokiego mniemania właśnie o literaturze, objawiając przy tym wyraźną niechęć wobec tych wszystkich ludzi pióra, którzy w niej, bądź też poprzez nią, szukają własnej nobilitacji. Czyżby propagowanie bezinteresowności w środowisku literackim? Gdzież jednak szukać obdarzonych nią literatów?! Z całą pewnością nie w obecnych przejawach życia literackiego.

W szkicu „Śmierć krytyka, którego imię padnie żałobnym blaskiem dzisiaj w dzienniku telewizyjnym" znajdujemy uogólniony obraz współczesnego komentatora — użytkownika literatury. Dominuje sarkazm. Bez sarkazmu Adolf Rudnicki potrafi pisać chyba tylko o sobie. Zwróćmy zatem uwagę na przewrotność owego swoistego epitafium krytyki literackiej: „Był to krytyk, profesor literatury, teraz wszędzie idzie to w parze. Nawet poeta; zdołał wmówić to światu, wszystkie błogosławieństwa w jednym pyskatym zawistniku! Wszystko — drugiej kategorii, wszystko talenty drugiej kategorii. Pierwsza w ogóle nie partycypuje, działa wyłącznie druga. pyskuje, decyduje kategoria druga (...). Sama literatura odchodzi w potężnych haustach zmroku, gaśnie w oczach, za to pozostali nam znawcy, profesorowie na lukratywnych posadkach, warstwa uprzywilejowana, bezpiecznie odseparowana od życia, nowa potężna międzynarodówka. Siła!" To oczywiście efektowny banał, ale przecież co najmniej połowa zapisków Adolfa Rudnickiego służy temu, aby wykazać potęgę, niezniszczalność banału — jednako w życiu i w literaturze.

Nie oczekujmy zatem od autora „Krakowskiego Przedmieścia pełnego deserów" dalekosiężnych wtajemniczeń. Istnieją granice, których literatura konfesyjna — nawet w wariantach kokieteryjno-ekshibicjonistycznych — przekroczyć nie zdoła. W końcu nie o to idzie. Najciekawsze bowiem bywają niedopowiedzenia, aluzje, zawieszenia głosu czy pióra... Prawdziwego deseru nie zjada się przecież do ostatniego kęsa. Etykieta nie pozwala. A może i co innego.

Pozostaje sztuka pisania. Jaka? Ciągle jeszcze piękna, choć melancholijna, zdawkowa, kompensująca. Przede wszystkim jednak — potrzebna.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Adolf Rudnicki: „Krakowskie Przedmieście pełne deserów", PIW Warszawa 1986, s. 297, nakład 20.300 egz., cena zł 250,—

Powieść o Doroteju

Nie można powiedzieć, żeby literatury narodów Jugosławii zajmowały stałe, a tym bardziej poczesne miejsce w upodobaniach polskich czytelników. Jeżeli już odbiorca przekonał się do Krleży, czy do laureata Nagrody Nobla Andricia, to i tak są przypadki raczej odosobnione. Stąd z zainteresowaniem trzeba się przyglądać nowościom z serii edytorskiej Wydawnictwa Łódzkiego pn. Biblioteka Jugosłowiańska. Najnowszą pozycją z tej serii jest książka Dobromiło Nenandicia „Dorotej".

Akcję autor umieszcza w średniowieczu, a bohaterami czyni przedstawicieli trzech stanów — mnichów, rycerzy i chłopów, co mogłoby sugerować na pierwszy rzut oka problematykę społeczną Wystarczy jednak przeczytać kilka stron, by tę etykietkę społeczno-klasową odrzucić. I historyczność odgrywa w „Doroteju" drugorzędną rolę Nenandić bowiem zamierzył powieść psychologiczną. Po co zatem wieki średnie, odległa przeszłość i klasowo zróżnicowani bohaterowie". Może po to, aby udowodnić i udokumentować uniwersalizm przesłania ideowego książki?

Można ją chyba traktować w kategoriach przypowieści lub moralitetu. Autor w prezentacji dylematów moralnych swoich postaci — zdrady i winy, dobra i zła chce podkreślić ponadczasowość i pozahistoryczność egzystencjalnych motywacji człowieka. Pytania o to, co jest motorem ludzkiego działania, jak dalece człowiek ma prawo decydować o drugim człowieku, czym jest miłość, stają się w „Doroteju" pytaniami podstawowymi. Miłość u Nenandicia to złowrogie fatum, przyczyna nienawiści i rozgoryczeń, które ostatecznie prowadzą do dramatycznego finału. Ten właśnie wątek jest najważniejszym elementem w konstrukcji fabularnej powieści. Autor zgodnie z tendencjami we współczesnej powieści zrezygnował z narracji bezosobowej, wszechwiedzącej i zobiektywizowanej Zastosował częsty dzisiaj chwyt narracyjny oparty o tzw. poetykę punktu widzenia i rozbił opowieść o Doroteju na ciągi monologów poszczególnych bohaterów. Cała więc rzeczywistość, świat przedstawiony powieści istnieje tylko w świadomości postaci, co podkreśla psychologiczne intencje autora. Tu jednak uwaga: monologi te nie zostały w powieści zróżnicowane, czego można było się spodziewać biorąc pod uwagę odmienną perspektywę społeczną, psychiczną i kulturową każdego z bohaterów. A może to tylko uproszczenie dokonane przez tłumacza?

Tytułowa postać powieści Nenandicia nie należy do typu „wielkich" bohaterów literackich. Autor ukrył Doroteja w mnisim habicie i odebrał mu możliwość przedstawienia swoich racji. Wszystko co o nim wiemy pochodzi z subiektywnych relacji osób z jego otoczenia. Zabieg to też nienowy, ale u Nenandicia sprawdza się dobrze. Choć czytelnik może odczuwać pewien niedosyt Nie wszystko bowiem w postępowaniu Doroteja uzyskało pełniejszą motywację. Wiedza o Doroteju, o jego biografii i życiu jest fragmentaryczna, rozbita na epizody i jednostkowe sytuacje. Tak jakby tytułowy bohater był pretekstem do odsłonięcia i obnażenia psychiki tych, którzy o nim opowiadają.

W sumie jest to książka ciekawa i warta przeczytania, choćby dlatego, że przedstawia interesującego pisarza i jeszcze jedno dzieło z kręgu literatury jugosłowiańskiej wciąż u nas mało znanej i docenianej.

MAREK SITKIEWICZ

Dobromiło Nenandić, „Dorotej", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986.

O mafii — inaczej

W wieku 79 lat John Huston zrealizował jedno z najlepszych dzieł w swej długiej karierze. Uważany zawsze za raczej rzemieślnika niż artystę, jeszcze raz potwierdził perfekcję swego rzemiosła (zwłaszcza w doskonałym prowadzeniu aktorów), lecz jednocześnie błysnął prawdziwym artyzmem — w rytmie opowieści snutej to leniwie, to w zawrotnym tempie; w mistrzowskim sterowaniu nastrojami widza (od liryzmu przez śmiech do przerażenia); w nawiązaniu, a zarazem przełamaniu i potraktowaniu z ironicznym dystansem konwencji gatunkowej i mitycznego stereotypu. Tym majstersztykiem hollywoodzkiego Matuzalema jest grany właśnie z powodzeniem „Honor Prizzich".

Film ten, podobnie jak „Ojciec chrzestny" Coppoli pokazuje kulisy pewnej mafijnej Rodziny (zresztą także w oparciu o drugorzędny pierwowzór literacki). A więc, jak i w tamtym wielkim przeboju, mamy tu do czynienia z podobną strukturą organizacyjną, rządzoną przez szacownego Dona, symbol jedności Rodziny, której działania wyznacza pamiętna maksyma Dona Corleone: „Mafia to taki sam biznes jak inny, tylko, że się w nim trochę strzela". Jest w filmie trochę tego biznesu — i to zarówno od jego strony prozaicznej („rodzinne" konferencje), jak i od tej bardziej malowniczej, „że trochę się strzela". Jak i w „Ojcu chrzestnym" poznajemy też prywatne życie Rodziny — nieco skomplikowane przez rozmaite animozje, niepożądane związki i rozstania, libertyńską mentalność obyczajową młodszej generacji oraz konflikty interesu i honoru, lojalności wobec organizacji i uczucia. Są wreszcie — od czasu filmu Coppoli tak stanowiące o uroku mafii — wspaniałe „rodzinne" ceremonie: ślub, wesele, bankiety. A jednak, wykorzystując takie same postacie, zdarzenia, rekwizyty, Huston bynajmniej nie powiela „Ojca chrzestnego", lecz robi coś wręcz przeciwnego niż Coppola: to, co tamten zmitologizował, uromantycznił, uwznioślił nawet, ukazując zło jako piękne i fascynujące, Huston sprowadził na ziemię ukazując je jako nadal zło, ale całkiem niepoetyczne, groteskowe, odrażające przez swą zwyczajność i zarazem absurdalność.

Oczywiście, najbardziej zewnętrzna różnica między obu filmami leży w warstwie fabularnej, materii adaptowanych tekstów. „Ojciec chrzestny" był eposem, sagą rodu obejmującą wiele lat. Sprzyjało to mitologizacji postaci Dona jako Ojca Protoplasty, Władcy, eksponowaniu mafijnego folkloru (ceremonie) oraz takich wartości jak lojalność, honor, więzy krwi jako cementujących Rodzinę i stawianych nawet ponad biznes. „Honor Prizzich" jest natomiast jedynie epizodem z życia rodziny, w innych realiach obyczajowych (lata 80), gdy lojalność i honor zeszły na drugi plan wobec żądzy zysku. Toteż w warstwie anegdoty mają tu miejsca sytuacje zupełnie nie do pomyślenia w tworzącym ethos mafioso „Ojcu chrzestnym": bohater, Charley, dość znaczna figura w mafii, zakochuje się i żeni z kobietą, o której doskonale wie, iż oszukała Rodzinę; Don i ojciec Charleya żądają odeń zgładzenia żony, bo potrzebny jest kozioł ofiarny; Don nie mści śmierci syna, bo zemsta pogrzebałaby widoki na krociowe zyski; syn Dona usiłuje na własną rękę zabić człowieka, którego ojciec wyznaczył następcą — itd... Ale „odromantycznienie" mafii w „Honorze Prizzich" leży nie tylko w sferze wypadków fabularnych. Jest ono przede wszystkim sprawą formy, a to już zasługa Hustona — jego organizacji obrazu, prowadzenia narracji i skompletowanej przezeń obsady aktorskiej.

W zakresie narracji uderza zwłaszcza skrótowość i stosowanie elipsy tam, gdzie Coppola poświęcałby długie, opisowe sekwencje. Narodziny, inicjacja przestępcza i zaprzysiężenie Charleya zajmują trzy króciutkie scenki w prologu, przed czołówką, a zamiast patosu dominuje w nich ironia. Inny przykład: Charley zabija zdrajcę. Wyprowadza delikwenta z mieszkania do garażu obok. Kamera jednak pozostaje w mieszkaniu, z offu dobiega huk strzału, po chwili Charley wraca. W filmie Coppoli każdy wyrok był widzowi unaoczniony z malowniczym i przerażającym naturalizmem, u Hustona zaś jakby nic się nie stało.

W zakresie obrazu demitologizacja odbywa się choćby poprzez rozegranie akcji w zwykłych nowoczesnych wnętrzach, a nie w tonących w mroku salonach, oraz zwykłe, neutralne oświetlenie, kluczowych postaci (Dona, Charleya). Brak ujęć hieratycznych, monumentalnych, jak pamiętne kadry z pogrążonym w półmroku Marlonem Brando, z twarzą w czerwonym oświetleniu odrealniającym i spotworniającym postać.

Co zaś do obsady (doskonałej w każdym calu), to zwłaszcza gra Jacka Nicholsona (Charley) i Williama Hickeya (Don), a także warunki fizyczne tych aktorów (Nicholson — otyły i rubaszny, Don — zgrzybiały i pocieszny), odzierają postać mafioso z wszelkiego romantyzmu, przez co zło staje się przerażliwie konkretne i zwyczajne.

Podsumowując: „Honor Prizzich" jest prawdziwym wydarzeniem w historii filmu gangsterskiego. Odwołując się do romantycznej wizji mafii z arcydzieła Coppoli, wykorzystując inwentarz owej wizji, potrafił Huston stworzyć własną — w sumie całkiem serio, choć zaprawioną ironią i całkowicie wyzbytą romantyzmu.

TOMASZ KŁYS

Honor Prizzich, reż. John Huston, prod. USA.

Kronika kulturalna

18 stycznia 1987 r. odbyło się w Teatrze Nowym 150 przedstawienie „Rodziny" Antoniego Słonimskiego, w reżyserii Edwarda Dziewońskiego, ze scenografią Iwony Zaborowskiej.

Premiera „Rodziny" odbyła się w październiku 1985 r.

23.I.br. w Teatrze Nowym odbędzie się premiera bajki **Oscara Wilde'a** pt. **„Chłopiec z gwiazd"**, w reżyserii **Józefa Zbiróga**, ze scenografią **Iwony Zaborowskiej** i muzyką **Zenona Kowalskiego.**

Baśń ta, o wartkiej i dramatycznej akcji, ukazuje przygody chłopca, który bez pamięci zakochał się we własnej urodzie.

Grają: **Teresa Makarska, Małgorzata Flegel, Małgorzata Wachecka, Mirosław Siedler, Józef Zbiróg, Jerzy Milewski, Remigiusz Rogacki, Paweł Siedlik** i inni.

W tym roku w adresowanej do młodzieży serii Wydawnictwa Łódzkiego „Wiersze polskie", prezentującej twórczość poetów różnych epok (od Mikołaja Reja do Tadeusza Różewicza) ukażą się tomiki poetyckie Cypriana Kamila Norwida, Marii Konopnickiej i Mirona Białoszewskiego.

PRZY Dzielnicowym Domu Kultury na Górnej rozpoczął działalność Klub „Video-hobby".

TEATR Studyjny przygotowuje nową premierę, która odbędzie się 24. I. br. Będzie to spektakl z oryginalnym scenariuszem na motywach utworów **St. I. Witkiewicza** napisanym przez **Zbigniewa Micha.** W przedstawieniu obfitującym w dużą ilość piosenek do muzyki **Wojciecha Głucha** i **Andrzeja Zaryckiego** wystąpią **Brygida Dworok** i **Marek Cichucki.**
Serdecznie zapraszamy.

---

14 stycznia w Galerii Bałuckiej otwarta została wystawa srebra **„Białe i czarne".** Organizatorami wystawy było Biuro Wystaw Artystycznych w Legnicy i w Łodzi.

Natomiast z dzieł, które są w zbiorach BWA w Białymstoku złożona jest wystawa malarstwa polskiego pt. **„Realizm Metafora, Geometria".** Wystawa otwarta została 16 stycznia w Ośrodku Propagandy Sztuki.

KOLEJNA 42 rocznica wyzwolenia Łodzi była okazją do zorganizowania kilku okolicznościowych wystaw. I tak w Muzeum Martyrologii i Walki w Radogoszczu 19 stycznia otwarta została wystawa **„Plakat w służbie pokoju".** Zgromadzono na niej 50 plakatów z lat 1952—1985, pochodzących ze zbiorów własnych łódzkiego muzeum oraz z kolekcji Muzeum Plakatu w Wilanowie. Autorami tych plakatów są najwybitniejsi polscy artyści np. Waldemar Świerzy, Karol Śliwka.

Natomiast w Muzeum Historii Ruchu Młodzieżowego (Gdańska 107) także od 19 bm. czynna jest **XX jubileuszowa wystawa sztuki intarsji Ludowego Wojska Polskiego.**

TAKŻE z okazji 42 rocznicy wyzwolenia Łodzi w Łódzkim Domu Kultury odbyły się eliminacje V Turnieju Poezji Patriotycznej organizowanego pod patronatem RŁ PRON, Kuratorium Oświaty i Wychowania, Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ oraz ŁDK. Do konkursu przystąpiło 35 osób ze szkół podstawowych i średnich. I miejsce zajęli **Agnieszka Mirowska** z Ozorkowa i **Andrzej Urbaniak** ze Zgierza.

Zdobywcy pierwszej i drugiej nagrody przeszli do finału międzywojewódzkiego, który odbędzie się w przyszłym miesiącu.

W DDK Łódź-Górna 19 stycznia odbyło się spotkanie z pisarzem Bernardem Sztajnertem.

W Klubie „Żubardź" obejrzeć można wystawę **malarstwa Walerii Szymańskiej.**

W ZDK „Poltex" wystąpiły 18 bm. gwiazdy kabaretu „Elita". W spektaklu pt. **„Nasz program waszym programem"** zobaczyć można było **Andrzeja Waligórskiego, Leszka Niedzielskiego i Marka Grechutę.**

PRACE malarskie łodzianina **Mikołaja Dewidziuka** oglądać można w galerii TEST w Warszawie.

A teraz coś dla odwiedzających w styczniu i lutym Warszawę. 15 stycznia w Muzeum Wojska Polskiego otwarto wystawę **Bronisławy Wilimowskiej,** której twórczość związana jest z walką polskiego żołnierza i z Warszawą. W dwóch salach muzeum zobaczyć można obrazy układające się w długie cykle m.in. **„Bronili ojczyzny — wrzesień 1939", „Najkrótsza droga do ojczyzny", „Budowa Zamku Królewskiego", „Wieczory Warszawskie".**

Czy można mówić o rozwoju w kulturze, skoro odrabiamy opóźnienia?

I dżentelmen mówi o pieniądzach

MAREK KOPROWSKI

Wiadomo, że kultura (w najszerszym pojęciu) nie stanowi wyjątku w pejzażu dzisiejszej Polski — i jest — jak większość innych dziedzin niedoinwestowana. Mimo istnienia starych, powołania nowych i szukania jeszcze innych form mecenatu państwowego i społecznego, stan rzeczy tu i ówdzie ulega chwilowej poprawie, lecz wraca niebawem do sytuacji poprzedniej, by nie rzec: pogarszającej się. Między innymi dlatego, że baza starzeje się, w galopującym tempie przybywa uzasadnionych spraw wymagających natychmiastowych decyzji finansowych, rosną wszelkie koszty, pieniądz traci wartość, wysokość zarobków nijak się ma do siły nabywczej złotówki, itd., itp.

Zilustrujemy to na przykładzie miasta Łodzi: nakłady finansowe na działalność bieżącą (oczywiście cały czas chodzi o kulturę) w 1979 r. wyniosły 337 milionów zł, a w 1985 prawie 2 miliardy 350 milionów. Jest to wzrost ogromny. Mimo to, okazuje się, że te gigantyczne sumy są relatywnie niższe wobec kosztów, jakie pociąga za sobą działalność kulturalna. Oczywiście nie chodzi tu wyłącznie o działalność artystyczną, ale i remonty inwestycje, zakup sprzętu, jego konserwację, eksploatację i wiele innych, które tak wysokie koszty powodują.

Na przykład: remont Łódzkiego Domu Kultury, którego otwarcie połączono z uroczystym rozpoczęciem roku kulturalno-oświatowego uświetnionego pierwszym publicznym wystąpieniem nowego ministra kultury i sztuki, prof. Aleksandra Krawczuka, kosztował około 300 milionów zł. A przecież wiadomo, że nie gotowa jest jeszcze sala kinowa, a kilka innych „drobiazgów" wymaga wykończenia. Koszty więc wzrosną.

Kilka łódzkich teatrów wymaga remontu bądź pilnych prac konserwatorskich lub modernizacyjnych. Nie wiadomo jeszcze, kiedy te zabiegi się rozpoczną, a tym bardziej — kiedy zakończą. Nikt więc nie wie, ile to będzie kosztować.

Sprawa budowy nowego gmachu filharmonii utknęła w miejscu i jest wątpliwe, by w tak trudnej sytuacji finansowej ruszyła choćby małymi kroczkami, nie mówiąc już o galopie. Dyskutowana propozycja przejęcia (w związku z tymi niemożliwościami —na czas nieokreślony) kina „Bałtyk" została odrzucona przez dyrekcję Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów. I ma ona swoje racje: jako reprezentacyjna sala kinowa, lubiana i odwiedzana chętnie przez łodzian, dostarcza większych zysków niż kilka mniejszych, niższej kategorii. A na dodatek jeszcze się spaliła. Ilość kin łódzkich w ostatnich latach zmniejszyła się. Mamy ich zaledwie 26. To bardzo mało w blisko milionowym mieście. Sieć salek do projekcji video tworzy się tak niemrawo, że prawie wcale, a dostępny „na dzień dzisiejszy" oficjalnie repertuar tam proponowany, nie jest na tyle atrakcyjny, by zastąpić kina tradycyjne. Może kiedyś? Na tę dziedzinę upowszechniania ojcowie naszej kultury powinni zwrócić baczną uwagę, byśmy za jakiś czas i w tej materii nie wyprzedzali jedynie autobusu z napisem „koniec wyścigu".

Może wydać się to komuś dziwne, ale Łódź jest miastem wielkiej ilości zabytków. Nie tak starych jak w Krakowie czy Biskupinie, ale jednak. Piękne łódzkie pałacyki poznała publiczność kinowa oglądając „Ziemię obiecaną" Andrzeja Wajdy według powieści Władysława Reymonta. A jest mnóstwo innych, wszystkich nawet łodzianie nie znają. Konserwacja ich pochłania największe koszty. Wiadomo z praktyki czyli życia, że w porę nie zabezpieczone — ulegają zniszczeniu nieodwracalnemu. Fachowcy obliczyli, że liczba obiektów godnych ochrony wynosi w Polsce 100 000. Ochroną tą, z ustawowego obowiązku, objęto 25 proc. całości. Wynika z tego zatrważający wniosek, że 75 proc., czyli 75 000 obiektów zostanie straconych bezpowrotnie. Jeżdżąc po kraju w czasie (nie tylko ostatnich wakacji) widziałem zbyt wiele ginących pałaców, dworków, zamków, kamieniczek czy choćby chat wiejskich, by nie popaść w stan przygnębienia. Ta smutna statystyka przenosi się w odpowiednich proporcjach i na grunt łódzki. To oznacza, że spora ilość naszych zabytków jest nie do uratowania.

Czy nie można by (przynajmniej w przypadku tych bardziej wartościowych — skoro wszystkich uratować się nie da) zaproponować na przykład organizacjom polonijnym na świecie wykorzystanie wybranych obiektów jako hoteli-rów, pensjonatów czy domów wypoczynku w zamian za uratowanie przed ruiną? Nie jest to chyba niemożliwe, tym bardziej, że korzyść byłaby dwustronna. Jeśli jest to jednak zbyt trudne, to pozwólmy chętnym w kraju, czy to osobom fizycznym, czy też stowarzyszeniom bądź organizacjom zająć się tym, nie budując przed zapaleńcami niezrozumiałych przeszkód biurokratycznych, co też znamy z przekazów prasowych i nie tylko.

A może, i mówimy o tym całkiem serio, ograniczyć np. liczbę festiwali piosenki, pod hasłem: mniej festiwali — więcej uratowanych zabytków kultury narodowej. Tym bardziej, że niektóre z tych imprez masowych same stały się zabytkami nie do uratowania.

Ponieważ dotknęliśmy spraw kontaktów zagranicznych: spotkaliśmy się ze stwierdzeniem, że rozwijanie wymiany i propagowanie kultury polskiej za granicą uznać będzie trzeba za luksus, ponieważ, choć bardzo ważna, jest to działalność kosztowna. Wymiana taka z krajami socjalistycznymi utrzymuje się na dobrym poziomie — gorzej z resztą świata. Nie wiem, co trzeba zrobić, jednak na światowych rynkach kulturalnych nie istnieć nam nie wolno. Tym bardziej, że mamy się czym pochwalić.

W trudnej sytuacji finansowej znajdują się łódzkie teatry. Żaden z nich nie przedstawił zapowiedzianej ilości premier, a i zrealizowane nie przyciągnęły kompletów publiczności. Jednak ta tendencja ujawnia się nie tylko w Łodzi. Kłopotów z publicznością nie ma jedynie Teatr Muzyczny, lecz jest to rodzaj rozrywki, cóż, nie najwyższego poziomu, co potwierdziły tegoroczne Spotkania Operetkowe, właśnie w Łodzi. W tej sytuacji niektóre teatry sięgają po repertuar dla dzieci, wypełniając widownię najmłodszą publicznością. Znawcy twierdzą, że sukces bajek jest jednak najczęściej sukcesem tylko finansowym. Dobrze radzi sobie znany w Polsce i Europie Teatr Wielki, potrafi bowiem zadbać o reklamę i umie propagować własną działalność.

Istniejące w Łodzi instytucje zajmujące się rozrywką estradową nie odbiegają od poziomu krajowego. Nazywa się to skłonnością do masowego produkowania tandety artystycznej, nie wymagającej długich przygotowań, a mimo to bardzo zyskownej. Wyjeżdżają z takimi programami do małych miejscowości, gdzie widz jest mniej wymagający i nie zauważy, być może, niskiego poziomu produkcji estradowych. Ale jak wiemy, to nic nowego: od niepamiętnych czasów pisało się o tych sprawach podobnie, nie robiąc na pośledniej klasy artystach żadnego wrażenia, gdyż ich najczęściej interesowały walory pobieranych banknotów, a nie żadne inne. Instytucje firmujące objazdowe składanki artystyczne liczyły i liczą dochody i czują się usprawiedliwione dobrym stanem finansów.

Jedna z nielicznych wartościowych imprez pt. „Mistrzowie sceny polskiej", zapowiadana jako cykliczna, a ściągająca najwybitniejszymi nazwiskami wykonawców nadkomplety publiczności — zmarła w ciszy po kilku głośnych spektaklach. Być może zbyt jasno lśniła na tle ogólnej szarzyzny i małego rozmachu organizacyjnego innych propozycji. Czyżby znów syndrom „polskiego kotła"?

Była to jedna z niewielu imprez, które wyciągnęły z domów coraz bardziej zasiedziałych przed telewizorami widzów. Coraz częściej zwraca się uwagę na to, że odbiór kultury staje się domowo-telewizyjny, że wydatki na kulturę ograniczają się u przeciętnego obywatela do zapłacenia abonamentu radiowo-telewizyjnego i kupienia popołudniówki. Wyraźnie widoczny jest odwrót od kin, teatrów, sal koncertowych, muzeów i innych imprez, na korzyść właśnie siedzenia przed telewizorem. Badania wykazały, że 40 proc. Polaków w ogóle nie czyta książek, że w 1979 r. statystyczny Polak wydał średnio na kulturę, oświatę, sport, turystykę i wypoczynek 2406 zł, gdy na alkohol 5028 zł. Prawdopodobnie różnica ta dziś głębsza jest niż beczka wódki. Trudna sytuacja finansowa kultury i wszystko, co z niej wynika, będą różnicę tę pogłębiać jeszcze bardziej.

Powołano Narodowy Fundusz Rozwoju Kultury, a także wojewódzkie fundusze tegoż rozwoju. Lecz, czy w sytuacji, gdy ledwie starcza na łatanie podartych portek, słowo „rozwój" jest tu na miejscu? Rozwój — to, według Słownika Języka Polskiego pod red. Mieczysława Szymczaka — „proces przeobrażeń, zmian, przechodzenia do stanów lub form bardziej złożonych lub pod pewnym względem doskonalszych, także pewne (wyższe) stadium tego procesu, rozkwit, rozrost". „Rozwój" może występować w mariażu z „opóźniony". A my właśnie musimy we wszystkich dziedzinach kultury gonić. I dopiero potem (jeśli dogonimy), rozwijać.

Następują coraz większe cięcia finansowe. W oświacie, czyli dziedzinie niezwykle ważnej, bo dotyczącej wychowania przyszłych pokoleń — również. Z jednej strony rozumiemy takie konieczności (bo z pustego... itd.), ale trudno się z tym pogodzić. Trzeba szukać nowych mecenasów, jak najwięcej: wielki i mały przemysł, inne dziedziny gospodarki uspołecznionej i nieuspołecznionej, trzeba pukać do sumień i rozumów obywateli, a nawet do ich portfeli. Żeby nie stało się tak, że któregoś dnia, gdy po raz pierwszy od dziesięciu lat zechcemy iść do teatru, okaże się, że teatru nie ma. Splajtował — i nie można mu było pomóc.

Dyryguje John Rubinstein

KONRAD TUROWSKI

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

WYŚCIG W „STREFIE ŚMIERCI" ZAKOŃCZONY?

16 października 1986 r. zakończył się, jedyny w swoim rodzaju, wyścig o pierwszeństwo w zdobyciu wszystkich 14 ośmiotysięcznych szczytów Ziemi. Trudno powiedzieć, kiedy zrodził się ten zamysł — dwa, trzy lata temu? Wtedy „Pierwszy" na rankingowej liście najlepszych himalaistów, Włoch Reinhold Messner, zbliżał się do swego dziesiątego szczytu. Podążał za nim, zaskakujący coraz częściej światek alpinistyczny, klasą jak i stylem swych przejść — Polak Jerzy Kukuczka.

Gdy głośno padło wyzwanie — „pierwszy na wszystkich ośmiotysięcznikach" dołączyło do wyścigu jeszcze kilku himalaistów, w tym dwójka Szwajcarów Rüedi i Loretan. Rozpętany został szaleńczy wyścig na wysokości powyżej 7600 m. Medycyna tę wysokość określiła jako „strefę śmierci", w której do dłuższego przebywania w żaden sposób organizm ludzki nie może się przystosować.

Zdobywanie szczytów ośmiotysięcznych polega więc na szybkim ataku szczytowym i możliwie szybkim zejściu do któregoś z niżej położonych obozów. Tę zasadę próbował przełamać w 1980 r. Austriak Jagger, mający własne doświadczenia dwumiesięcznego przebywania na wysokości 6800 m. pod wierzchołkiem Huascarana w Peru. Podjął on próbę kilkudniowego przebywania na wysokości powyżej 8.000 m, podczas trawersowania grani Lhotse-M. Everest. Niestety, organizm jego nie przełamał wyznaczonej bariery. Podczas tej próby Jagger zaginął bez wieści.

Rok 1986 był przełomowym w wyścigu w „strefie śmierci". Biorący w nim udział ustawili sobie wysoko „poprzeczkę", zakładając wejścia na 2 lub 3 szczyty w okresie pomonsunowym. Messnerowi do sukcesu brakowały tylko dwa — Makalu i Lhotse. Do swojej kolejnej 13 góry podchodził jednak z wielką ostrożnością. Jesienna próba w 1986 r. była już jego czwartą „przymiarką" wejścia na ten szczyt. Dopiero gdy 24 września 1986 r. na Makalu weszli K. Wielicki z M. Rüedim, ośmielony tym Messner, następnego dnia po ich śladach wszedł na swój 13 szczyt.

Gdyby o jeden dzień opóźnił atak, sprawa „pierwszego na gigantach" przeciągnęłaby się na 1987 rok, gdyż nastąpiło totalne załamanie się pogody w tym rejonie Himalajów. Pomimo to udało mu się jeszcze 16 października 1986 r. wykorzystując fakt, że couloir z Przełęczy Południowej na Lhotse osłonięty był od wiejących huraganowych wiatrów, wejść na 14 ośmiotysięczny szczyt. — No cóż, szczęście zazwyczaj sprzyja lepszym i im przypada miejsce w księdze Guinessa. Tymczasem Jerzy Kukuczka po zimowym wejściu na swój 14 szczyt Kanchenjungę, planował zdobycie jesienią jeszcze Manaslu i Annapurnę.

Niestety pogoda wyraźnie nie sprzyjała naszemu Mistrzowi. Zostaje mu jednak, o czym nie wiedzą wszyscy, tytuł „pierwszego", który wszedł na tzw. wysokie ośmiotysięczniki, to jest pięć najwyższych szczytów świata mających powyżej 8,5 tys. m. tj. M. Everest, K-2, Lhotse, Kanchenjunga i Makalu, wyprzedzając o ponad pół roku Messnera.

Trzeci z biorących udział w tej konkurencji, Marcel Rüedi — planował jesienią 1986 r. wejść na Makalu, Lhotse oraz M. Everest. Na swój 10 ośmiotysięcznik wszedł 24 września. Niestety, braki aklimatyzacyjne spowodowały atak szczytowy. Całonocne zejście wyniszczyło jego organizm na tyle, że po dojściu do namiotu obozu III na wysokości 8.000 m bezwolnie usiadł za nim w śniegu i zmarł, zostając na zawsze wśród lodów Makalu.

Ten wyścig już się zakończył, lecz jakaż konkurencja zostanie jeszcze wymyślona. Może będziemy oczekiwać „pierwszego", który wejdzie na wszystkie ośmiotysięczne szczyty zimą? Jeśli tak, to informuję, że w tej konkurencji aktualnie prowadzą Polacy — Jerzy Kukuczka, z trzema wejściami, przed Krzysztofem Wielickim mającym dwa wejścia, w tym historyczne wejście na M. Everest.

Czy się Jurek z Krzysztofem dadzą ponieść szaleństwu? — myślę jednak, że nie.

WŁODZIMIERZ KORPECKI

JAKI JEST NAUCZYCIEL?

Od dawien dawna wiadomo, że szkoła nauczycielem stoi i na nic zdadzą się reformy programowe, innowacje komputerowe, bądź nowe modele wychowania młodego pokolenia, gdy braknie wszechstronnie przygotowanych ludzi do realizacji tych ambitnych i szczytnych założeń. Dobrze pamiętamy, że w prognozach początku lat siedemdziesiątych, ówczesne kierownictwo resortu oświaty zakładało, że do roku 1980 wszyscy nauczyciele szkół podstawowych i średnich będą posiadali wykształcenie wyższe. Jak wiemy, założenia te wzięły w łeb i aktualnie tylko około 50 proc. nauczycieli w całym kraju legitymuje się dyplomem wyższej uczelni, natomiast niepokojąco — szczególnie w małych środowiskach wiejskich — wzrasta liczba nauczycieli bez kwalifikacji. Trudno też z optymizmem ocenić sytuację kadrową w oświacie okręgu łódzkiego, który posiada przecież w Łodzi wyższe uczelnie kształcące kadrę nauczycielską, a mimo to, jak informowała delegatów na XXXIV Zjeździe Związku Nauczycielstwa Polskiego Stefania Szymańska — prezes Zarządu Oddziału w Pabianicach, we wrześniu 1986 r. w placówkach oświatowych pracowało 428 nauczycieli niewykwalifikowanych, a obecnie liczba ta jest już wyższa!

Pochwalam inicjatywę pracowników naukowych Zakładu Socjologii Ogólnej Uniwersytetu Łódzkiego, którzy w ramach Narodowego Czynu Pomocy Szkole włączyli się do działań i przeprowadzili badania dotyczące sytuacji szkoły i nauczycieli w Łodzi, a które przedstawiła szerokiej opinii Teresa Jerzykowska w artykule „Jaki jest nauczyciel?" (Odgłosy nr 48 z dn. 29.11.86 r.) Artykuł przeczytałem z uwagą i mocno zastanowił mnie fakt oddania pustych ankiet, względnie opatrzonych adnotacją „szkoda papieru" przez ponad połowę ankietowanych nauczycieli. Skąd ta frustracja, zniechęcenie, niewiara?

Taka reakcja wśród sporej grupy ankietowanych stanowi po prostu votum nieufności dla władz oświatowych, które dużo planują, wiele obiecują, a w rezultacie ku pożytkowi wspólnemu stanu nauczycielskiego niewiele wnoszą. Wystarczy tylko przyjrzeć się uważnie, jak opieszale i w jakim bólu rodzą się akty wykonawcze do niektórych postanowień Karty Nauczyciela.

Żadnym zaskoczeniem dla mnie jest wynik badań stwierdzający, że zawód ten należy do najbardziej sfeminizowanych, gdyż jak pamięcią sięgnę, nigdy nie było inaczej. Dziś natomiast mężczyźni są skutecznie „płoszeni" z zawodu niskimi płacami, które wprawdzie zgodnie z art. 31 Karty są corocznie waloryzowane, ale które i tak nie stanowią żadnego bodźca materialnego zainteresowania w porównaniu do płac w innych zawodach, tych bardziej „męskich". Nie mam zwyczaju zaglądać do niczyjej kieszeni, a tym bardziej głośno wypominać, że np. średnia płaca sztygara wynosi 74,3 tys. zł, szypra 68,5 tys. zł, nauczyciela... 21,1 tys. zł. (Patrz „Odgłosy" nr 48, s. 2), zgodnie z wieloletnią tradycją, poniżej przeciętnej i co ciekawsze, o dwa tysiące z „hakiem" poniżej kwoty, którą łaskawie wyliczyła pani minister i obwieściła szerokiej opinii w wywiadzie telewizyjnym przed rozpoczęciem roku szkolnego. A tak w ogóle to mam żal, że mnie jakoś nikt nie zaprasza do dyskusji na temat podwyżek płac w innych zawodach, podczas gdy „mojej" nauczycielskiej podwyżce rokrocznie towarzyszy ogólnospołeczna dysputa i wrzawa w środkach masowego przekazu, która na pewno nie sprzyja dobremu samopoczuciu.

Któż więc zostaje w szkole? Na pewno wszyscy ci, którzy latami służby wrośli w szkołę korzeniami i nie wyobrażają już sobie innej pracy, a więc średnia i starsza generacja nauczycieli. Na drugim biegunie jest niestety i spory odsetek zwykłych miernot, które trafiły do szkoły m.in. w wyniku działania tzw. zasady selekcji negatywnej. Nie dostały się na wymarzony kierunek studiów, wybrały więc uczelnię pedagogiczną, trafiły do szkoły i pracę w niej traktują jako dopust boży.

A skoro jestem przy uczelniach pedagogicznych, to pozwolę sobie wyrazić zdanie, że odpowiedzi na pytanie: jaki jest nauczyciel?, należy szukać w systemie kształcenia nauczycieli, a właściwie w braku tegoż systemu. Łza w oku się kręci na wspomnienie liceów pedagogicznych, w których najlepsi z najlepszych pedagogów, przez pięć lat „pieścili" serca, dusze i umysły przyszłych nauczycieli. Nie było sprawy, aby po ukończeniu liceum „plastyk" wszedł na lekcję matematyki, a dajmy na to „polonista" na lekcję śpiewu. I komu te licea przeszkadzały?

Albo nawet i studia nauczycielskie, które ledwie zdążyły wypracować model kształcenia, a już zostały zlikwidowane i zastąpione niby wyższą formą wtajemniczenia pedagogicznego. Zresztą system kształcenia nowych zastępów nauczycieli — to temat rzeka.

Byłbym oczywiście wielce niesprawiedliwy, gdybym zbył milczeniem młodych nauczycieli lub stwierdził, że są nic niewarci. Są wspaniali. Wnoszą do szkoły młodość, radość i entuzjazm. Trafiają się wśród nich prawdziwe diamenty, które wymagają jednak starannego „szlifu". I tu rodzi się pytanie. Któż to ma w szkole uczynić? Dyrektor...? zazwyczaj przywalony stertą papierów, częściej sprawozdaje różnym czynnikom i władzom, niż hospituje zajęcia, który bez przerwy konsultuje, radzi i obraduje, m.in. i o tym, jak pomóc młodemu nauczycielowi. Starsi, bardziej doświadczeni koledzy, którzy często obarczeni rozlicznymi obowiązkami, dodatkowymi zajęciami i problemami rodzinnymi, nie mają po prostu czasu. A może wizytatorzy przedmiotowi? Też niemożliwe, gdyż w takim wymiarze doradztwo pedagogiczne praktycznie u nas nie istnieje.

Zastanówmy się, czy dzisiejsze kombinaty szkolne, z liczbą dzieci około tysiąca, z ogromną armią ludzi, którzy często znają się tylko z widzenia, sprzyjają jakiejkolwiek pracy z młodym nauczycielem? Czy w takim molochu jest czas na pomoc, na dostrzeżenie jego problemów? A przecież ten człowiek naprawdę tej pomocy oczekuje i często, gdy jest to oczekiwanie daremne, ucieka z zawodu, gdzie pieprz rośnie. Jacy zaś ludzie odchodzą i gdzie, wystarczy przejrzeć ankiety personalne pracowników wielu znaczących urzędów i instytucji.

Na zakończenie, naukowcom z Zakładu Socjologii Ogólnej UŁ, pragnę zaproponować, aby dla uzupełnienia badań na temat: „Jaki jest nauczyciel?" przestudiowali, jeżeli nie jest to tajemnicą służbową, arkusze ocen pracy nauczycieli. Gwarantuję, że będzie to wielce pouczająca lektura, że zmusi do poważnej zadumy nad „uczonymi" kryteriami tej oceny i że ocena „szczególnie wyróżniająca" wcale dobrze o nauczycielu nie musi świadczyć (dowody w posiadaniu autora). A swoją drogą, z uwagą wysłucham opinii autorytetu naukowego, czy obowiązujący system ocen pracy nauczyciela kształtuje dobrego pedagoga, czy daje satysfakcję, inspiruje twórczo i mobilizuje do zabiegów o dobrą ocenę. Jest o co pytać i zabiegać, bowiem ocena pracy nauczyciela, podobnie jak w przypadku ucznia za naukę, winna odpowiadać na pytanie: „Jaki jest nauczyciel?".

STANISŁAW SOWIŃSKI

LAUR „JAWORSKIEGO LIŚCIA"

Jaworski Ośrodek Kultury ogłasza konkurs poetycki pod hasłem: „Człowiek — Przyroda". W konkursie mogą wziąć udział poeci wszystkich pokoleń. Pod adresem organizatorów: Jaworski **Ośrodek Kultury, Rynek 5, 59-400 Jawor, tel. 28-78,** należy nadesłać zestaw trzech wierszy, nie przekraczający sześciu stron maszynopisu, w trzech egzemplarzach. Wiersze nie mogą być publikowane do czasu ogłoszenia wyników konkursu.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo druku nagrodzonych prac w pierwszej kolejności. Najlepsze prace zostaną nagrodzone:
I — 12.000 zł
II — 10.000 zł
III — 8.000 zł
oraz trzy wyróżnienia po 5.000 zł.

Prace opatrzone godłem należy nadesłać do 1 kwietnia 1987 roku, z zaznaczeniem: „Prace konkursowe". W osobnej kopercie, z tym samym godłem, prosi się o podanie imienia i nazwiska autora oraz dokładny adres.

Jury konkursu może dokonać zmian w sposobie nagradzania prac, nie zmieniając przy tym ogólnej sumy nagród.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w trakcie VIII Jaworskich Biesiad Literackich im. H. Worcella, w I dekadzie czerwca 1987 roku. Laureat głównej nagrody zostanie także odznaczony Laurem „Jaworskiego Liścia".

REGULAMIN KONKURSU

Centrum Kultury Młodych w Łodzi ogłasza konkurs literacki dla nieprofesjonalistów, pod hasłem:
„Masz minutę czasu i miliard słuchaczy; co chcesz im powiedzieć?".

1. Na konkurs należy nadesłać tekst do 1 strony maszynopisu (wiersz lub proza) nie publikowany i nie nagradzany w innych konkursach, w 3 egz. maszynopisu pod adresem: Centrum Kultury Młodych w Łodzi, kod 93-021 ul. Lokatorska nr 13, do dnia 31.01.1987 r. (z dopiskiem na kopercie: „Konkurs literacki").
2. Tekst należy oznaczyć godłem. W osobnej kopercie (włożonej do koperty adresowej) należy podać imię, nazwisko oraz rok urodzenia.
3. W konkursie mogą wziąć udział autorzy nie zrzeszeni w profesjonalnych związkach twórczych, jak np. ZLP, STP, SAP, SD PRL.
4. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w lutym 1987 r. Autorzy nagrodzeni zostaną powiadomieni osobnym pismem. O terminie rozstrzygnięcia i wynikach konkursu przekażemy również informacje za pośrednictwem prasy.
5. Jury, w skład którego wejdą poeci, krytycy i przedstawiciele organizatora przyzna następujące nagrody: I — 4 tys. zł, dwie II nagrody po 3 tys. zł, i trzy III po 2 tys. zł.
6. Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału nagród.
7. Organizatorzy nie zwracają tekstów nadesłanych.
8. Organizatorzy podejmą starania o wydrukowanie tekstów nagrodzonych w prasie lub w innym wydawnictwie.

UWAGA, POECI!

Wojewódzka Biblioteka Publiczna — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego — Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Radomiu ogłaszają w ramach XIV Radomskiej Wiosny Literackiej IV otwarty konkurs poetycki „O DZBAN CZARNOLESKIEGO MIODU".

W konkursie mogą wziąć udział członkowie Korespondencyjnych Klubów Młodych Pisarzy, członkowie Kół Młodych przy oddziałach ZLP oraz twórcy nie zrzeszeni w ZLP. Organizatorzy nie ograniczają tematyki utworów.

Biorący udział w konkursie proszeni są o nadesłanie zestawu trzech wierszy dotychczas nie publikowanych (w konkursie weźmie udział tylko jeden wiersz) opatrzonych godłem — do 10 marca 1987 r. pod adresem: **Wojewódzka Biblioteka Publiczna, pl. Konstytucji 3 Maja 8, 26-600 Radom,** z dopiskiem na kopercie **KONKURS JEDNEGO WIERSZA.** Do utworów napisanych w trzech egzemplarzach winna być dołączona zalakowana koperta opatrzona godłem, zawierająca wewnątrz kartkę z imieniem, nazwiskiem oraz dokładnym adresem autora nadesłanych prac. WIERSZE PODPISANE IMIENIEM I NAZWISKIEM AUTORA BĘDĄ WYKLUCZONE Z KONKURSU.

Orgnizatorzy przewidują następującą wysokość nagród: I nagroda — 12.000 zł, II nagroda — 10.000 zł, III nagroda — 8.000 zł, oraz 5 wyróżnień równorzędnych po 5.000 zł. Organizatorzy zastrzegają sobie możliwość innego podziału nagród przy niezmienionej ogólnej sumie.

Jury powołane przez organizatorów rozstrzygnie konkurs w marcu 1987 roku. Ogłoszenie wyników nastąpi na imprezie „Noc Jednego Wiersza" 26 marca 1987 roku, podczas której zostaną zaprezentowane najlepsze utwory.

TA WYMARZONA ROLKA...

Różne bywają marzenia. Jednym marzy się romantyczna, przygód pełna podróż dookoła świata, innym polowanie na lwy w afrykańskim buszu, jeszcze innym urlop na Wyspach Kanaryjskich. Ktoś chciałby mieć willę urządzoną tak jak to zobaczył na amerykańskich filmach. Komuś marzy się własne M-3, a zdarzyć się mogą i marzenia o rencie wystarczającej na zabezpieczenie najniezbędniejszych potrzeb. Ale jeżeli przedmiotem marzeń staje się rolka toaletowego papieru, to niewątpliwie jest coś nie w porządku, albo z marzącym, albo ze sprawcami takiego stanu rzeczy.

Od ładnych kilku miesięcy papieru toaletowego — jak wiadomo — w sklepach nie uświadczy. Owszem, od czasu do czasu w którymś z nich pojawi się kilka czy kilkanaście worków, ale natychmiast rozchwyci je gromadka przypadkowych przechodniów, którzy mieli szczęście.

Można także ów wymarzony papier otrzymać ponoć za makulaturę. Ruszają więc solidarnie docenci i dozorcy grzebać po śmietnikach, ładując co znajdą na (docenci — pożyczone, dozorcy posiadane) wózki dwukółki i jadą do wyznaczonych punktów skupu z nadzieją, że zamiennik w postaci owych wymarzonych rolek jeszcze „nie wyszedł". I trzeba obiektywnie przyznać, że pod tym względem mamy do czynienia z pełną równością między grupami społecznymi, z takim może tylko zastrzeżeniem, iż docenci są tu mniej kwalifikowani. Natomiast patrząc na sprawę z innego punktu widzenia uprzywilejowana jest inteligencja, posiadająca pokaźne biblioteki i tym samym mająca co wymieniać.

W przeszłości ludzi nam bliskich obdarzaliśmy kwiatami i rozmaitymi prezentami w zależności od zawartości sakiewki i cech osobowych ofiarodawcy — od samochodu poczynając, a na — powiedzmy — dropsach kończąc. Dzisiaj radość ogromną w najbardziej nawet zamożnych domach budzi kilka chociażby rolek toaletowego papieru. Nie przesadzam mówiąc o nawet zamożnych domach, bo jak wiadomo w „Pewexie" owych rolek za dolary kupić jeszcze nie można. Nie można dzisiaj, ale w przyszłości kto wie...

Wraca mi w tym miejscu na pamięć rok 1939, gdy uciekaliśmy w panice na wschód i jakiś napotkany na trasie znajomy, życiowo doświadczony człowiek wrzucił nam do samochodu worek soli. Dzięki niej mieliśmy wszystko, co było niezbędne, natomiast złotówki nie interesowały ani sklepikarzy, ani gospodarzy. Dzisiaj rodzi się nowy środek płatniczy — już trzeci obok złotówki i dolara. Na kilka dni przed ostatnimi świętami zaparkował w Łodzi, na skrzyżowaniu ulic Bratysławskiej i Wróblewskiego wielki, prywatny samochód ciężarowy załadowany papierem toaletowym i pojemnikami na butelki. Płacono — jak głosił napis jedną rolką papieru toaletowego za pięć butelek po wódce lub winie. Cenę rolki ustalono więc na pięćdziesiąt złotych, ale papier i tak poszedł jak woda.

Są tacy, którzy powiadają, że przed wojną mało kto, a na pewno niewielu korzystało z papieru toaletowego i było dobrze. Ano niby prawda. Ale — po pierwsze — przed wojną niewiele rodzin posiadało w mieszkaniach tak zwane „wszelkie wygody" z wygódkami włącznie. Dla tych to rodzin służące bez trudu przynosiły ze sklepów potrzebny papier toaletowy. Pozostała ogromna większość musiała się zadowolić kawałkami gazety, które w podwórkowych ubikacjach, czy też „za stodołą" spełniały swoje zadanie. Dzisiaj, gdy zdecydowana większość te tak zwane „wszelkie wygody" ma już w domu, papier toaletowy staje się niezbędny. Jego brak, to pozapychane rury i pozalewane mieszkania.

Po drugie — używanie gazet w charakterze zamienników stwarza także problemy politycznej natury. Przed wojną sprawa była raczej prosta, gdyż człowiek pracy z satysfakcją mógł podetrzeć się pierwszą lepszą sanacyjną gazetą. Dzisiaj sprawy się skomplikowały. Ja sam na przykład staję wobec poważnego dylematu. „Trybuny Ludu" czy „Głosu Robotniczego" oczywiście nie użyję, także „Dziennika Ludowego" ze względu na sojusz robotniczo-chłopski. Nie wchodzi w grę „Odrodzenie" przez uznanie dla PRON, ani pisma chrześcijańskie przez szacunek dla idei porozumienia. Jako lokalny patriota nie mógłbym także posłużyć się „Dziennikiem Łódzkim" — najstarszym pismem Łodzi.

Dlaczego brakuje papieru toaletowego? Nie próbuję nawet pytać, bo już widzę te wyjaśnienia. Nie wykluczam nawet takich argumentów, że stopa nam się poprawia, więcej i lepiej jemy, co potęgować musi oczywiście i czynności odwrotne. Rośnie więc dzienne zużycie papieru na jednego obywatela.

Są rzeczy, których brak czyni gospodarkę niewiarygodną, a decydentów śmiesznymi. Do takich spraw należy także papier toaletowy. Bo tak prawdę mówiąc, nie bardzo już wiadomo — śmiać się czy płakać, gdy staje się wobec perspektywy „palicem". I niechże odpowiedzialni za produkcję toaletowego papieru pamiętają, iż ludziom zrodzić się w głowie ma prawo myśl taka że ci, którzy papieru do d... zabezpieczyć nie potrafią, sami są...

Sprawa jak widać jest — excuzes mois pour le motte — śmierdząca i to podwójnie.

Z.J.M.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU „W ŚRODKU POLSKI, W ŚRODKU ŻYCIA '86"

Jury regionalnego konkursu dziennikarskiego „W środku Polski, w środku życia '86" zorganizowanego przez Łódzki Oddział SD PRL oraz redakcję tygodnika „Odgłosy", obradując w składzie: **Grzegorz Gazda, Jerzy Panasewicz** (przewodniczący), **Krzysztof Pogorzelec, Bogusław Sikorski i Jerzy Stefko,** ze względu na skromny ilościowo plon konkursu oraz zróżnicowany poziom nadesłanych prac, w zgodzie z regulaminem postanowiło:

1. Nie przyznawać I nagrody oraz wyróżnień, a jedynie dwie równorzędne nagrody II w wysokości 30 tys. zł każda i dwie równorzędne nagrody III w wysokości po 20 tys. zł.
2. Po otwarciu kopert z godłami stwierdzono, iż nagrody II otrzymują:
Roman Kubiak (godło „Jawa") za „Przewrót w Edenie", **Marek Niedźwiecki** (godło „Man") za „A gdyby mi przydzielono jedną maszynę więcej'.
Nagrody III otrzymują:
Władysław Malka (godło „Albatros") za „W stronę pryncypalnej", **Andrzej Miedziński** (godło „Capricorn") za „Wizerunek z olejnym płótnem".

Najwspanialsze były przyjęcia w „Okrągłym Domu", nie brakowało na nich najlepszego picia i jedzenia, wymyślnych gier hazardowych o tysięcznych stawkach, pięknych dziewcząt i chłopców dla amatorów.

Falcon, obłąkany cesarz narkotyków

(2)

Pięć lat po aresztowaniu Falcona w chwili przekroczenia przezeń granicy w drodze do Tijuana, pewien urzędnik celny z San Diego zanotował telefoniczną informację od kolegi z Reno w Newadzie:

„Alberto Sicilia-Falcon. Podejrzany o pośredniczenie w handlu narkotykami... Policja z Newady ma go na oku... adres, 760 Chapultepec, Tijuana, telefon 903 384-4260... odbywa regularne podróże pomiędzy Newadą i Meksykiem... Sugeruje się zbadanie dossier i nałożenie nadzoru SYS'".

SYS, to posterunek kontrolny w San Ysidrio, w Kalifornii, niedaleko meksykańskiego miasta Tijuana.

A 760 Chapultepec, to „Okrągły Dom"', dom-forteca Falcona. Kolisty, zbudowany na wzgórzu „Okrągły Dom"' prezentował światu wysokie mury i ciężkie drewniane bramy połyskujące metalicznymi refleksami. Bóg tylko wie, co działo się za nimi, a żadne przypuszczenia nie znajdowały uzasadnień.

W podziemiach miał stanowiska strzelnicze wraz ze specjalną instalacją wyciszania, oświetlenia i wentylacji. Falcon i jego ludzie posługiwali się wszelkimi typami broni, od rewolwerów aż do automatycznych pistoletów maszynowych. Znajdował się tam oczywiście basen ze zjeżdżalnią, jak też kryte boisko do piłki ręcznej, sala gimnastyczna i sauna. W jednym z pomieszczeń część wykładanego muru dawała się uchylać otwierając dostęp do zasłoniętej skrytki na setki milionów dolarów w gotówce i kilogramów kokainy.

Na lewo od tej tajemniczej płyty zawieszony był ogromny owalny złocony obraz przedstawiający rodziców Falcona — ojciec, niemal łysy, w okularach, matka uczesana w wielkiego koka. Inne portrety ukazywały zachwycającą długowłosą siostrę Falcona i samego Falcona jako dziecko. Dzieła te zostały zrealizowane w bardzo osobliwym stylu, który musiał odpowiadać imperialnym dążeniom i homoseksualnemu temperamentowi człowieka, który w przyległej sypialni położył czerwono-zielony perski dywan i pokrył ściany lustrami i czerwoną tkaniną w chińskie motywy. Sufit również był cały w lustrach. Wielkie okrągłe obrotowe łoże przykryte baldachimem z czerwonego weluru ze złoconymi frędzlami mogło pochylać się, aby ułatwić telefonowanie, oglądanie telewizji czy prowadzenie rozmów ze współpracownikami przybyłymi na narady czy nocne przyjęcia.

Pokój łączył się z łazienką wyposażoną w marmurowy natrysk i obudowaną wannę, złoty kran i bicze wodne.

Poza ukrytym przed wzrokiem patio znajdował się oddzielny budynek przeznaczony dla ludzi odpowiedzialnych za różne służby. Niewidoczne kamery telewizyjne i mikrofony szpiegowały zaproszonych. Bardzo silne lornetki pozwalały obserwować gości mieszkających w oddalonym o półtora kilometra, stojącym obok terenów golfowych hotelu El Conquistador. Nikt nie mógł zbliżyć się do domu bez wiedzy Falcona; nikt nie mógł wejść bez zaproszenia i bez otrzymania dokładnych instrukcji dotyczących godziny przybycia i środka transportu. Ochrona i domownicy mieli rozkaz nie rozmawiać z nikim. Goście, którzy zatrzymywali się w El Conquistador byli eskortowani przez uparcie milczącą ochronę.

Jednym z mieszkańców „Okrągłego Domu" był młody sympatyczny Meksykanin nazwiskiem Alberto Barruetta. Przywoził on narkotyki dla Falcona.

Barruetta poznał Falcona w 1969 roku, gdy ten wylądował w Meksyku w brudnych i dusznych barach Tijuana, w połatanych dżinsach, z wezwaniem sądowym (wystawionym w San Diego) z powodu nieuregulowania rachunku hotelowego opiewającego na 37 dolarów. Barruetta towarzyszył karierze Falcona, pracował dlań, był świadkiem jego wznoszenia się na szczyt. Wraz z nim zajmował się narkotykami, towarzyszył mu na nocnych przyjęciach i w czasie morderstw, sypiał z nim. Miał całe życie by tego żałować.

Barruetta bardzo lubił pracować dla Falcona — był skryty, skuteczny, można się było dobrze bawić w jego towarzystwie. A Falcon wiedział, czego chce:

— Pieniędzy. I władzy. Być panem. Być panem świata. Panem absolutnym. Mieć pieniądze. Coraz więcej pieniędzy.

Falcon kierował swym przedsiębiorstwem narkotyków niczym wielkim przedsięwzięciem przemysłowym. Niczego nie zaniedbywał. Miał biura, księgowych, adwokatów. Fortecę w Tijuana opuszczały często pełne banknotów walizki odwożone do Mexico City: łapówki dla funkcjonariuszy rządu.

— To było fantastyczne przyłączyć się do tego faceta — opowiada Barruetta. — *Być kółkiem w jego organizacji. Miał powiązania. Miał superorganizację. Rząd go popierał.*

Falcon zakupił w Tijuana odpowiedni dom znajdujący się na wprost urzędu policji sądowej. Udekorował go, umeblował i urządził tam prywatny burdel. Pomieszczenie główne było imponującą biblioteką wyposażoną w bar. Biblioteka, po naciśnięciu pewnej części obracała się i odsłaniała jeden z pięciu wielkich pokoi z czerwonymi dywanami, lustrami na sufitach, atłasowymi zasłonami. Falcon i Barruetta sprowadzali tam przyjaciół, jockey'ów, amatorów wyścigów, klientów Jai Alai Palace, polityków i policjantów. Nigdy nie mieli kłopotów ze znalezieniem dziewcząt.

— To było tak: jakie chcecie? — wspominał Barruetta. — *Blondynkę, brunetkę, obojętne. Dziewczęta wykraczające poza przeciętność. A także chłopcy.*

Falcon wolał chłopców.

Długo głównym konkurentem Falcona na rynku narkotyków był Carlos.

— Przez kilka lat — mówi Barruetta — *ludzie liczyli się z Carlosem. Był to Pan Tijuana. Człowiek najlepiej ubrany w mieście, najwięcej wypuszczający na rynek, mający najpiękniejsze kobiety. Z Los Angeles przybywały gwiazdy kina, by go zobaczyć i zabawić się; dziewczyny albo kokaina, oferował im wszystko, czego zapragnęli. Był stałym gospodarzem ludzi bogatych. Bardzo trudno jest rozpracować takiego faceta. Oczywiście chciał wspiąć się na szczyt. Wszyscy uważali to za normalne. A Falcon znajdował się stopień niżej. Pewnego dnia Falcon stał się silniejszy. Silniejszy niż Carlos. Carlos przyłączył się do niego, stał się jego prawą ręką, jego doradcą. Ma się rozumieć, nie podobało mu się to. Zazdrościł Falconowi. Ale nie okazywał mu tego. Prawdopodobnie z nim sypiał.*

Falcon wydawał przyjęcia nie tylko w swym prywatnym burdelu, ale i w apartamentach hotelowych, w willach, na jachtach, w Acapulco, Mazatlán, San Felipe, w Meksyku i w Europie. Jednakże najczęstsze i najbardziej olśniewające były przyjęcia w „Okrągłym Domu".

Jedzeniem, trunkami, narkotykami i rozkoszami seksualnymi szafowano z rozrzutnością i w jednym tylko celu — aby popisywać się bogactwem i siłą gospodarza. Właśnie w „Okrągłym Domu"' dokonywano transakcji opiewających na wiele milionów dolarów, podejmowano decyzje o morderstwach, rozdzielano łapówki, grożono i bito nieuczciwych urzędników. Tam również, jak mówiono, wyznawcy Szatana celebrowali swój rytuał i Falcona, który kiedyś miał rzekomo zamiar zostać księdzem katolickim, wybrano „księciem demonów".

— Sam dom — opowiada Barruetta — *wyglądał à la James Bond. Prawdziwa forteca. Wszędzie wyczyszczona broń, karabiny myśliwskie ze spiłowanymi lufami, pistolety maszynowe, naboje w ładownicach. Na zewnątrz, zbrojne straże rozstawione w zaopatrzonych w judasze ciężarówkach. Zapisywano numery rejestracyjne wszystkich przejeżdżających w okolicy samochodów.*

Miał ogromne ilości skrzynek szampana Don Pérignon. Wszystko, czego można było zapragnąć do jedzenia przygotowywał kucharz. Falcon nosił na palcu ogromny zielony diament, który Carlos dostał od sprzedającego skradzione kamienie tłuściocha.

Grywał w jacqueta z Carlosem — stawki sięgały pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Pozostawał cały dzień w łóżku z młodymi chłopcami i robił im zdjęcia. Ktoś podarował mu młodą, piętnastoletnią Meksykankę, a on ofiarował ją Jaime'owi, bratu Carlosa.

Miał zawsze ochronę osobistą, Rubi i Chu-Cho, niezbyt wytworni chłopcy, którzy lubili chromowane samochody o grubym ogumieniu i z pewnym wyposażeniem. Pewnego dnia sprowadzili starego człowieka z Mexicali, gdzie znajdowały się magazyny marihuany. Wyglądał zupełnie nieszkodliwie, był bliski płaczu. Falcon wysłał Rubiego, by sprał go w łaźni parowej. Nie wiem dlaczego Falcon tak postępował, ale nigdy go o to nie pytano.

[illegible]wał jednocześnie cztery domy w Los Angeles (jeden nie opodal domu Johna Lennona), aby odbierać tam marihuanę od Falcona, którą przez granicę meksykańską przewoził młody, ubrany w stylu hippisów chudzielec nazwiskiem Roger Fry.

Fry, prowadzący w brudnych dżinsach starego zdezelowanego Volkswagena, był równie zwyczajny i swobodny jak Carlos podejrzanie elegancki. Ale jego wygląd był mądrze wykalkulowaną pozą. Faktycznie był głównym przedstawicielem Falcona w Stanach Zjednoczonych, zarządzającym siecią dystrybucji rozciągającą się od jednego wybrzeża do drugiego, i wystawionymi w Szwajcarii kontami bankowymi opiewającymi na miliony dolarów.

Odbywało się to w ten sposób. Barruetta wynajmował ciężarówkę, garażował ją obok centrum handlowego i informował o tym Frya. Fry zabierał ciężarówkę, spotykał się z Barruettą dzień albo dwa dni później i podawał mu nazwę innego centrum handlowego. Barruetta szedł zabrać ciężarówkę, w której były wówczas dwie tony marihuany; rozdzielał ją potem pomiędzy pomniejszych hurtowników.

Barruetta i Carlos nie cenili Frya. Nie lubił żartować. Jak darzyć sympatią tak bogatego faceta, który wciąż jeździł Volkswagenem? Fry także ich nie lubił. Uważał ich za nie dość przezornych i zbyt „rzucających się w oczy". Carlos miał zawsze Rollsa, Barruetta prowadził Panterę. To nie było w stylu Frya. Jego styl to brudne dżinsy, podarte podkoszulki, stare gruchoty — i tony pieniędzy w bankach szwajcarskich.

Barruetta podejrzewał także, że większość marihuany od Frya szła dla jego własnych klientów. Barruetta i Carlos musieli zadowalać się resztą. Zwierzyli się z tego Falconowi. Ten zaprosił ich wszystkich — Barrruettę, Carlosa i Frya — na spotkanie w swej willi w Acapulco.

Według „Paris Match" przełożył:
BOGDAN BANASIAK
C.D.N.

Koszmar faszyzmu we wspomnieniach łodzianki

Kto chorował, ten musiał umrzeć

Niepokój ogarnia ostatnio w RFN każdego, kto otrzymuje list, którego papier ozdabia widoczek z ogrodzeniem z drutu kolczastego na pierwszym planie i ze sterczącą w niebo wieżyczką strażnika. Nadawcą jest „Izraelski Komitet pozostałych przy życiu ofiar Oświęcimia i innych obozów zagłady". Jak sugeruje „Die Zeit" z 24 października 1986 r., podobne uczucie lęku przeżył zapewne Klaus Wedemeier, przewodniczący senatu Wolnego Miasta Hanzeatyckiego — Bremen, kiedy dotarło do niego pismo wysłane 4 września 1986 roku.

Przedstawiciel Komitetu Oświęcimskiego w Bremen, Klaus von Münchhausen informował Wedemeiera, iż interesuje go możliwość uzyskania odszkodowania dla byłych żydowskich więźniów z obozu w Stuhr-Obernheide, gdzie byli używani do przymusowych robót publicznych. Z załączonych dowodów, uzyskanych z archiwum miejskiego w Bremen wynika, że latem 1944 r., bremeński senator do spraw budownictwa „zapotrzebował" w Wydziale Gospodarczym SS w Oranienburgu 800 więźniarek W konsekwencji 500 żydówek węgierskich i 300 polskich oddzielono na rampie kolejowej w Oświęcimiu od przywiezionych właśnie pozostałych więźniarek, które skierowano bezpośrednio do komór gazowych. Odseparowane więźniarki odtransportowano bydlęcymi wagonami do Bremen, z przeznaczeniem „do wyniszczenia przez pracę".

Otóż zarzuca się obecnie, że ówczesny senator do spraw budownictwa, odpowiedzialny za umieszczenie więźniarek we wspomnianym obozie, przekazał do kasy krajowej Bremen po cztery marki za dzień pracy każdej więźniarki. Zostały one zresztą przydzielone przez miasto prywatnym firmom, które na zlecenie władz miejskich usuwały skutki alianckich lotniczych bombardowań.

Nadzorców SS oskarża się natomiast, że znęcali się nad więźniarkami. Jak pisze dalej von Münchhausen, „władze miasta Bremen nie tylko uprawiały handel niewolnikami, ale też korzystały same z ich niewolniczej pracy, stąd powstaje kwestia, jak dalece miasto Bremen byłoby dziś skłonne wypłacić ofiarom odszkodowanie". Autorka artykułu w „Die Zeit" Susanne Mayer, zwraca uwagę na fakt, że w dotychczasowych dziejach Republiki Federalnej nie podnoszono jeszcze sprawy przymusowych robót na rzecz władz komunalnych, a tym samym nie wysuwano wobec nich z tego tytułu roszczeń finansowych. Gdyby więc miasto Bremen zgodziło się wypłacać odszkodowanie byłym przymusowym robotnikom za ich niewolniczą pracę w czasie ostatniej wojny, byłoby to precedensem, który pociągnąłby za sobą dalsze tego rodzaju decyzje, gdyż Bremen nie było bynajmniej jedynym miastem korzystającym wówczas z pracy niewolniczej cudzoziemców, a zwłaszcza z przymusowego zatrudniania więźniów obozów koncentracyjnych, nie inaczej bowiem działo się w Hamburgu, Hanowerze, Frankfurcie, Kolonii...

Artykuł omawia przypadki roszczeń o odszkodowania materialne, m.in. kwotę 5 milionów marek uzyskaną przez poszkodowanych od koncernu Flicka po dwudziestu latach starań. Podobną opieszałość i grę na zwłokę w rozpatrywaniu roszczeń wojennych wykazują inne przedsiębiorstwa, gdyby więc miasto Bremen (konkluduje autorka), podjęło w tej sprawie decyzje szybko, niebiurokratycznie i „wspaniałomyślnie", mogłoby to stać się precedensem również dla trybu załatwiania tych przykrych spraw przez wszystkich obwinionych. Na razie jednak Wedemeier tylko zapewnił komitet, że władze rozpatrzą roszczenia życzliwie i sumiennie, ale gruntowne zbadanie sprawy musi jednak potrwać, w liście zaś do jednej z mieszkanek Tel Awiwu radzi jej „dla dobra sprawy uzbroić się w cierpliwość".

Artykuł przypomina dalej, co działo się z więźniarkami w Bremen, pomiędzy 2 sierpnia 1944 a 4 kwietnia 1945 r., przy czym wydarzenia te odtworzono w pewnej mierze dzięki listom byłych więźniarek, które na apel redakcji opisały swoje tragiczne losy. Przytacza się także znane ustalenia historyczne, dotyczące m.in. deportacji Żydów na terenie Polski, w tym także losy łódzkiego getta, dokąd deportowano około 200 tysięcy Żydów z zachodniej Europy, m.in. z wielu miast niemieckich. Całą tę masę ludzką ścieśniono na obszarze zaledwie trzech i pół kilometra kwadratowego. Znaczna część ludności getta zmarła tu z powodu straszliwych warunków, zanim jeszcze zaczęły się wysyłki do obozów śmierci.

Co do żydowskich więźniarek (tych co pozostały przy życiu), w imieniu których występuje obecnie izraelski komitet, to przez dość długi czas po przewiezieniu ich do Bremen nie wiedziały nawet, gdzie się znajdują. Wkrótce po ich przybyciu zaczęły się największe dywanowe naloty na to miasto, zostały też trafione koszarowe stajnie, gdzie ulokowano więźniarki. A w ogóle w Bremen, jak to ustalono, znajdowało się w ostatnim roku wojny 40 do 50 obozów, w których przebywało około 30 tysięcy przymusowych cudzoziemskich robotników.

Żydowskie więźniarki sypiały w swoich barakach po dwie, trzy na jednej pryczy, szykanowane i maltretowane przez nadzorców, niemal zagłodzone i zdziesiątkowane przez choroby. A choroba, ograniczająca zdolność wydajnej pracy, oznaczała po prostu wyrok śmierci. Ewakuacja z Bremen do Bergen-Belsen rozpoczęła się 4 kwietnia 1945 roku, pieszo lub w przepełnionych wagonach, często bombardowanych, co więźniarki przyjmowały z ulgą, naloty bowiem nie wywoływały w nich uczucia lęku.

Na zakończenie „Die Zeit" zamieszcza jeden z otrzymanych listów, nadesłany z Izraela. Przytaczamy go w całości, w jego dość chaotycznym układzie, z nie zawsze wyjaśnionymi do końca szczegółami.

„Nazywam się Tola Wolkem, z domu Freymer, jestem Polką z Łodzi. Chciałam nadesłać wam opis tego — co mi od lat leży na sercu i męczy całymi nocami. Miałam szesnaście lat, kiedy wybuchł ten koszmar. Łódzkie getto było wyjątkowo okrutne, panował nieopisany głód i zimno, tyfus, gruźlica, wszystko, co możliwe. Było to prawdziwe piekło. Kiedy po czterech latach przybyłyśmy przez Oświęcim do Bremen byłyśmy całkowicie wyniszczone — szkielety, które miały tylko jedną wizję: dostać coś do zjedzenia.

Pochodzę z tradycjonalistycznej, patriarchalnej rodziny. Było nas pięcioro rodzeństwa, rodzice, wujek, ciotki, dziadkowie. Przy życiu pozostałam tylko ja i mój młodszy brat.

Transport przebiegał w warunkach grozy i bestialstwa, byłyśmy pozamykane jak zwierzęta od 60 do 100 w jednym wagonie, tylko stojąc. Rozlegały się krzyki SS-manów, słychać było płacz dzieci, był straszliwy upał. Wszystkie byłyśmy jak obłąkane.

W Oświęcimiu przebywałyśmy kilka dni i był to zły sen, który rozmyślnie od siebie odpędzam, w przeciwnym razie nie mogłabym pisać dalej. Byłyśmy nagie, ciągle bite, do Bremen przybyłyśmy tylko w jednym okryciu ciała. Pierwszy Lagerführer okazał się bestią — wszystkie byłyśmy dla niego tylko „gnojem". Na szczęście zmieniono go później na starszego i nie aż tak okrutnego. Nasze baraki składały się z niewielkich pomieszczeń, w których przebywało po 50 dziewcząt, po trzy na jednej pryczy.

Dzień zaczynał się o czwartej rano apelem. Nieco wcześniej otrzymywałyśmy wprawdzie trochę gorącej, zabarwionej wody, którą jednak mogłyśmy pić dopiero zimną, ponieważ byłyśmy najpierw zajęte porządkami i wskutek tego spóźniałyśmy się, a kiedy prycza nie była doprowadzona do porządku, spotykała nas kara.

Byłyśmy podzielone na „komanda", wyposażone w szufle, a nasza praca polegała na odgarnianiu śniegu i usuwaniu gruzu po alianckich bombardowaniach. Miałyśmy nad sobą strażników i strażniczki, niektórzy spośród mężczyzn przejawiali niekiedy ludzkie uczucia, czego nie można powiedzieć o kobietach. Miałyśmy szczególnie okrutną strażniczkę, którą przezywałyśmy koniem, ponieważ deptała nas butami po brzuchu.

Do miejsca pracy miałyśmy dojeżdżać, ale nie było żadnego pojazdu, toteż musiałyśmy w ciemności i chłodzie odbywać długie biegi, miałam przy tym drewniane trepy nr 43, gdy na moje stopy pasuje nr 37. Pokazywałyśmy się ludziom w swoich łachmanach i nasz widok był doprawdy odrażający. Byłyśmy wprawdzie młodymi dziewczętami, znajdowały się między nami naprawdę inteligentne buzie, ale wygląd nasz był okropny, rzeczywiście „gnój".

Po porannej gorącej wodzie nie otrzymywałyśmy już w ciągu dnia żadnego jedzenia, dopiero po powrocie do „domu", gdzie wydawano nam tak zwaną zupę z kawałkiem chleba, co właściwie mogłoby wystarczyć najwyżej jako śniadanie. Byłyśmy w pewnej mierze skazane na pomoc społeczeństwa. I rzeczywiście, rzucano nam jakiejś kęsy, niekiedy była to większa zdobycz (ludzie byli już zmęczeni wojną i okazywali nam więcej zrozumienia). Ale niektóre sadystyczne strażniczki biły nas do upadłego z powodu kawałka rzepy, kartofla czy kęsa jabłka.

Między sobą żyłyśmy dość dobrze, rozumiałyśmy, że musimy trzymać się solidarnie, jeśli nie chcemy zmarnieć do reszty. W Bremen była izba chorych z jedną lekarką, ale na luksus zachorowania nigdy sobie nie pozwoliłam, kto bowiem zachorował, ten umierał.

Z mojej rodziny zginęli wszyscy, oprócz brata, z którym mieszkamy w Izraelu. Mam dwie córki, jedna jest dyplomowanym biologiem, druga, zamężna, nauczycielką gimnazjalną. Ja nie mam żadnego zawodu. Z największym trudem odbudowałam się wewnętrznie.

Mam za sobą twarde lata, myślę już tylko o dzieciach, przynajmniej one wyszły na ludzi. Moją obsesją są lektury, czytam bardzo dużo, zawsze tyle czytałam i jest to moja jedyna edukacja.

Bergen-Belsen, to już była agonia. Byłyśmy tu deportowane z Bremen, nie wiedząc dokąd, ale rozumiejąc, że to nasza „stacja końcowa". Jest dla mnie bardzo ważne, żeby nasi potomkowie nie zapomnieli o tych tragicznych czasach, dlatego gotowa jestem do udzielenia każdej informacji.

Z poważaniem:
TOLA WOLKEM.

P.S. Mam nadzieję, że nie macie trudności ze zrozumieniem mojego listu. Wprawdzie do szesnastego roku życia uczyłam się po niemiecku, ponieważ moja rodzina odnosiła się z entuzjazmem do niemieckiej kultury, a moja matka przywiązywała wielką wagę do nauki. Ale w rzeczywistości język polski jest tym językiem, w którym potrafiłabym dać wyraz swoim przeżyciom".

Tłum. i oprac.:
JERZY KWIECIŃSKI

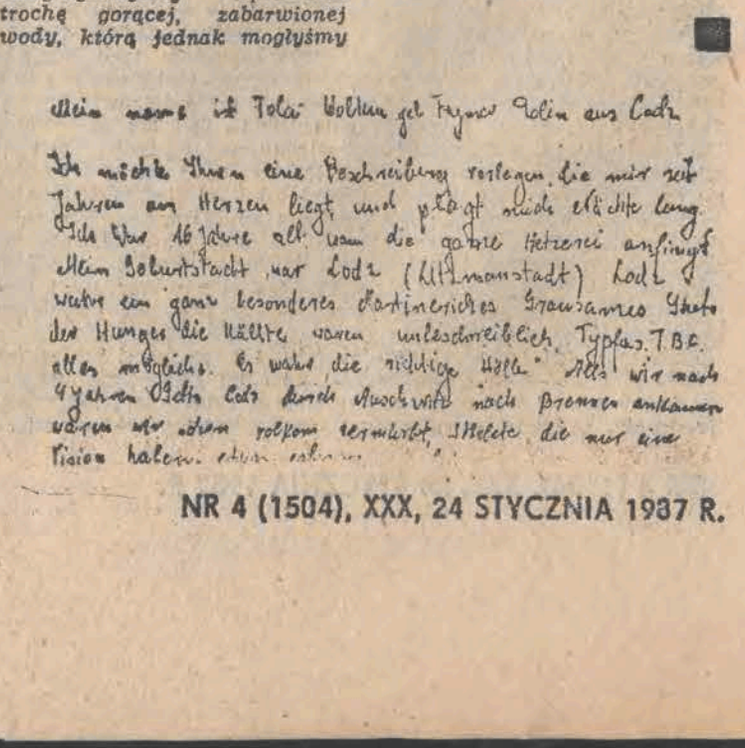

Coraz więcej ludzi boi się AIDS, ale w Wielkiej Brytanii, choć Londyn stał się stolicą homoseksualizmu, lepiej chronią przed zakażeniem niż w USA czy... Ugandzie.

W 1991 roku umrze na AIDS...

MAREK BRZEZIŃSKI

Na ekranie telewizora pojawiła się dobrze znana twarz *„żelaznej damy z Downing Street"*. W rozmowie z dziennikarzem BBC 1 pani Margaret Thatcher odpowiadała na pytania dotyczące sprzedaży broni przez USA do Iranu, wypowiadała się na temat obecnej polityki międzynarodowej po konferencji w Reykjaviku i podwyżki płac nauczycielom oraz na temat AIDS.

— *Rząd przywiązuje wielką wagę do kampanii informującej społeczeństwo o możliwościach uniknięcia infekcji AIDS.*

W kilka dni później odpowiadając na pytanie torysowskiego członka parlamentu, z tak zwanej „tylnej ławki", Johna Townenda, czy informacje o AIDS wpłyną na zmianę w zachowaniu społeczeństwa brytyjskiego, pani premier odpowiedziała:

— *Jestem przekonana, że zmieniają się ludzkie postawy i sposoby postępowania w miarę jak wzrasta uświadomienie społeczeństwa dotyczące AIDS. Wydaje mi się, że większość sposobów zachowania, które teraz są społecznie przyjęte i tolerowane staną się wkrótce całkowicie odrzucone.*

— *Ludzie na razie jeszcze żyją koło tego* — powiedział mi David — *Rząd oczywiście robi wielkie halo, bo zbliża się kampania wyborcza, ale jeszcze parę miesięcy temu nikt poza lekarzami, sanitariuszami, strażakami i policją drogową nie był specjalnie poinformowany o AIDS. Oni dostali nawet specjalne maseczki z rurką, aby w razie konieczności udzielenia pomocy ofiarom wypadków czy pożarów, metodą usta — usta, nie zarazić się AIDS-em.*

— Wydawało mi się, że AIDS przenoszony jest tylko przez skaleczenie i drogą kontaktu seksualnego?

— *Ostatnio wiemy także, że wirus występuje w łzach i w ślinie.*

David przynosi gazetę. „The Independent" — to także produkt ostatnich miesięcy. Bardzo popularna, założona przez dziennikarzy, którzy nie mogąc się zgodzić z polityką rekina prasowego Murdocha, musieli odejść z „The Times".

UGANDA — NAJBARDZIEJ ZAGROŻONY REJON ŚWIATA

Skoro AIDS może zmieniać zachowanie Ugandczyków, a jest to jeden z najbardziej zarażonych regionów świata, to dlaczego nie Brytyjczyków — którzy mniemają się być tak bardzo cywilizowanymi. Cathy Wilson pisze w „The Independent" ze stolicy Ugandy: *„społeczeństwo zaczyna się uczyć wierności jednemu partnerowi oraz stosowania prezerwatyw, gdyż wie, że jest to jedyna szansa na utrzymanie się przy życiu. Ministerstwo Zdrowia Ugandy w ciągu miesiąca rozprowadza około 10.000 prezerwatyw między 300.000 ludności kraju".*

Jeden z rozmówców angielskiej dziennikarki, mężczyzna z Lukunyu, centrum handlowego na granicy z Tanzanią, powiedział:

— *W radio mówią, że my mamy używać te rzeczy, które oni nazywają prezerwatywami. Dla tych spośród nas, którzy jeszcze pozostali przy życiu i nie są zarażeni jest to obok przyzwoitego prowadzenia się i utrzymywania stosunków tylko z jedną kobietą, jedyną szansą na przetrwanie.*

Jednak sytuacja, szczególnie w miastach targowych i większych wsiach, jest dopraw dy dramatyczna. We wspomnianym Lukunyu trudno jest dostać pokój bez kobiety, gdyż prostytutki wykupiły wszystkie pokoje w miejscowym hotelu.

Służba zdrowia w Ugandzie jest jeszcze w powijakach, więc na AIDS kapitał zbijają lekarze i pielęgniarki, którzy zapisują chorym antybiotyki, maści przeciwgrzybicze i syropy przeciwko kaszlowi. Szczególne niebezpieczeństwo grozi pacjentom przychodni i szpitali, którym AIDS można wszczepić strzykawkami z igłami wielokrotnego użycia. Nawet intensywne gotowanie może nie pomóc, ale któż tam w Ugandzie bawiłby się w intensywne gotowanie igieł.

— No chociaż z jednorazowymi igłami nie macie w Anglii problemów.

— *To prawda, ale nie wszyscy mają jednorazówki* — odpowiedział David. — *Na przykład narkomani. Przecież dlatego narkomani obok homoseksualistów należą do grup największego zagrożenia. A może chciałbyś porozmawiać o tym, co myśli człowiek, który z racji swojej orientacji seksualnej żyje w stanie ciągłego zagrożenia. Mój serdeczny przyjaciel Mike jest homoseksualistą.*

— *Nie tylko ja żyję w stresie związanym z AIDS* — powiedział mi Mike, gdy powtórzyłem mu słowa Davida. — *Przecież wy, którzy jesteście heteroseksualni, też możecie się łatwo zarazić AIDS-em. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni chorują na to.*

— Niedawno czytałem, w którejś z niedzielnych gazet, że rząd zaproponował wzięcie prostytutek pod ścisłą kontrolę.

— *A jak ty to sobie wyobrażasz?* — oponuje Mike. — *Przecież są takie panienki, które mają do dwudziestu klientów dziennie. Słyszałem to niedawno w telewizji.*

— Rzeczywiście w brytyjskiej telewizji, prasie, radiu pełno jest informacji, sensacji, ciekawostek o AIDS. Z ust komentatorów, a nawet polityków padają takie słowa i poruszane są przez nich takie tematy, jakie jeszcze do niedawna były tabu. Na przykład niedawno BBC 2 pokazała taśmę produkcyjną w fabryce prezerwatyw, dodając, że w tej chwili przemysł ten osiąga szczyty swojego rozwoju, pracuje pełną parą i zarabia kokosy.

— *Tak. Robią wielkie halo, że niby tak dbają o zdrowie ludności. Wielka Brytania jest, obok Stanów, najbardziej zagrożonym krajem Zachodu. Ale czy to zmienia jakoś zachowanie się ludzi? No, ubieraj się. Sam zobaczysz na własne oczy* — zarządza Mike.

WYPRAWA DO BARU, GDZIE NIE MA KOBIET

„Brief Encounter" — Bar „Przelotne spotkanie" — mieści się w samym sercu West Endu, przy St. Martin's Lane; z jednej strony kino, w którym właśnie wyświetlana jest „Róża Luksemburg" i nazwisko Daniela Olbrychskiego widoczne jest w całej krasie, a z drugiej słynny kościół St. Martin's i Trafalgar Square z Nelsonem na kolumnie wpatrzonym w gmach parlamentu i Big Ben. Pomiędzy nimi bar, do którego wchodzimy, lawirując między tłumem ludzi i gąsienicami wlokących się w tasiemcowych korkach samochodów.

Bar mieści się na parterze. Jest taki, jakich tysiące w Londynie. Tyle tylko, że nie uświadczysz ani jednej kobiety. Ale Mike, stały bywalec „Brief Encounter", ciągnie mnie i Davida na dół, stromymi schodami, skręt w prawo, skręt w lewo, i wpadamy w dym papierosów, zapach piwa i hałas rozmów. To właśnie tu, w piwnicy, nawiązywane są „przelotne spotkania".

Przepychamy się między tłumem mężczyzn w stronę barku; szklanki z lagerem — czyli kontynentalnym piwem — w dłonie i możemy przycupnąć gdzieś w kąciku, żeby móc spokojnie przyglądać się temu, co się dzieje na sali.

Dominują młodzi ludzie. Tacy ubrani na sportowo chłopcy w wieku 19—25 lat. Jest paru „nałogów" — nie ogoleni, smętnie kiwający się nad resztkami łapczywie pitego piwa, czekają na okazję — głównie aż im ktoś zafunduje drinka. I czasami się to zdarza. Jest paru elegancko ubranych dżentelmenów, w garniturach; krawat ze szpilką, sygnet na małym palcu lewej ręki, nieodłączny parasol zawieszony na blacie baru. Gdzieniegdzie migają zielone i złote czupryny punków, ale to zdecydowana mniejszość. Dominuje wygolona z tyłu głowa i dłuższy kosmyk, grzywka z przodu. Jedna matryca — jeden model. Każdy nowo przybyły oceniany jest taksującym spojrzeniem, ale nikt nikogo nie zaczepia, nie narzuca się. Spojrzenia rzucane są znad szklanki piwa czy Martini, nawet jeżeli wydaje nam się, że rzucający jest bardzo zaangażowany w rozmowę. W końcu baru, oddzielona szklaną ścianą maleńka salka, trzy stoliki i parę par przytulonych do siebie i coś czule szepczących sobie do ucha.

Przyglądam się Mike'owi. Uległ dziwnej metamorfozie, gdy tylko przekroczyliśmy progi „Brief Encounter". Chyba ja bym podobnie się zachowywał, gdyby przyszło mi pić piwo za kulisami „Folies Bergé". Mike też niby rozmawia ze mną, ale przez cały czas uważnie lustruje salę, która na chwilę zamiera, gdy na środku staje w wyzywającej pozie młody człowiek. Niby też rozgląda się po wszystkich, ale spojrzeniem, które martwo prześlizguje się po twarzach. Piętnaście sekund minęło i zaczął się znów szum ożywionych rozmów. Chłopak jednak uparcie tkwi w tym samym miejscu.

— *To kurwa* — szepcze mi do ucha Mike — *może złapie jakiegoś klienta, ale na razie cieniutko.*

— Słuchaj, to jest draństwo, bo jeżeli on jest chory, to świadomie zaraża innych — nie wytrzymuję.

— *A jak szliśmy przez Rupert Street na Soho, to nie zaczepiały nas te czarne panienki?* — replikuje Mike.

— Konserwatyści w Anglii i tak zwani „nowi konserwatyści" w Stanach nie tylko uważają, że należy uczyć ludzi całkowitej abstynencji i unikania kontaktu fizycznego, taka nowa forma purytanizmu amerykańskiego, ale także żądają kwarantanny dla chorych i nosicieli, wyeliminowania nauczycieli nosicieli i uczniów z publicznych szkół i surowego karania tych wszystkich, którzy celowo zarażają innych AIDS-em.

— *Jak to celowo?*

— No zdarzyły się przypadki usiłowania dokonania morderstwa poprzez ugryzienie. Znalazło się też paru facetów, którzy próbowali opluć policjantów w Nowym Jorku, bo przecież wirus przenosi się także w ślinie.

— *Ty wiesz co by to było, gdyby policja miała prawo ingerować w takich przypadkach? Przecież w tym pięknym kraju zdarzają się sytuacje, że nawet tutaj, do „Brief Encountera", przychodzą policjanci w cywilu, podrywają faceta, fundują mu drinka i wychodzą z nim na ulicę, a tam wprost do samochodu i na policję.*

Niedawno na łamach „The Guardian" wypowiadał się w tej sprawie Larry Gostin, dyrektor Amerykańskiego Towarzystwa Lekarzy i Prawników. Był on zdecydowanym przeciwnikiem eliminacji dzieci zarażonych AIDS ze środowisk szkolnych, nawet jeżeli takiemu dziecku można zapewnić naukę w domu. Dzieci nosiciele wirusa powinny przebywać w otoczeniu rówieśników, gdyż eliminowanie ich od kontaktów z rówieśnikami mogłoby doprowadzić do poważnych zaburzeń w równowadze i rozwoju społeczeństwa. Także zbyt daleko idące prawa dla policji dałyby jej prawo do swobodnego ingerowania w życie prywatne obywateli, naloty na kluby homoseksualistów, hotele i mieszkania prywatne.

Jednocześnie Larry Gostin nawołuje do rozszerzenia opieki psychiatrycznej nad dotkniętymi chorobą. W Stanach Zjednoczonych ponad 40 proc. cierpiących na AIDS, cierpi także na zaburzenia natury neurologicznej i psychologicznej. *„Rządy mają obowiązek pomóc tym ludziom"* — kończy Larry Gostin.

„LOVE STORY" DLA HOMOSEKSUALISTÓW

Następną atrakcją wieczoru jest robiący niezwykłą popularność wśród publiczności West Endu film Billa Sherwooda — „Parting Glances". To historia trzech chłopców, klasyczny trójkąt, Boba, Mike'a i Nicka; nowojorskich homoseksualistów, którzy uprawiają jogging, piszą książki, studiują, podlewają grządki. Sceny miłosne są jak z okresu wczesnego kina heteroseksualnego. Dyskretnie pokazane plecy jednego z bohaterów, usta półprzymknięte w pocałunku. Problem w tym, że Nick, w którym dotychczas kochał się Mike jest chory na AIDS, więc obydwu zostaje miłość platoniczna, a Bill, ku zazdrości Nicka staje się partnerem seksualnym Mike'a.

„Love Story" dla homoseksualistów — tak określił ten obraz jego reżyser w jednym z wywiadów dla londyńskiego tygodnika.

— *Sądzę* — powiedział — *że dla ludzi, którzy nie rozumieją nowojorskiego punktu widzenia „guppies", film może wydać się trochę śmieszny, ale jest on uczciwą prezentacją życia codziennego homoseksualistów w dużym mieście. Nie chciałem przedstawiać go jako jeszcze jednej groteski na temat pederastów. W większości filmów tylko heteroseksualni mają prawidłowe stosunki; pederaści są albo alkoholikami, albo popełniają samobójstwo. Nie jest to film o AIDS, chociaż nie można tego pominąć, jeżeli filmuje się życie codzienne homoseksualistów. To nie miało być łzawe opowiadanie, a miał to być w założeniu film romantyczny.*

Chłopcy spotykają się ze sobą wiodąc długie dysputy filozoficzne, spotykają się na bankietach ze swoimi przyjaciółmi, spośród których najbardziej zaprzyjaźnieni są z pewną solidnej tuszy, jowialną Murzynką. Jeden z nich ląduje z nią nawet w łóżku, ale nie „tak naprawdę", a tylko, żeby się wypłakać swojej czarnej mamie, że przed chwilą złapał swojego kochanka na gorącym uczynku w scenie niedwuznacznie miłosnej z przystojną, białą Amerykanką. I to był dopiero dramat i zdrada.

Film jest ckliwy, widać, że film homoseksualny stawia dopiero pierwsze kroki i daleko mu do wyrafinowania erotycznego i psychologicznego pokazywanych na ekranie związków heteroseksualnych.

— No dobrze — pytam się Mike'a, gdy wychodzimy z kina w przejmujący ziąb londyńskiej, listopadowej nocy — ale czy ty naprawdę nigdy nie bałeś się, że się zarazisz AIDS?

— *Mówiłem ci już, że mam tylko trochę większe szanse niż ty. Zobacz, to dotyka nie tylko nas. A przeciwnie. Widziałeś w „Brief Encounter"* — *tam się nikt AIDS nie przejmuje. A takich miejsc jak ten bar jest w całym Londynie masę. Earls Court, kiedyś uważany za dzielnicę Polaków, artystów i Arabów teraz jest centrum homoseksualizmu. Tam każdy pub jest klubem. A czy ty myślisz, że w Polsce jest mniej homoseksualistów? Byłem przecież parę razy, to wiem. Tylko, że to jest bardziej ukryte, zakamuflowane!*

— Londyn wydaje mi się stolicą homoseksualizmu.

— *Bo tu jest wszystko na powierzchni. Nikt się tego nie wstydzi. Stosunki między hetero- a homo-, społeczne stosunki, są takie jakby nie było różnicy w orientacji seksualnej. Nikt nikogo nie piętnuje, z nikogo nie szydzi. Moi najlepsi przyjaciele to hetero. Tylko trochę mi ich żal, że nie odczuwają pełni życia.*

— *Ja to samo myślę o homoseksualistach* — wtrąca się David. — *Ale swoją drogą, to zobacz, jaka zmiana nastąpiła w Londynie na przestrzeni ostatnich paru lat. Zamyka się seks shopy, plajtują burdele, pąnienki marzną na ulicach.*

UCIEKLI OD NARKOTYKÓW, ALE POZOSTAŁ AIDS

W BBC 1 wywiad z matką i ojcem paromiesięcznego bobasa. Matka płacze. Przed kilku laty byli narkomanami. Udało im się wyzwolić z nałogu. Wydawało im się, że najgorsze mają za sobą. Przyszło na świat dziecko. I wtedy okazało się, że obydwoje byli nosicielami wirusa. Ich nie atakował. Dziecko jest skazane na śmierć. Reporterka przeprowadzająca rozmowę z rodzicami jest bezradna wobec tragedii, tak jak bezradny jest rząd, organizacje społeczne, służba zdrowia.

Sir Donald Acheson — główny lekarz Londynu także rozkłada bezradnie ręce:

— *Mamy wprawdzie lekarstwa, ale tylko takie, które są w stanie przedłużyć życie chorym i zmniejszyć ich cierpienie. Ale mają one bardzo silne działanie uboczne. W Londynie co czwarty z badanych homoseksualistów jest nosicielem AIDS. 80 proc. narkomanów w Edynburgu jest nosicielami wirusa. Także normalne związki między kobietą a mężczyzną są obarczone bardzo silnym stresem.*

Jenny jest przyjaciółką Davida.

— *To jest koniec przypadkowego seksu. Ludzie się boją luźnych związków z partnerem, o którym niewiele wiedzą. W ogóle seks bez prezerwatywy zaczyna być nie do wyobrażenia. Ale to z kolei wymaga kolejnej zmiany w mentalności kobiety. Jeszcze nie każdą z nas stać na wejście do apteki i kupienie paczki prezerwatyw, skoro niedawno z trudem to słowo przeciskało się na łamy prasy.*

W północnej Anglii rodzice zabrali swoje dzieci ze szkoły, aby zaprotestować przeciwko lekcjom w-f na basenie.

NOWA MODA: WIERNOŚĆ ŻONIE.

Amerykańscy dentyści i technicy dentystyczni używają nie tylko specjalnych maseczek, ale także jednorazowych gumowych rękawiczek.

„Wkrótce gwiazdy pop-muzyki, takie jak na przykład Ian Dury, które niegdyś śpiewały o radości seksu, narkotyków, rock'n'rolla, zaczną śpiewać niczym Bing Crosby o rozkoszy trzymania się za ręce" — donosiła jedna z niedzielnych gazet.

W innej znalazłem wypowiedzi angielskich dziewczyn:

— *Pigułka antykoncepcyjna sprawiła, że prysnął lęk przed seksem, AIDS go przywrócił.*

— *Znam teraz niewiele osób, które mają przypadkowe romanse. Każdy kolejny z twoich partnerów może być tą specjalną osobą.*

A najlapidarniej ujęła to dwudziestoletnia panienka, która stwierdziła:

— *Lubię seks, ale ani mi się śni za niego umierać!*

Czasy luźnych kontaktów seksualnych mają się ku zmierzchowi. Rodzice, którzy wyszumieli się w *„szalonych latach 60-tych"* do woli i zupełnie bezpiecznie, teraz muszą ostrzegać dzieci przed niebezpieczeństwem luźnych związków, I to nie tylko zgodnie z uświęconą wiekami tradycją, że mama mogła, tata mógł, a dziecku się nie pozwala.

„W Hollywood koniec z przyjętą formą całowania się na powitanie. Zostało tylko „hello i uśmiech" — donosi „The Independent". I dalej: *„Skończyły się słynne przedbożonarodzeniowe przyjęcia w brytyjskich firmach, na których dużo pito i za punkt honoru stawiano sobie przespanie się z chichoczącą sekretarką szefa. Może i będzie chichotała, ale z tych rzeczy nici".*

Nagle, wśród Amerykanów, ostatnim krzykiem mody stała się wierność żonie.

— *Chcesz dotrzymać kroku modzie? Kup sobie najnowszy model Oldsmobila i bądź wierny żonie* — powiedział mi Jim, który po rocznym pobycie w siedlisku rozwiązłości małżeńskiej Los Angeles, znalazł się znów w kochanej, starej Anglii.

W czwartkowe wieczory telewizja angielska nadaje niezwykle interesujące programy publicystyczne, do których zaprasza przedstawicieli partii politycznych mających odpowiadać na pytania około 100-osobowej widowni i telefony telewidzów. Program prowadzony jest na żywo przez Sir Robina Day'a.

— *Rząd przeznaczył na badania nad AIDS i kampanię informacyjną w 1987 roku 20 milionów funtów* — mówi z dumą przedstawiciel torysów.

Ta suma robi wrażenie, ale labourzysta ma refleks:

— *Też mi osiągnięcie. To absurdalnie niska suma. Te 20 mln trzeba pokazać w perspektywie innych wydatków, a nie tylko, ot tak sobie w oderwaniu, żeby ładnie brzmiało. Rząd przez tylko trzy tygodnie kampanii na rzecz denacjonalizacji brytyjskiego gazu wydał 100 mln funtów. Wasza suma to kpina i kropla w morzu.*

Temperatura na scenie wzrasta i atmosfera przypomina sesje parlamentu, na której trzeba mieć silny głos i dużą pewność siebie, żeby przebić się przez głośno protestujących posłów gabinetu opozycji.

Wspomniany Larry Gostin uważa, że rząd prezydenta Ronalda Reagana powinien przeznaczyć na badania nad AIDS kilka bilionów dolarów, co wydaje się w kontekście walki z wirusem sumą banalną, skoro na wprowadzenie na rynek nowych papierosów wydaje się 123 miliony dolarów.

W 1991 roku na AIDS umrze w Stanach Zjednoczonych 54 tysiące ludzi, a do tego czasu liczba ofiar wirusa wyniesie 179.000.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

Opowieści podwyrkowe

(Fragment wspomnień o Chojnach z początku wieku)

Nasze podwyrko było zwyczajne. Jak setki i tysiące łódzkich podwyrek. A że dla nas było ono niezwyczajne, to też jak setki i tysiące łódzkich podwyrek. Na każdym z nich działy się zwyczajne i niezwyczajne rzeczy.

Centralnym a jeżeli nie centralnym, to w każdym razie najważniejszym punktem podwórka (przepraszam, myśmy tak mówili — podwyrka) była studnia, w naszym języku „plumpa" a nawet „klumpa". Prawdopodobnie od słowa „pompa". Z pumpy się wodę pumpowało. Bardzo rzadko trafiały się jeszcze na Chojnach studnie z żurawiem. Natomiast już w Nowych Chojnach, zwłaszcza przy dwu — albo trzypiętrowych kamienicach, a trafiały się i takie szczególnie w okolicy Górnego Rynku lub przy placu Leonarda, bywały i studnie „kręcone". Niektóre tak zmyślnie urządzone, że od nich pod ziemią szła rura, która prowadziła do rezerwuaru nad górnym piętrem. Stróż miał polecenie baczyć, by w rezerwuarze była zawsze woda. Musiał przełączyć w głębi studni taki „wichajster", żeby woda nie uciekała na podwórko, ale pchała się do góry. Górą od rezerwuaru szła rura, którą ciekła woda, kiedy już rezerwuar się napełnił. Wtedy stróż przestawał kręcić, przestawiał ten „wichajster", tak żeby mogli i zwyczajni lokatorzy wodę nabierać. Bo z rezerwuaru korzystać mogli bogatsi, którzy płacili droższe komorne za to, że mogli sobie w kuchni czy na korytarzu tylko kran przekręcić a już im woda szła.Ale takich studzien było zaledwie kilka. (Nie znano wtedy jeszcze słowa „wodociąg").

Dlaczego napisałem, że studnia była najważniejsza? Pewnie, że i wychodki, i śmietnik, i nawet zlew były ważne, potrzebne, ale studnia najpotrzebniejsza. Pewnie, trafiały się posesje bez plumpy, ale wtedy gospodarz umawiał się z sąsiadem, ile mu za to musiał płacić, by i jego posesja z tej studni korzystać mogła. Bo to czasami i naprawiać trzeba było, nieraz pogłębiać, studnie bowiem były z reguły płytkie, więc i zamulały się łatwo. Poza tym fabryki potrzebowały dużo wody, którą czerpały kosztem mizernych studni podwórkowych. Najgorzej było zimą. Jeżeli złapały tęgie mrozy, a gospodarz nie zadbał w porę o należyte zabezpieczenie przed nimi słomą i szmatami, woda w przewodzie studzien zamarzała na amen. Musieliśmy wtedy chodzić od podwórka do podwórka błagając o wodę. Gospodarz zabezpieczał się od natrętów, nakazując dozorcy zamykać plumpę na łańcuch i kłódkę. Nie pozostawało wtedy nic innego, jak dość dalekie wyprawy do studni na Małym Ryneczku. Tutaj cieć miejski miał obowiązek zatroszczyć się w porę o miejską studnię przed mrozami.

Na naszym podwyrku od strony południowej stały drewniane kómórki. Biegły rzędem jedna przy drugiej od kamienicy do wychodków, częściowo dwukondygnacyjne (aż mi wstyd tego wyrazu, którego nikt za tamtych czasów nie znał). Na wyższą „kondygnację" prowadziły drewniane, sfatygowane schodki. W komórkach niektórzy lokatorzy trzymali w klatkach króliki, a syn gospodarza — Otto — gołębie. Dwie ostatnie komórki, nie przedzielone ścianką stanowiły oborę dla dwóch krów, którymi zajmował się średni syn gospodarzy, przygłupek Adziu.

W kómórkach trzymało się węgiel i drzewo na opał i takie tam różne rupiecie, które „mogły się przydać". Ktoś z lokatorów trzymał w nich kurę jedną albo dwie, kaczkę lub gęś na utuczenie przed świętami a byli i tacy szczególnie przy małych drewniakach, co chowali również prosięta. Na dwór ich z reguły nie wypuszczali, Gruszkowa bowiem, gospodyni domu, patrzyła na to kosym okiem, głównie dlatego, że zapaskudzały podwyrko. A poza tym stanowiły niejaką „konkurencję" dla jej „żywiny".

Owa Gruszkowa, czy jak ją jej sąsiadki — Niemki nazywały, Frau Gruschke, baba zwalista, ponuro patrząca swymi wytrzeszczonymi a chyba i kikrowatymi (zezowatymi) oczami, z których jedno było częściowo pokryte bielmem, nie spoufalała się z lokatorami, kiepsko zresztą mówiła po polsku, jedynie, gdy coś jej się nie podobało, zwłaszcza rozwrzeszczane i rozbiegane dzieci, wpadała w pasję, darła się niemiecko-polskimi przekleństwami.

Za kumórkami stały wychodki czyli ustępy. Śmierdzące, brudne, obrzydliwe. Jeden wychodek niski służyć miał dzieciom, trzy „kabiny" dla dorosłych i czwarta, nie zamknięta, jak poprzednie na klucz, dla przygodnej „klienteli". (Obawiam się, że poniektóry czytelnik żachnie się może, że tak osobliwy przybytek szczegółowo opisuję. Ale, sądzę, że to też jest jakiś element folkloru ówczesnego przedmieścia). W ściankach zrobionych z desek, chłopaki wydłubywały dziury, żeby mogli podglądać. Ścianki były również upstrzone rysunkami wiadomych organów męsko-damskich, zdarzały się i napisy nieraz pod adresem konkretnych osób.

Wychodki, jak i tuż naprzeciwko zlokalizowany śmietnik, były rajem i wylęgarnią szczurów, dość już oswojonych i zgoła nie strachliwych. Były one przekleństwem właścicieli królików, drobiu czy gołębi. Jeżeli umówiony chłop, najczęściej z Józefowa lub ze Szwabów czyli Starowej Góry nie przyjechał późną jesienią, by wybrać zawartość stanowiącą podobno cenny (choć różnie to było oceniane) nawóz — wtedy nasze — powiedzmy tak z francuska, żeby inteligenckich uszu nie razić — szambo przelewało się na zewnątrz, a kontakt z tym pożytecznym a niezbędnym urządzeniem budził nie tylko wstręt, ale i grozę. Dziwić się zatem zbytnio nie należy, że gdy wyprowadzał się od nas właściciel „piwnej ławki" Żyd — Markus z liczną rodziną, wynoszono z jego piwnicy kubły pełne fekaliów, czyli jak to myśmy określali — gówna albo siajsy. Żydzi, jako naród strachliwy, z tak niepewnego i pełnego szczurzych pisków urządzenia nie korzystali.

Śmietnik był otwarty, opróżniany bardzo rzadko, bo i w niewielkim stopniu z niego korzystano. Do śmietnika bowiem wyrzucano niewiele rzeczy. Różne szmaty, kawałki żelastwa lub b'achy, butelki, zdarte do imentu kapcie skupowali Żydzi — handlarze podwórkowi, zlewki z obiadu z ochotą przyjmowały świnki, krowy lub ptactwo domowe, reszta szła do zlewu a z niego płytkim rynsztokiem do nieco głębszego środkiem bramy, na ulicę.

Od strony zachodniej był ogród, należący do gospodarza, zamknięty na kłódkę, do którego nikt nie miał dostępu. Jedynie w żydowskie święto „kuczek" był udostępniany okolicznym Żydom (myślę, że nie za darmo), którzy w nim budowali głównie z łodyg słonecznika swoje „kuczki".

Strona północna była zabudowana drewnianą, jednopiętrową oficyną. Jej pierwsze piętro zajmował Schiratowsky (myśmy go nazywali „Żyrardowski"), zięć Gruszkiego, który go nie darzył zbytnim uczuciem (a zresztą ten sztywny, dość wysoki a cichy, zamknięty w sobie Niemiec nie wiem czy był w stanie kogokolwiek czy cokolwiek darzyć uczuciem). Pokazywał się bardzo rzadko, na „dzień dobry!" odpowiadał: „Morgen" i to wszystko. Żył w cieniu swojej wściekłej baby. Najczęściej nienawiść w stosunku do (bądź co bądź) szwagra okazywał najstarszy syn gospodarzy Julek, wysokie, ordynarne Szwabisko. Dochodziło często do hałaśliwych kłótni na całe podwórko. Żyrardowskiego wymyślano wtedy od „Bejmoka". Co by to miało znaczyć, nie wiedzieliśmy. Dziś przypuszczam, że Shiratowsky przywędrował do nas z Czech (Böhmen) i dlatego nie traktowano go jako „echt" Niemca. Żyrardowscy mieli tylko jedną córkę — Lili. Jej los był nie do pozazdroszczenia. Nie miała żadnych koleżanek, na podwyrko nie wychodziła. Ta śliczna dziewczynka czasami siadywała w oknie i patrzyła ze smutkiem i zazdrością, jak tam w dole szaleją polskie dzieci. Jej nie było wolno mieszać się z polską hołotą.

Mogłaby wtedy swoją niemieckość utracić?...

A lato nastało w tym 1914 roku piękne, upalne. W mieszkaniach trudno było wytrzymać mimo otwartych okien. Dzieci całymi dniami przebywały na polach. Chłopaki kąpały się obok cegielni w gliniankach, tj. w sadzawkach po wybranej glinie, grały w nową pasjonującą grę. w fusbala, czyli piłkę nożną. Oczywiście piłki z prawdziwego zdarzenia nikt nie miał, ale szmacianka też dobra. Bramek naturalnie na pastwisku nikt nie stawiał, ale kupki kamieni wyznaczały sztangi (słupki).

Młodzi chłopcy uganiali się za motylami. Nad pastwiskiem unosiły się motyle zwyczajne czyli śmietki (bielinki), czasem tylko trafiały się śliczne żółciutkie „cytrynki" lub różnokolorowe „fuksy" i „pawie oczka", „żałobniki", „jaskółcze ogony" czy choćby małe „osetniki". Wystarczyło jedną śmietkę nakryć czapką lub kapotą, poobrywać jej nieco skrzydełka tak by już nie mogła daleko pofrunąć i potem flatrować czyli wabić nią inne. Motyle są istotami towarzyskimi, jeden do drugiego leci, a w jakim celu? Nie wiem. Może tylko w towarzyskim.

Lili wiedziała o tych zabawach na pastwisku, czasami bowiem „muti" pozwalała jej towarzyszyć wujkowi Adziowi z krowami. Na podwyrku bawiły się wówczas tylko mniejsze dziewczynki, które nie miały z kim wyjść na pole. Niektóre z nich miały na szyi nanizane na sznurek klucze od mieszkań. Ich rodzice byli widocznie „w robocie". A one same mając czasami pod opieką młodsze rodzeństwo musiały pamiętać jeszcze o mieszkaniu.

Dzieci bawiły się zgodnie. Najczęściej — w „klasy", wyrysowane na ubitej ziemi podwórza lub skakanką. Niektóre rozbierały i ubierały bez końca szmaciane lalki. Odchodziły też zabawy śpiewane „w kółko":

„We Warszawie sala duża, nasza pani niby róża.
Niby róża i lelija
po salonie się uwija".

A dalej:

„Mam chusteczkę haftowaną
wszystkie cztery rogi,
kogo kocham i szanuję
rzucam mu pod nogi".

Teraz dziewczynka chodząca na zewnątrz koła upuszczała chusteczkę przy wybranej koleżance, która musiała szybko chusteczkę podnieść i dogonić uciekającą. Najczęściej to się nie udawało i z kolei uciekająca będzie biegała wokół koła.

Albo:

„Chodzi róża od podwórza
w czerwonej czapeczce.
Komu róża się ukłoni
w czerwonej czapeczce" itd.

Zabawa połączona była z gestami wykonywanymi przez „Różę" chodzącą w kółku, zmieniała ją ta, której się róża ukłoniła lub „podała rączkę".

Ta zabawa ogromnie podobała się małemu Gieniusiowi. On też chodził obok koła (w chodzeniu nie był jeszcze zbyt pewny) i śpiewał:

„Chodzi luza, opkoduza
Sapka!"

Chciał przy tym dygnąć, jak dziewczynka w kole, ale kończyło się to zawsze tym, że przewracał się na ziemię.

Tych gier i zabaw dzieci miały zapas spory: „Siedzi zajączek na grochowej miedzy...". „Jedzie pociąg z daleka", „Gąski do domu" „z groźnym wilkiem", „Ojciec Wirgiliusz"... „Budujemy mosty dla pana starosty"... Zabawa „Na kucku ruła".

Pod wieczór podwyrko znowu się zaludniało. Zrazu dziećmi, które zgłodniałe przychodziły z pól i glinianek na kolację. Po jej zjedzeniu i umyciu się szły do łóżek i zapadały szybko w zdrowy, twardy sen. Niektóre matki, ogarnąwszy jako tako izbę, schodziły na podwyrze, odpoczywać. Siadały wówczas na studni lub na przyniesionych z sobą ryczkach i trajkotały, trajkotały! O wszystkim, co ślina na język przyniosła.

W tej chwili jednak któryś ze starszych chłopaków, co jeszcze spać nie poszli, wrzasnął, ile sił w płucach:

— Panie Oto, „obcy"!

Miało to znaczyć, że na niebie pojawił się jakiś samotny obcy gołąb a więc nie z flugu Ottowego. Pan Otto w kilku susach zeskoczył po schodach ze swojego mieszkania na pierwszym piętrze i już był na podwyrku. Otto miał liczny flug i różne sposoby łapania „obcych". Tym razem należało się spieszyć, bo zbliżał się wieczór i wszystkie jego gołębie były już w komórce gruchając z cicha i zabierając się do snu. Za chwilę wypadł z komórki. Przedtem zdążył rzucić okiem na obcego. Nie był podobny do żadnego z jego winerów, srybniaków, ani do brywera, ani do pawika... Może zwyczajny poluch? Ale nie! Poluch by tak nie kołował nad dumami, może pocztowiec?

A „obcy" istotnie zataczał koła nad domami, jakby poszukując swojego miejsca. Lot jego był powolny, widocznie już osłabł. Otto nie ma chwili do stracenia, jeszcze skądś może wyskoczyć „jasiu" (jastrząb) i sprzątnie go sobie na kolację. Wyrzucił tedy zza pazuchy jednego ze swoich na „flater", z drugim zrobił to samo, ale już na sąsiedniej posesji. Obydwa wyrzucone całą siłą poszybowały wysoko, „obcy" je zauważył, przybliżył się i odtąd już leciały zgodną trójką.

W tym czasie Otto uniósł lofgiter, podsypał trochę grochu i czekał. Nie czekał długo. Wkrótce wszystkie trzy były już na dachu komórek. Dwa tutejsze szybkim kroczkiem poszły do wyrzuconego grochu. Otto był wewnątrz komórki, gdzie zaczął „lokować" gołębia, to znaczy poświstywać łagodnie i zachęcająco. Ale „obcy" ociągał się. Widząc jednak, jak tamte dwa szybko dziobią groch, poszedł za nimi. Kiedy tylko znalazł się w zasięgu lofgitra, Kaziek dał umówiony znak, na który tylko czekał Otto. Zwolnił ze sznurka „lofgiter", który błyskawicznie opadł na dach. Obydwa „swoje" weszły jakby nigdy nic do środka, doszlusowując do swych kolegów z „flugu", wkrótce, nie bez wahania, poszedł za nimi „obcy".

Po kilku minutach wyszedł z komórki Otto, trzymając w ręku zdobycz. Chłopcy go natychmiast otoczyli.

— Panie Oto, pan pokaże!

— E, to chyba poluch albo bocian.

Otto gwałtownie zaprzeczył.

— Te, znawca, jak kura na pieprzu! Poluch! Jeszcze co!

— Nie, panie Oto, to nie poluch. Taki jakiś, trochę podobny do murzyna — gadały chłopaki przypodchlebnie. — Widziołym murzyna w zeszły piuntek na Ryneczku. Tyn je zupełnie inny!

— Pewnie — przytaknął Otto. — Może to pocztowiec. Jutro go dokładnie obejrzę.

Chłopcy pełni wrażeń ciągnęli powoli do własnych mieszkań. Kobiety zgromadzone przy plumpie zafascynowane innym wydarzeniem dnia: dziś w naszej kaplicy (tak nazywaliśmy niedawno postawiony przy Rzgowskiej kościół Przemienienia Pańskiego), ksiądz wypędzał z opętanej diabła. To była sensacja!

— Co te baby za głupoty wygadujum! Tu ludzie coraz mundrzejsze, elektryke wynaleźli, tramwaje, koleje a tyn nosz cimny naród w diabła wierzy. Widziołyśta tego diabła?

— Była która przy tym w kościele? — pytał Witczak.

Jak te baby na niego wsiadły! A to że niewierny Tomasz, a to, że może w Boga nie wierzy, bo tyż go przecie nie widziol. A jak stare ludzie mówiom, co to w Łagiewnikach kilka naroz bab było opętanych, że krowy mlika nie dawały, zimia przestała rodzić i dziedzic kazoł je pławić we stawie. Ino że dziedziczka płakała, modliła się i prosiła dziedzica, co by doł spokój.

— No i co? Diobły sie wyniesły? — dopytywał ironicznie Witczak.

— Dejcie spokój, Witczak! Kto coś wi, niech powiado.

— Którum to kobite opyntoł? którum?

— Florczakowum. Te z Łunczny, spod trzeciego.

— To tu zaro. Blisko nos? Ojejku, jejku!

— A blisko, blisko.

— Ludzie już dawno godali, że z nium coś nie tak. Całe dnie siedziała w mieszkaniu, coś do siebie godała, kogoś przeklinała.

— A kogo by? Pewnie swego chłopa, co od nij ucik.

— Wreszcie zaczyła w nocy światło świecić, a śpiewąć, jak już wyszła na ulice, to ludzi palcami pokozywała, pluła przed nimi.

— I z diabłem szła de pache? Co?

— Oj, Witczak, nie godej, nie godej! Nawet jego imienia nie wymawiej, bo to sie może pokozać. Już nie roz tak się zdarzyło. Jak już musita, mówta Zły, Czorny, Rogaty albo Pokuśnik, Licho albo tylko On czy coś tak, tak... Ale jego imienia nie wymawiejta!

— No, ale jak to było z tum Florczakowum?

— Pewnie jum zwiunzali, do worka wsadzili i zanieśli do Kościoła?

— Witczak, uspokójta się! A nie chceta słuchać, to nie słuchejta. Idźta sobie gdzie.

— Mówta dali, kobity.

— Ano w kościele był ino organista i kościelny. Innym ludzium kazoł ksiundz wyjść a babe położyli krzyżem przed ołtarzym. Ludzie kochane, jak ona zaczyła ryczeć, piszczyć, wyć. A bo jo wim zresztum, może to nie ona, ino Zły tak w nij ryczoł? Ksiundz zaczył z organistum takie śpiewy, czy modlitwy po łacinie odprawiać, wziol kropidło i kropił wodum świncunum od góry do dołu, od lewy do prawy struny. Dopiro Zły zaczył nium ciskać, ryczała, jakby z nij kto skóre ściungoł, piana ij wyszła na usta. A ksiundz nic ino po łacinie się modlił. Złego jakoś przyzywo, aż tyn ni móg wytrzymać i jak z nij wypryśnie! Siarkum zaśmierdziało, górne śkło w oknie się rozprysło i tyle go widzieli. Florczakowum drgawki opuścili, uspokoiła sie. I kuniec.

Podwórze zaległa cisza.

Nagle od strony komórek podniósł się przeraźliwy ni to pisk, ni to kwik.

— Jezusie Nazareński! Wybaw nas! On tu już je! Przylecioł do nas. Bez tego Witczaka.

A Witczak spokojnie:

— Zajrzyjta która do kumórki, czy tam szczur albo łaska (łasica) kur wum nie dusi!

Kilka kobit się poderwało.

— No tak! — krzyknęła Kyndziowa. — Mówiłam mojimu, żeby dobrze wszystkie dziury blachum pozabijoł. O, mój Boże!

A tu już jej chłopak z komórki taszczy dwie kury z przegryziunymi szyjami, ociekające krwią. Kyndziowa zaniosła się płaczym.

— Nima znów czego tak rozpaczać. Trza uciuńć im szyje i bedzie z nich rosół jak ta lala!

Kyndziowa z chłopokim poszli do mieszkania.

— Ludzie kochane, co to sie u nos dzieje! A pamintata, jak to u nos nowy kościół otwirali?

— Opowidzta, Stasiakowo, bo to niektóre nic nie wiedzum, inne już zapumnieli.

Stasiakowa tyż lubiła się pochwalić, że ona coś wi, winc zaczyno gadke:

— A to jak już u nos nowy kościół urzundzili, to ze Starych Choin od świntygo Wojciecha przeszed ksiundz Smyt. No winc po ranny mszy zajechała przed plebanije podwoda w pare kuni, żeby go z jego tam rzeczami, jakie do niego należały, zabrać. Ale ksiundz Smyt upodoboł sobie okropnie z kościoła obraz Matki Boski Pocieszynia i cichcym, cichcym, kozoł go chłopu ze ściany zdjuńć, owinyli go w jakumś płachte, położyli we wozie i nakryli sianym.

— No to pewnie proboszcz chojiński nic o tym nie wiedzioł — zauważyła jedna z kobit.

— Pewnie, że nic.

— Patrzta, patrzta, to ksiundz taki złodzij?

— Jaki tam złodzij? Przecież nie dlo siebie obroz zabroł, ino do naszygo kościoła!

— Ale zawsze. Tak bez wiedzy proboszcza?

— Mówcie dalij, Stasiakowo.

— No, jak już tyn obraz sianym zakryli, że go nie było widać, siód ksiundz z chłopym na przodku i jadum. Jadum, jadum w naszum strune soszum rzgowskum i ledwie dojechali do zakryntu, wicie, kole Grzyboskigo, kunie stanyli. Chłop krzyczy na nie: wio! wio! Lejcami ponaglo, potym już batym je bije. Nic nie pomogło. Kunie zaparły sie kopytami, parskajum, wirzgajum, że aż zimia pryska. Wicie przecie że na Starych Chojnach droga nie brukowano, nic! Kunie nie ruszajum z miejsca. Ktoś poradził, żeby wicheć słumy zapolić i kunium pod brzuchy podsunyńć. Ale gdzie ta! Kunie tylko mocnij wierzgajum, a parskajum. Chłop po łbie sie drapie a na ksindza spoglundo, spoglundo... Ksiundz zaczerwinił się, oczami w bok strzyże, wreście powiado do chłopa: — Zawróćcie z powrotem przed świntego Wojciecha. Chłop zawrócił, kunie grzecnie pojechali. Zajechali na plac kościelny, chłop wyjuł obraz z woza, zanius do kościoła, powiesił na downym miejscu. Teroz wsiod na siedzynie, cmoknuł na kunie. I spokojnie jakby nigdy nic do naszego kościoła pojechały. Ksiundz go tylko prosił, żeby o tym nie rozpowiadoł. Ale przecie ludzie widzieli, co było i jeszcze chyba tego dnia całe Stare Chojny o niczym innym nie godały.

— Patrzta, patrzta! Przecie to cud!

— Pewnie że cud. Ludzie sie przed obrazym ty Matki Boski Pocieszynia modlum i o łaski proszum...

Rozmowa na chwilę przycichła. Kobiety rozmyślały, jakie to dziwne sprawy na tych naszych Chojnach się dzieją.

■

Chrapy Łosia z Figatelami

Gdy przyniosłem do redakcji tekst o Julianie Niemcewiczu, naczelny przeczytał, spojrzał na mnie znad okularów i powiedział:

— Tak, to dobre, pokazywać literaturę, jakby to powiedzieć od kuchni; o Niemcewiczu wiemy rzeczy podstawowe, a tu kilka nowych szczegółów. Pisz dalej takie teksty.

— Łatwo powiedzieć — pomyślałem.

Wróciłem do domu, otworzyłem „Listopad" Henryka Rzewuskiego i trafiłem na opis uczty. Tego mi było potrzeba, jak od kuchni to od kuchni, co prawda nie literackiej a litewskiej, ale zawsze.

Henryk Rzewuski był jednym z najdziwniejszych pisarzy w naszej literaturze. Człowiek, który z takim zapałem opisywał przeszłość Polski, a jednocześnie był sługą rządu rosyjskiego i oddawał hołd Mikołajowi, a nawet Paskiewiczowi, to naprawdę dość niezwykłe pomieszanie. Jego życiorys i pisanie stanowią taką wielość sprzeczności, że trudno je zrozumieć. Gdy urodził się 3 maja 1791 roku, ojciec jego, Adam Wawrzyniec, zwolennik staroszlachetczyzny i zagorzały wróg konstytucji, cieszył się, że w taki dzień na świat musiał przyjść przeciwnik nowoczesnych reform. I rzeczywiście przepowiednie ojca sprawdziły się. Henryk Rzewuski stał się fanatycznym wrogiem nowości. Wojciech Karpiński napisał o nim: *„...poświęcił wielki talent tej jednej sprawie. Poświęcił go w sensie dosłownym, bo za ideologiczny obłęd zapłacił cenę dla pisarza najwyższą, ukarany został utratą talentu".*

Henryk Rzewuski był autorem kilku książek, z których na uwagę zasługują dwie: „Pamiątki Soplicy" i „Listopad". „Pamiątki" po ukazaniu się w 1839 roku w Paryżu (edycja wileńska wyszła dopiero w 1844 roku i to mocno skrócona przez carską cenzurę) stały się sensacją, porównywano je nawet z „Panem Tadeuszem". Co prawda byli i tacy, którzy twierdzili, że nie Rzewuski był ich autorem, że jest to zbiór opowieści szlacheckich, wydanych tylko przez niego. Pogląd ten nie wytrzymał jednak krytyki i do dziś książka (często wznawiana) bawi nas. Główną postacią przewijającą się przez wszystkie opowieści zawarte w „Pamiątkach" jest Radziwiłł, Panie Kochanku. Opisany tak żywo i barwnie, że jesteśmy niemalże gotowi odrzucić wszelkie historyczne świadectwa, gdyż wydaje nam się niemożliwym, by tak szlachetny, pełen humoru, oddany w przyjaźni i szczery patriota mógł być takim, jakim przedstawiają go historycy. Rzewuski opiewał to, co w naszej przeszłości do dobrych stron, mimo najlepszych chęci, zaliczyć raczej się nie da. Choć przyznać trzeba, że wiele w tych opowieściach uroku. Ale historii z jego książek uczyć się nie można.

Druga powieść Rzewuskiego „Listopad", nie osiągnęła poziomu „Pamiątek". Oceniana była jednak wysoko; Stanisław Tarnowski napisał, że „Listopad" był najpiękniejszym romansem w literaturze polskiej, aż do czasu Henryka Sienkiewicza.

Wracam do tematu. Miało być o kuchni. Jesteśmy na zamku w Nieświeżu, są imieniny księcia Karola, Panie Kochanku i oto, cóż za potrawy wjeżdżają na stół:

„...barszcz i rosół dymek wonny puszczały z mis farfurowych; a na ogromnych półmiskach i jeszcze ogromniejszych blatach, wszystko ze srebra, pajuki roznosili wołowinę z chrzanem, flaki z imbierem, kaczki z kaparami, indyki z podlewą migdałową, kapłony z serdelami, cietrzewie z buraczkami i różne dziczyzny pieczone. A to wszystko ze szczupakami złoconemi szafranem, karpiami miodem zarumienionemi, jazgarzami i sielawą zaprawionemi goździkami i kwiatem muszkatołowym. (...) łapy niedźwiedzie z wiśniowym sokiem, ogony bobrowe z kawiorem, chrapy łosie z figatelami, jeże pieczone, garnirujące naroki sarnie przysmażone z pistacyami, głowy odyńca w korzennem winie duszone. To wszystko zakrapiało się w żołądku winem z Królewca sprowadzonem, gdyż bdwieczna piwnica Nieświeżska tak została zrabowaną, że na siłę znaleziono w niej parę tuzinów butelek starego węgrzyna..."

Andrzej Bobkowski napisał był w swoim „Dzienniku", że kuchni, podobnie jak sztuce, potrzebny jest artyzm. Do zestawienia „menu" konieczna jest kultura, taka sama jak przy rozróżnieniu dobrych obrazów, czy wierszy od złych. I wiele w tym poglądzie prawdy, wszak kuchnia, jej bogactwo, też świadczy o kulturze narodu Dobrze pamiętać o tym w czasach stołówek i barów, jak to się ładnie nazywa, szybkiej obsługi. Oczywiście, z fragmentu cytowanego przeze mnie nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Radziwiłł, Panie Kochanku i jego kompania do ludzi kulturalnych raczej nie należeli, choć wiele rzeczy, o których pisał Rzewuski wchodziło do tradycji Rzeczypospolitej Obojga Narodów, kontynuowanej w wieku XVIII, najlepiej, niestety, w sprawach kulinarnych. Jeść, nawet w najgorszych czasach to my zawsze umieliśmy.

Ale, ale... przecież jestem na uczcie. Gospodarz bawi gości niezwykłymi historiami. Najbardziej podoba mi się opowieść o tym. jak w drodze do Wenecji, na pełnym morzu, uwiódł syrenę i po czasie z kombinacji tej przyszły na świat śledzie. Ciekawa jest i ta o zdobyciu Gibiartaru; dokonał tego na koniu, któremu w walce urwało nogi, a jego właścicielowi, czyli samemu Radziwiłłowi, głowę, co, oczywiście, nie zatrzymało go, ba! pomogło nawet dostać się na mury jako pierwszemu. Fantazji to Radziwiłłowi odmówić nie można.

Patrzę na te wszystkie potrawy i zastanawiam się — od czego zacząć. Indyk z podlewą migdałową wygląda nie najgorzej, ale i cietrzewie z buraczkami prezentują się całkiem dobrze, nie wspominając już o narokach sarnich z pistacyami. Tak — należy spróbować wszystkiego po trochu, żeby po latach dzieciom i wnukom było co opowiadać. Jednak już po pierwszych potrawach czuję się pełny, z chrapów łosia wybieram tylko figatele, czyli nadzienie, a znajomi mówią, że mimo mojej niepokaźnej postury, zjeść mogę dużo. Obok mnie trwa zabawa na całego.

Oto chłopcy przepijają do siebie. Patrzę i drżę cały na myśl, że ktoś będzie pił w moje ręce. Bo w „niewielkie" pucharki wlewa się dwie butelki wina, ale co dzielniejsi (a takich wielu) odrzucili te naczynia i zabrali się do gąsiorków, w których pomieścić można pięć butelek (nie wspominam o nakrywce, do której wchodzą jedynie trzy). Ci najlepsi kilkoma łykami wychylają i nakrywkę, i gąsior. Napić się dobrego trunku też lubię, ale te proporcje są zbyt duże. I gdy pokaźny, o rumianej twarzy jegomość wychylił właśnie taki kielich i chciał go przekazać mnie, powróciłem do rzeczywistości, choć ponoć uczta jeszcze trwa. A na mnie, ukryty w lodówce, czeka żółty ser. Nie powiem, jak świeży też lubię, byle nie za często.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1 Nagłe zastępstwo

Taka konwencja, taka umowa...

Zdaje się, że rewelacyjny system do mierzenia wartości pracy zmarł śmiercią naturalną, „po krótkich i niezbyt dotkliwych cierpieniach". I bardzo słusznie! Kiedy pierwszy raz czytałem o jego niewątpliwych zaletach czułem coś, czego jeszcze nie mogłem sprecyzować. Trochę pomógł mi artykuł Teresy Jerzykowskiej w „Odgłosach" — tekst spokojny i beznamiętny. Nie podobał mi się ten UMEWAP i nie podobał, ale wciąż nie mogłem sprecyzować, co właściwie mam mu do zarzucenia. Wreszcie wiem i śpieszę podzielić się mymi przemyśleniami z czytelnikiem.

Otóż UMEWAP charakteryzował się błędem w założeniu — usiłował zmierzyć to, co niezmierzalne. Wartość pracy w sensie ekonomicznym jest oczywiście łatwa do zmierzenia np. w przemyśle — cena sprzedaży minus cena surowców i umownie przyjęty wskaźnik amortyzacji daje wartość pracy, czyli zysk. Ale już dla mierzenia pracy lekarza czy nauczyciela jest to metoda zawodna. Ba! Nawet do mierzenia pracy inżyniera...

Błąd tych, którzy wymyślili UMEWAP polegał na tym, że pomylili dwie kategorie: mierzalność pojęcia „praca" i możliwość podziału tego pojęcia. „Praca" — to w gruncie rzeczy abstrakt, taki jak np. „polityka" czy „moralność". Można zmierzyć politykę? Nie można. Można natomiast ją podzielić. Choćby na społeczną, ekonomiczną, wewnętrzną czy zagraniczną. Ale nadal nie można zmierzyć, nawet tych, powstałych z podziału, części.

Jeszcze wyraźniej zaobserwować można zjawisko niemierzalności cząstkowych pojęć składających się na — również niezmierzalną — całość w przypadku pojęcia „moralność". Wiemy wszyscy, że na to pojęcie składa się uczciwość — nazwijmy ją tak — materialna, lojalność wobec ludzi i siebie, otwarty stosunek do człowieka i narodu, „społeczność", uczciwość w sferze seksualnej itp. itd. Spróbujmy zatem zająć się jakimkolwiek spośród naszych znajomych i wystawić mu „świadectwo moralności" jako sumę punktów w szkolnej skali (od dwóch do pięciu) za każdą spośród cząstek składowych. Absurd! Pełny subiektywizm, absolutny brak kryteriów itd. No, chyba, że przyszło nam pracować w komórce kadr i produkujemy opinie ze stereotypowym zwrotem: „strona etyczno-moralna bez zastrzeżeń". Przyznacie, Drodzy Czytelnicy, że nikt jeszcze równie głupiego i bezsensownego zwrotu nie wymyślił. Nawet jeśli pominąć typowy błąd tautologiczny w zbitce słów „etyczno-moralne", co znaczy tyle co np. „matematyczno-liczebny", „zimowo-styczniowy" albo „prozatorsko-powieściowy".

A oto twórcy UMEWAP podzielili pracę na drobne kawałeczki i chcieli w punktach obliczać jej „uciążliwość", „stopień trudności" itp., itd. Nie dość, że musiałby niechybnie zaistnieć w wystawianiu tych ocen subiektywizm i relatywizm: pierwszy z brzegu przykład — czy uciążliwość pracy księgowego jest większa niż kierowcy? Odpowiedź (jedyna sensowna!) brzmi: jak dla kogo. Księgowy zestresuje się i zmęczy po kilku godzinach za kółkiem i swoje ślęczenie nad cyframi będzie traktował jak relaks a kierowca „dostanie wściku" też po kilku godzinach za biurkiem.

To jeszcze nie wszystko: te poszczególne cząstki, na które pracę podzielono zazębiają się wzajemnie i nachodzą na siebie. Nie ma bowiem ścisłej, jasnej granicy między „stopniem trudności" i „uciążliwością"...

Jak sobie z grubsza i niedokładnie przypominam klasyków, to nie twierdzili oni, że pracę da się zupełnie sprawiedliwie ocenić i opłacić. Zapłata, a więc i ocena pracy zawsze pozostanie w sferze pewnej konwencji, pewnej umowy społecznej. I jak wszystko na tym pięknym świecie ta konwencja będzie się zmieniać w zależności od układu sił społecznych i realiów ekonomicznych. Kiedyś np. słuszne i sprawiedliwe wydawało się, aby urzędnik, choćby najniższego szczebla służbowego zarabiał więcej od najpracowitszego robotnika. Obecnie przyswajamy sobie — wprawdzie z pewnym trudem — taką prawdę, że tokarz w zakładzie, który znakomicie się gospodarzy, produkuje dużo i dobrze a na dodatek eksportuje, powinien zarabiać dwa razy tyle, co jego kolega po fachu w zakładzie lichym i źle kierowanym.

Ta konwencja jeszcze nieprędko przebije tezę o „jednakowych żołądkach". Na razie idzie to opornie... Dowiedziałem się niedawno, że Zygmunt Kałużyński miał kłopoty z nabyciem telewizora. Biało-czarnego! Na kolorowy w życiu go nie będzie stać... Taka konwencja, taka umowa społeczna...

ANDRZEJ KAROL

2 Spojrzenie znad szachownicy

Raport z Olimpu

1.

Znana tolerancja redakcji „Odgłosów" pozwala każdemu ze współpracowników od czasu do czasu dosiąść własnego konika, a mój konik — szczerzy zęby już w nadtytule. Przedkładam tedy zwięzły raport z Olimpu. Szachowego oczywiście, inne Olimpy interesują mnie jakby trochę mniej.

2.

W minionym 1986 roku w szachowym świecie zdarzyło się wiele i mało równocześnie. Wiele, gdyż odbyła się kolejna olimpiada, rozegrano też mecz o tytuł mistrza świata. Mało, ponieważ nie zmienił się układ sił.

Garri Kasparow odparł atak wieloletniego championa Anatolija Karpowa i w meczu rewanżowym obronił wywalczony wcześniej tytuł. W trzech kolejnych spotkaniach rozegranych w trzech kolejnych latach — pierwszym przerwanym po 48 partiach i dwóch zakończonych nikłym zwycięstwem Kasparowa — zawodnicy ci rozegrali ze sobą 96 partii z łącznym wynikiem 48,5:47,5 dla aktualnego mistrza świata. 96 partii i tylko jeden punkt przewagi, jedna zwycięska partia więcej!

Na tym nie koniec jednak. W długim cyklu rozgrywek pretendentów triumfował ostatecznie kolejny zawodnik radziecki, dziś już 24-letni Andriej Sokołow, który wkrótce spotka się w meczu z Karpowem, a zwycięzca będzie miał prawo jesienią tego roku walczyć o szachową koronę.

Niezależnie od tego, kto wygra, padnie kolejny rekord. Jeżeli wygra Karpow, będziemy następnie świadkami czwartego z rzędu meczu Karpow — Kasparow, a ilość rozegranych przez nich partii pokaźnie przekroczy setkę. Jeżeli zwycięży Sokołow, o tytuł mistrza świata zagrają rówieśnicy, a nie zdarzyło się nigdy dotąd, iżby obaj rywale byli aż tak młodzi.

W ostatnim ćwierćwieczu zastępy szachowych arcymistrzów odmłodniały zresztą wyraźnie, pisałem już kiedyś o tym. W latach międzywojennych — a i po wojnie również — dobre wyniki trzydziestoletniego szachisty pozwalały nazywać go „młodym zdolnym", zaś szczyt kariery przychodził najczęściej około czterdziestki. Dziś 36-letni Karpow jest niemalże weteranem, choć — bądźmy sprawiedliwi — w światowej czołówce utrzymuje się ciągle będący dobrze po pięćdziesiątce Korcznoj, zaś do niedawna był w niej również sześćdziesięcioletni Smysłow.

Wszelako, odwrotnie niż kiedyś, dobre wyniki starszych panów są już tylko wyjątkami, które potwierdzają regułę.

3.

Ledwo zakończyły się mecze o tytuł mistrza świata i finałowy mecz pretendentów, w którym wspomniany już Sokołow pokonał swojego rodaka Artura Jusupowa, gdy cała ta czwórka — zasilona znanymi arcymistrzami Waganjanem i Cieszkowskim — pojechała bronić barw ZSRR na olimpiadę do Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Wydawać by się mogło, że tak znakomita ekipa zdobędzie złoty medal „spacerkiem", a jednak walczyła ospale, w środkowej fazie turnieju oddała prowadzenie najpierw drużynie Anglii, potem USA i dopiero końcowy „rzut na taśmę" pozwolił jej zająć najwyższe miejsce na podium. Pech chciał, że w ostatniej rundzie przeciwnikami wyraźnie rozsierdzonych zawodników radzieckich byli Polacy, którzy przegrali 0:4, niewiele mając w tym meczu do powiedzenia.

Wcześniej zdarzyło się jednak coś, co świat potraktował jako sensację: oto drużyna ZSRR zremisowała 2:2 z maleńką Islandią, krajem mającym mniej niż 300 tysięcy ludności. Pozornie był to pojedynek Dawida z Goliatem, jednak tylko pozornie, bo choć Związek Radziecki ma oczywiście najwięcej zawodników z tytułem arcymistrza, to Islandia chlubi się największą ilością arcymistrzów w stosunku do ludności.

Konkretnie Islandia ma arcymistrzów aż sześciu, w większości bardzo młodych, gdy Polska dwóch tylko, w tym jednego w tak fatalnej formie, że nawet nie został zaliczony do składu drużyny olimpijskiej.

4.

Tu powinienem zacząć lamentować, wyrzekać, ewentualnie zdobyć się na parę wisielczych żartów, jako że do sytuacji polskich szachów jak ulał pasuje mocno już przechodzony dowcip, w którym na pytanie „Kiedy będzie lepiej?", pada odpowiedź: „Już było!".

Istotnie, już było, przed wojną z olimpiad przywoziliśmy bowiem liczne medale, w tym nawet jeden złoty, a Polskę zaliczano do kilku pierwszoplanowych światowych potęg.

Możemy upajać się tymi wspomnieniami, bądź też możemy z zazdrością zerkać w stronę trzech światowych fenomenów. Pierwszy to przywoływana przed momentem Islandia, drugi to Gruzja, której kobieca reprezentacja jest niemalże równoważna z kobiecą reprezentacją ZSRR, a ta przywozi z olimpiad wyłącznie złote medale, trzeci zaś to węgierska rodzina Polgarów.

Otóż papa Laszlo Polgar miał trzy córki, a trzy córki to kłopot, postanowił przeto wychować je na szachistki. Więcej, na szachistów, panny Polgar grywają bowiem niemal wyłącznie w turniejach męskich, może z wyjątkiem najmłodszej 11-letniej Jutki. Najstarsza z tej trójki, 18-letnia Zsuzsa ograła tedy olimpijską reprezentację CSRS, zdobyła wicemistrzostwo Węgier (panów!), a wkrótce zagra w turnieju strefowym w Warszawie. I jeżeli da w skórę również naszym mistrzom, wtedy — za łaskawym zezwoleniem „Odgłosowej" zwierzchności — pozwolę sobie o pannach Polgar nieco więcej na tych łamach napisać.

Chyba, rzecz jasna, że przedtem zakrztuszę się na amen ze śmiechu.

JERZY P.

3

Gdyby wszyscy byli dyrektorami

Wszystkie statystyki zgodnie podają, że mamy więcej wolnych miejsc pracy niż ludzi chętnych je zająć. Co prawda w niektórych zawodach — szczególnie humanistycznych — młodzi specjaliści z dyplomami magistrów nie mogą znaleźć zajęcia, ale to inny problem. Gdy więc czytam lub słyszę o tym, że więcej jest wolnych miejsc niż ludzi, którzy by podjęli się czekającej ich pracy, to zaraz przychodzi mi na myśl taki oto obrazek.

Buduje się dom. W przepastnych jego czeluściach kręci się kilka osób i coś robi. Na dole, przed budowanym domem, na belce siedzi dziesięciu mężczyzn i o czymś zawzięcie dyskutuje.

Rozumiem, że człowiek się zmęczy i musi odpocząć. Być może mam takie szczęście, że zawsze trafiam na odpoczywających. Ale próbowałem pytać innych, jak to jest z tymi odpoczywającymi i dowiedziałem się, że podobnie. Więc można z tego wyciągnąć taki wniosek, że wszyscy mamy takie szczęście, że akurat trafiamy na odpoczywających. Albo i drugi, że zbyt dużo ludzi wydelegowano do tej pracy i część z nich nie ma co robić. Albo jeszcze inny, że organizacja pracy jest tak podła, że ludzie mogą obijać się. Można z tego wybrać sobie dowolny wniosek. Mnie się natomiast wydaje, że najprawdziwszy jest ten trzeci — o złej organizacji pracy.

Wydaje mi się, że w toku przeobrażeń społecznych ruszyły z miejsca procesy, o których ani nam się śniło i nad którymi nie jesteśmy w stanie zapanować. Na przykład nieprzeparta dążność do awansu. Szczycimy się tym, że nasze państwo jest robotnicze, że klasa robotnicza jest przodująca i spełnia w społeczeństwie kierowniczą rolę, ale jednocześnie kto może ucieka z tej klasy. W każdej strukturze jawią się sami kierownicy, samodzielni referenci, specjaliści. Każdy chce mieć jakiś tytuł. A wielu marzy na dodatek o tym, aby jeszcze mieć... herb.

Proces awansu rozbudzono i ruszył on z miejsca w pierwszych latach Polski Ludowej, kiedy koniecznością było wymienienie kadry administracji szeroko rozumianej. Poprzednio związana ona była z burżuazją, teraz musiała być związana z klasą robotniczą i chłopstwem. Wymyślono więc pojęcie „awansu społecznego", kiedy człowiek zostawiał maszynę, na której się znał i zasiadał za biurkiem, co było mu raczej obce, ale konieczne. Dziś sytuacja jest inna, ale problem „awansu społecznego" przybiera karykaturalne rozmiary i działa nadal. Wyraża się to tym, że łatwiej dziś znaleźć dyrektora na wolne miejsce niż sprzątaczkę...

Od lat obserwuję takie zjawisko. Oto zwalnia się jakieś stanowisko, albo tylko rozchodzi się plotka, że się zwalnia, a już do różnych decydentów od polityki kadrowej ciągną pielgrzymki tych, którym wydaje się, że tylko oni mogą zająć wakujące stanowisko. I biegną oferować swoje usługi, nie dostrzegając niekiedy śmieszności takiego działania.

Ale gdy rozmawiam z ludźmi stanowiska te piastującymi, to ciągle słyszę, że wcale nie jest to taki miód i że chętnie by się już ich pozbyli. Skąd więc ten wyścig po te stanowiska? Czyżby były tak intratne?

Nie zawsze tak jest. Powód jest zupełnie inny. Otóż u nas — niestety — ciągle, mimo różnych deklaracji, człowieka ocenia się nie wedle tego, co jest wart, jakie ma zdolności, umiejętności i czym się wykazał w praktyce, ale wedle tego, jakie zajmuje stanowisko, Ze stanowiskiem wiążą się racje, poważanie, uznanie, popularność, mądrość. Ileż razy widziałem smutny obraz człowieka, który odszedł ze stanowiska — niekoniecznie go zdjęto — i zrobiła się koło niego pustka. Pochlebcy kręcą się koło jest następcy. W zasadzie oni kręcą się wokół stanowiska, a nie człowieka. Człowiek jest im jak najbardziej obojętny.

Mądrzy ludzie mówią, że pochlebcami nie należy się przejmować i należy ich unikać. Ale mądrzy ludzie najczęściej patrzą na to z boku i mogą sobie pozwalać na filozoficzne rozważania. A nam pilnie potrzeba takiego odwrócenia procesu społecznych przeobrażeń, aby praca i jej wyniki stały się najwyższą wartością, a nie formalne zaszeregowanie człowieka. Jak to zrobić?

WITOLD BOROWY

Wiosna 1968 roku

JÓZEF SPYCHALSKI

FRAGMENTY PRZYGOTOWYWANEJ DO DRUKU POWIEŚCI PT. „CZERWONE GOŹDZIKI", KTÓRA STANOWI CZĘŚĆ TRZECIĄ TRYLOGII. DWIE PIERWSZE JUŻ SIĘ UKAZAŁY: „TRUDNE POWROTY" I „POWTÓRKA Z IDEOLOGII".

Sala Kongresowa uciszała się z wolna. Delegaci związkowi na VI Kongres wypełnili szczelnie wszystkie miejsca i oczekiwali w skupieniu na rozpoczęcie kilkudniowych obrad. Piotr usiadł w rzędach przeznaczonych dla gości i przypatrywał się z uwagą ludziom, którzy zasiedli w prezydium. Większość z nich znał, bądź pamiętał z czasów swojej związkowej kariery. Siedzieli teraz w swych fotelach obitych czerwoną materią: prezesi związków branżowych, aktywiści z zakładów pracy oraz przedstawiciele central związkowych afiliowanych do Światowej Federacji z całego niemal świata. W pewnej chwili głowy siedzących zwróciły się w stronę wejścia na scenę, a potem wszyscy powstali z miejsc. Nadchodził Gomułka, któremu towarzyszył Grela. Zabłysły reflektory, a terkot kamer telewizyjnych utonął natychmiast w grzmocie oklasków, który przetoczył się po olbrzymiej sali i urwał w momencie, gdy Gomułka pojawił się na mównicy. Nie był w najlepszej kondycji fizycznej, pochylił się, a jego skóra na kościstej twarzy w blasku reflektorów nabrała woskowego koloru. Kiedy po kilku zdawkowych zdaniach przeszedł do omówienia sytuacji politycznej w świecie, na sali zaległa cisza.

Czas był rzeczywiście niezwykły. Na Bliskim Wschodzie dogasała wojna arabsko-izraelska, a kolejne państwa socjalistyczne zrywały stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Gomułka tłumaczył motywy tych decyzji, wskazywał na reperkusje okupacji ziem arabskich, na niebezpieczeństwo przerodzenia się tego konfliktu w konflikt ogólnoświatowy o niewyobrażalnych konsekwencjach dla ludzkości. Nagle zmienił ton i głosem pełnym wyrzutu skarcił nie wymienionych z nazwiska działaczy za niedocenianie tych zagrożeń. Napięcie na sali rosło. W pewnym momencie z ust mówcy padło ostrzeżenie wobec tych, którzy zamierzają odgrywać rolę V kolumny w naszym kraju. Sala zamarła na chwilę, a potem grzmot oklasków zagłuszył wszystko. Piotr odruchowo spojrzał na siedzących przed nim partyjnych działaczy z tak zwanego wysokiego szczebla. Niektórzy z nich podnosili się niechętnie, a ruchy ich rąk bardziej przypominały ugniatanie gliny niż składanie się do oklasków. Sala uciszała się z wolna.

Borowskiemu nagle przypomniało się niedawne spotkanie z krosnowickimi literatami, na którym opowiadał o swojej poselskiej podróży do Egiptu i wzburzona twarz pisarza-stypendysty, który tak namiętnie wystąpił wtedy w obronie metod, jakie Izrael stosował wobec Palestyńczyków. „No, cóż — pomyślał o owym literacie — wcześniej niż się spodziewałeś rozchodzą się drogi twoich obu ojczyzn i oto będziesz musiał dokonać wyboru. A ilu znajdzie się jeszcze takich, jak ty, ilu z nich siedzi tutaj i jakie myśli kłębią się w ich głowach przygniecione ciężarem oskarżeń i ogłuszonych oklaskami delegatów?".

Trudno było pojąć powody tej żywiołowej owacji. Jej korzenie tkwiły widać głęboko w sferze stosunków społecznych, jakie ukształtowały się po wojnie. Na pewno odezwały się tutaj echa zbrodni popełnionych przez Fejginów i Różańskich, przypomniał się Berman, Światło i cała plejada podobnych im ludzi żydowskiego pochodzenia, stawiających się wówczas ponad prawem, ale faktem jest również, że w obiegowej opinii czyny te osądzono surowiej niż zwykle i że jakieś okruchy tych win spadły także na głowy całej żydowskiej społeczności, która przetrwała pożogę.

Potrząsnął głową, jakby chciał odrzucić tę myśl. Nigdy nie godził się ze stosowaniem zbiorowej odpowiedzialności i dobrze pamiętał, do czego doprowadziły w niedalekiej przeszłości takie praktyki podniesione do rangi politycznej doktryny, ale nie mógł pogodzić się także z pomówieniami o antysemityzm w przypadkach, gdy chodziło o indywidualne a konkretne zarzuty w stosunku do konkretnych osób. Złożone sprawy. Oto siedzi przed nim jeden z kierowników wydziałów w KC, odpowiedzialny za poważny dział gospodarki narodowej z pobladłą twarzą i zaciśniętymi ustami. Nie cieszył się sympatią. Piotr widział go niedawno na korytarzu trzeciego piętra gmachu KC, opędzającego się przed ministrem jednego z poważnych resortów, który dreptał za nim pokornie, próbując załatwić jakąś sprawę. Ileż arogancji mieściło się w tych lekceważących ruchach rąk, odpędzających natręta i zatrzaskujących mu drzwi przed nosem. Przyspieszył wówczas kroku, nie chcąc patrzeć dłużej na upokorzenie tego człowieka, z którego ust dobiegło dosadne przekleństwo. Czyż nie uzna on teraz, że nadeszła stosowna chwila do rewanżu? Odwrócił głowę i powiódł wzrokiem po sali. Delegaci siedzieli w absolutnym milczeniu z chmurnymi twarzami, niektórzy podpierali głowy łokciami, czasem w jakimś miejscu na sali rozległ się krótki kaszel, a potem ponownie zapadła cisza, w którą padały słowa Gomułki pochylonego nad pulpitem mównicy. W pewnej chwili Piotr zerknął w lewo i napotkał wzrok Węgrzyna siedzącego opodal. Nachylił się nieznacznie w jego stronę i zapytał szeptem:

— Nie wiesz, do kogo adresowane są te słowa?

Węgrzyn wzruszył ramionami:

— Mogę się tylko domyślać, o kogo chodzi, ale wiem na pewno, że jeśli o tym mówi, to ma do tego dostateczne powody. On nigdy nie rzuca słów na wiatr — odszepnął, ledwo poruszając wargami.

— Nikt go też zapewne nie posądzi o działanie z niskich pobudek — dodał Piotr.

— Ale jest nieugięty, gdy chodzi o interes państwa i będzie twardo żądał tego samego od innych.

Umilkli i przez dłuższy czas siedzieli nieporuszeni. W pewnej chwili ponownie spotkali się oczyma.

— Myślisz, że chodzi wyłącznie o dywersję polityczną? — zapytał Piotr, wracając do przerwanej wymiany zdań.

— W zasadzie tak, ale już zaczęły się otwierać szuflady w biurkach i wychodzą z nich takie śmierdzące sprawy, których już nie będzie można wyrzucić do kosza. Niektóre z nich czekały latami, niektóre są bardzo świeżej daty

Pokiwał głową. Słyszał o nich nieraz w poufnych rozmowach, nie zawsze dając im wiarę. Cóż dziwnego, że powracają teraz w sposób oficjalny i udokumentowany?

Piotr powrócił do Krosnowic pełen wątpliwości i sprzecznych odczuć. I tu także poruszyły się już ukryte dotąd komórki ludzkiej pamięci o domniemanych i rzeczywistych krzywdach oraz odżyła wszechobecna plotka, działająca na wyobraźnię, podniecająca emocje Codziennie znajdował teraz w korespondencji listy i anonimy z opisami owych krzywd oraz donosy na ludzi pochodzenia żydowskiego, sprawujących przeróżne funkcje zawodowe i społeczne. Początkowo odsyłał je, jak zazwyczaj, do organów milicji, do NIK lub Komisji Kontroli Partyjnej, ale wkrótce zorientował się, że wokół tych spraw narasta szybko presja społeczna, której trzeba będzie stawić czoła, jeśli nie zechce się dopuścić do głosu ludzi owładniętych żądzą zemsty albo tych, którzy działają dla własnych korzyści.

Zaczął od energicznego przeciwstawiania się tym wszystkim, którzy coraz głośniej występowali z oskarżeniami natury ogólnej, przytaczając jako przykłady sprawy dawno osądzone i ludzi — zdawało się — dawno już zapomnianych, których nazwiska znowu stawały się głośne. Nietrudno było dowieść rzeczywistych intencji takich oskarżycieli, którym bardziej chodziło o ponowne roztrząsanie dawnych błędów w nadziei na poderwanie zaufania do rządzących obecnie, ale na zebraniach coraz częściej pytano o sprawy bieżące, o rzeczywiste i domniemane afery przypisywane konkretnym ludziom. Piotr zapewniał zebranych o tym, że każda z takich spraw zostanie wyświetlona do końca, nie unikając pytań z własnego podwórka. Nie było tego wiele i odnosiły się z reguły do zarzutów natury moralnej. Jeszcze nie rozpatrywano takich spraw na zebraniach partyjnych, jeszcze czekano, co uczynią z nimi wyższe instancje.

Wtedy to właśnie otwarte zostały szeroko wrotą do wyjazdu z Polski tym wszystkim, którzy dokonali wyboru tamtej drugiej ojczyzny, święcącej świeży triumf na biblijnych ziemiach. Piotr zażądał danych o osobach zgłaszających się do wyjazdu i ze zdumieniem odnajdywał na listach nazwiska ludzi cieszących się powszechnym szacunkiem, często takich, którzy dopiero teraz ujawniali swą żydowską tożsamość. Nie uwierzył, nie mógł uwierzyć w motywy podawane we wnioskach. W ciągu najbliższych dni odbył kilka rozmów z wziętymi lekarzami, z dziennikarzami i pracownikami wyższych uczelni. Pytał o rzeczywiste przyczyny i prosił o szczerość, gwarantując w zamian pełną tajemnicę rozmów. Nie udało mu się doprowadzić do wynurzeń, ale z półsłówek i z aluzji można było skonstruować, o co chodziło wyjeżdżającym, co chcieli osiągnąć, opuszczając kraj. Większość z nich wybierała w istocie Zachód. Pomagały temu celowi koneksje rodzinne oraz ułatwienia migracyjne dla „prześladowanych", głoszone w krajach zachodniej Europy i w Skandynawii. Ich decyzje przemyślane były na zimno i już po kilku zdaniach widać było, że żadne perswazje niczego nie zmienią.

Któregoś dnia do Borowskiego zgłosił się sekretarz z zakładów bawełnianych, którymi od dwóch lat kierował Braun. Wiedział o koleżeńskich więzach łączących dyrektora z sekretarzem i widać było, z jakim trudem przychodzi mu zreferowanie sprawy, z którą przychodził. Organizacja partyjna poddała ostrej krytyce metody kierowania zakładami, jakie stosował dyrektor, zarzucając mu arogancki stosunek do podwładnych i ignorowanie organizacji społeczno-politycznych.

Piotr wysłuchał tych oskarżeń ze zmarszczonymi brwiami i wypominał sekretarzowi nadmierną samodzielność, z jaką dokonali sądu nad dyrektorem.

— Myślałem o tym, aby was zaprosić na zebranie, ale doszedłem do wniosku, że to byłoby nielojalnie w sytuacji, kiedy część kadry postawiła ultimatum: on albo my.

— A więc do tego już doszło? — rzekł ze zgrozą Borowski.

Sekretarz spuścił głowę, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią, wreszcie spojrzał na Piotra i zaczął mu wyjaśniać powody konfliktu.

— Ano doszło. Dyrektor z nikogo nie był zadowolony, a nasza kadra i załoga przywykła do pochwał, których wy także nie skąpiliście przy okazji zdobywania sztandarów. On ciągle musi kogoś kopać w kostkę, aby go przynaglić do większego wysiłku, a ludzie u nas tego nie lubią. Prosimy o rozważenie naszego wniosku o odwołanie dyrektora.

A więc Andrzej miał rację, ostrzegając go przed Braunem. Okazało się raz jeszcze, że nawet najlepsze kwalifikacje zawodowe nie wystarczą, aby być dobrym dyrektorem wielkiej fabryki.

— Musieliście zrobić to teraz? — rzekł z wyrzutem. — Jeżeli zdecyduje się na wyjazd z kraju, pójdzie za nim fama o prześladowaniach, jakich doznał.

Sekretarz bezradnie rozłożył ręce, jakby tym gestem chciał wyrazić ograniczone możliwości swojej funkcji w zapobieganiu zbiorowemu wybuchowi gniewu swojej załogi. Na szczęście Braun ani myślał o wyjeździe, a nawet nie uważał swojej porażki za życiową klęskę. Odezwał się w nim inżynier, dla którego właściwym miejscem jest biuro konstrukcyjne, a nie codzienne utarczki z podwładnymi i wydeptywanie fabrycznych korytarzy wśród nienawistnych spojrzeń rzucanych zza warsztatów. Jego powrót na stare miejsce pracy odbył się bez przeszkód i Braun, poinformowany przez sekretarza o rozmowie z Borowskim poczuł się zwolniony z obowiązku złożenia mu wizyty, która z pewnością byłaby kłopotliwa dla obu rozmówców.

Mijała pierwsza fala wyjazdów, która — poza wzmożeniem ataków prapagandowych na Zachodzie — nie przyniosła znaczących zmian w układzie sił wewnątrz kraju. Konflikt jednak nie wygasał, a nawet rozszerzał się z wolna, ujawniając rozliczne powiązania i zależności wśród atakujących i atakowanych. Jedynie ludzie z najbliższego otoczenia Gomułki, jak i on sam, starali się zachować spokój i pozycję sprawiedliwych sędziów. Informacje z KC były nader skąpe, a gros wiadomości o tym, co się dzieje w Warszawie dostarczał Piotrowi Tomek Myśliński. Wszyscy czekali na plenum KC i na rozstrzygnięcia kadrowe, jakie po nim zapadną. Pozycja szefa partii była tak mocna, że zrezygnował nawet z odbycia narady z wojewódzkimi sekretarzami, co czynił przecież zawsze w sytuacjach, wymagających szczególnej mobilizacji aktywu. Gomułka odrzucał konsekwentnie wszelkie próby przeniesienia konfliktu w dziedzinę ideologii i godził się na rozpatrywanie konkretnych zarzutów stawianych konkretnym osobom, czyżby więc zwoływał plenum, aby jeszcze raz przedstawić tam swoje stanowisko w tej sprawie?

Przebieg obrad zdawał się potwierdzać te przypuszczenia. Ludzie obciążeni zarzutami bronili się desperacko, starając się podważyć wiarygodność zeznań i oświadczeń zebranych przez organizacje partyjne w urzędach i instytucjach, stawiając się niezmiennie w roli ofiar nagonki rozpętanej na podłożu ideologicznym i politycznym. Piotr i jego koledzy z województw nie mieli nic do powiedzenia w tych sprawach, ale nietrudno im było odkryć mechanizmy walki toczonej na plenum. Rzadko dochodziło do replik, tylko po każdym zaprzeczeniu kładziono dyskretnie na stół prezydialny nowe dokumenty i dowody, a przerwy w obradach stawały się coraz dłuższe i coraz częstsze. Wiadomo już było, że nie zostaną tutaj podjęte żadne kadrowe decyzje, że nic nie stanie się pod wpływem emocji, ale nie było także wątpliwości co do tego, że winni będą musieli odejść.

Minęło kilka tygodni nerwowych oczekiwań, aż wreszcie posypały się pierwsze dymisje. Nie wszystkie oznaczały klęskę. W wielu wypadkach były to zwykłe roszady, powroty na uczelnie lub do instytutów, ale w KC, w redakcjach, w handlu zagranicznym i w służbie dyplomatycznej pojawiło się wiele nowych twarzy. Po raz pierwszy od Października powstały rysy i wyrwy w delikatnej równowadze sił, na jakich opierała się ekipa Gomułki i trudno było ocenić, czyje interesy uległy wzmocnieniu, a kto poniósł straty. Nagle ożywił się wydział organizacyjny KC, informując szeroko o ważniejszych zmianach kadrowych w kraju, a wydawany przezeń poufny biuletyn stał się najbardziej sensacyjną lekturą ostatnich czasów. Ta nieoczekiwana aktywność wydziału, a szczególnie przejęcie przez Makucha funkcji informacyjnych, świadczyła o malejących wpływach szefa partyjnej propagandy, ale Piotra bardziej intrygowała bierna postawa Czarneckiego i Reliszki. Czyżby Makuch odważył się na prowadzenie własnej gry?

Wkrótce w biuletynie pojawiły się wiadomości o nieoczekiwanych trudnościach w handlu z Zachodem. Zerwano kilka umów o dostawy, odmawiano kredytów. Borowski wezwał do siebie szefów krosnowickich central handlowych, którzy potwierdzili te informacje, ujawniając przy tym zawiły mechanizm działań, za pomocą których zamówione towary docierały w końcu do właściwych kontrahentów, zmuszając jednak polskich dostawców do płacenia za pośrednictwo dodatkowych prowizji Tak więc biznes trwał nadal, tylko koszty politycznych demonstracji ze strony niektórych zagranicznych kontrahentów obniżały drastycznie nasze wpływy z eksportu. Coraz więcej znaków zdawało się wskazywać na pogłębianie się trudności gospodarczych i pogarszanie nastrojów społecznych. Czyżby następował zmierzch naszej małej stabilizacji?

Piotr z lękiem sięgał po codzienne biuletyny, z których wynikało niezmiennie, że pod szyldem walki o demokratyzację stosunków społecznych tworzy się w kraju alians wszystkich sił przeciwnych ustrojowi z tymi siłami wewnątrz partii, które stanęły w bardziej lub mniej zamaskowanej opozycji wobec Gomułki i jego ekipy. Tym razem punkt ciężkości tych działań przeniósł się na wyższe uczelnie i w dziedzinę kultury. To w tych kręgach wyrastały nowe autorytety i młodzieżowi idole, jeszcze wprawdzie nie atakujący frontalnie, jeszcze pod marksistowskimi sztandarami, ale już poszukujący sprzeczności, wątpiący albo odkrywający na nowo młodego Marksa.

Na uczelniach narastał ideologiczny ferment podsycany wieściami dochodzącymi od naszych południowych sąsiadów. W studenckich klubach i kabaretach atakowano z pasją wszelkie przejawy dogmatyzmu, budząc zgrozę w kręgach działaczy wychowanych na pismach Stalina i Historii WKP(b).

Któregoś dnia Borowski został powiadomiony o przyjeździe do Krosnowic prof. Waksmana, niedawnego tuza i speca od ekonomii politycznej, wobec którego dokonano niedawno roszady kadrowej. W ślad za tą wiadomością przyszło zaproszenie na dyskusyjne spotkanie ze studentami uniwersytetu, na którym Waksman wystąpić miał w charakterze prelegenta. Piotr postanowił wziąć udział w tym spotkaniu i wysłuchać Waksmana, widząc w nim rzecznika opozycjonistów partyjnych, działających wśród młodzieży. Basia Kowalczyk, sympatyczna szefowa wydziału nauki i kultury w Komitecie, którą powiadomił o swym zamiarze, nie kryła wątpliwości i obaw i odradzała mu ten zamiar, ale Borowski nie zamierzał ustąpić. Chciał poznać postulaty i argumentację Waksmana oraz jego siłę oddziaływania na młodzież, nie zamierzając wdawać się w dyskusję z prelegentem. Do tego wyznaczono ludzi w KC i wiadomo było, że jeden z nich będzie towarzyszył Waksmanowi.

W oznaczonym dniu Piotr stawił się w dużej sali biblioteki uniwersyteckiej i zajął krzesło w sporej odległości od mównicy, jakby nawet wyborem miejsca chciał zdystansować się od prelegenta. Obok niego usadowili się szefowie uniwersyteckiej organizacji partyjnej oraz obu organizacji studenckich. Sala zapełniała się powoli młodymi brodaczami w grubych swetrach, czekającymi w milczeniu na Waksmana. Kilku wykładowców i dwóch profesorów usiadło tuż przed pulpitem, wymieniając między sobą jakieś uwagi. Nagle jeden z nich dostrzegł Piotra, porwał się z miejsca i zaczął go usilnie zapraszać do pierwszego rzędu krzeseł, ale Borowski pozostał niewzruszony. Za chwilę na salę wszedł Waksman w towarzystwie dziekana i przedstawiciela wydziału nauki KC — docenta. Piotr znał go z widzenia i powitał z daleka ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy, ale tamten najwidoczniej przeraził się i ruszył do niego, przeciskając się przez gęstniejące grupy studentów.

— Błagam, nie zabierajcie głosu — wyrzekł, witając się w pośpiechu.

— O nic nie musicie błagać — odparł Piotr — przyszedłem tutaj, bo chcę wiedzieć, jak wyglądają w praktyce te wasze zmagania o studencki rząd dusz — dodał sarkastycznie.

Docent skrzywił się i sięgnął po okulary, zatknięte za kieszonkę marynarki. W tej chwili na mównicy stanął Waksman. Jego potężna postać niemal przelewała się przez pulpit a donośny baryton wypełniał salę. Docent przemknął z powrotem do pierwszego rzędu krzeseł i Piotr mógł już bez przeszkód oddać się obserwacjom. Z powodzi słów, płynących znad pulpitu wyłaniały się z wolna ciężkie zarzuty pod adresem władzy. Waksman krytykował autarkiczny system podejmowania decyzji, zanik funkcji kontrolnych w partii i osłabienie organów rządowych, a jego wywody robiły widoczne wrażenie na słuchaczach. Nie postulował pluralizmu politycznego w socjalistycznym państwie, był przecież nadal członkiem partii, ale — akceptując jej przewodnią rolę, chciał, aby jej działania poddać ogólnonarodowej kontroli. Gdy skończył, rozległy się oklaski, które zabrzmiały jednak niezbyt głośno, jakby część słuchaczy spotkał zawód. Młodzi ludzie wymieniali między sobą uwagi, a większość przyjęła wyczekującą postawę, nie kwapiąc się do dyskusji. Po dłuższej chwili z sali padło kilka pytań. Studenci chcieli wiedzieć, co dzieje się na uczelniach francuskich, pytali o poglądy Marcusa i o motywy, jakimi kierowali się francuscy komuniści, odmawiając poparcia studentom z Nanterre.

Teraz na mównicy pojawił się docent. Odpowiedział na pytania i przeszedł do polemiki z wywodami Waksmana. Mówił równym, beznamiętnym głosem, jakby wygłaszał przemówienie w Instytucie Marksizmu-Leninizmu do aktywistów partyjnych skierowanych na zaoczne studia.

Piotr powiódł wzrokiem po sali. Studenci siedzieli spokojnie, ale na niektórych twarzach pojawiły się drwiące uśmiechy. Tej młodzieży nie zadowalały już krągłe slogany, jakimi posługiwali się propagandziści partyjni, nie chcieli także poddawać się ślepo autorytetom przywódców, byli nieufni, dociekliwi, a zarazem pełni dążeń do działań, gdyby tylko znalazł się ktoś, kto potrafiłby roztoczyć przed nimi wizję na miarę ich oczekiwań i marzeń.

Docent skończył, żegnany zdawkowymi oklaskami. Zabrakło chętnych do zabrania głosu, ale widać było, że dyskusja będzie kontynuowana po zebraniu w wąskich grupach koleżanek i kolegów, którzy posiedli już sztukę krytycznej analizy rzeczywistości, ale którym daleko było do formułowania konstruktywnych wniosków.

C.D.N.